

Józef Łobodowski skończył w marcu 1986 roku 77 lat. Pierwszy tom wierszy wydał własnym nakładem w Lublinie w roku 1929, ale drukował znacznie wcześniej w miesięczniku szkolnym gimnazjum im. hetmana Jana Zamoyskiego, "W słońce". Mógłby zatem obchodzić sześćdziesięciolecie twórczości poetyckiej. Gdy swój debiutancki tom wysłał do Juliana Tuwima z prośbą o ocenę, otrzymał następującą lakoniczną odpowiedź: "Za dużo w tomie wierszy, za dużo w wierszach słów. Ale są i bardzo dobre ("Atawizm")". Opinię tę uznał za zachęcającą.

W niniejszym wyborze utworów Łobodowskiego nie ma wierszy przedwojennych, z wyjątkiem kilkunastu tekstów, poświęconych sprawom polsko-ukraińskim i sytuującym się na przedłużeniu romantycznej szkoły ukraińskiej z pierwszej połowy XIX wieku. Łobodowski spędził znaczną część swego dzieciństwa na Kaukazie wśród Kozaków Kubańskich, pochodzących od Zaporozców, przesiedlonych tu po zniszczeniu Siczy na rozkaz carycy Katarzyny II.

Wszystkie inne utwory powstały podczas wojny i na emigracji, na której Łobodowski znalazł się już jesienią 1939 roku, gdy Dziesiąta Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej przeszła dziewiętnastego września granicę węgierską. Od 1945 roku przebywa stale w Hiszpanii. Mieszka w Madrycie.

Po wojnie ukazało się osiem tomów poetyckich Łobodowskiego, włączając w to zbiór satyr i fraszek pod tytułem "Uczta zadżumionych". Łobodowski jest także tłumaczem poetów rosyjskich, ukraińskich i białoruskich a od roku 1942 również hiszpańskich. Ma przygotowaną do wydania antologię poezji hiszpańskiej, a także dwutomową antologię poezji ukraińskiej, od "Słowa o pułku Igora" po dzień dzisiejszy, antologię poezji białoruskiej oraz antologię poezji rosyjskiej (od Rylejewa do Mandelsztama). Jeszcze przed wojną we współpracy z profesorem Nakaszydze i zakonnikiem, znawcą Gruzji średniowiecznej, Grzegorzem Peradze dokonał przekładu epopeji gruzińskiej Szoty Rustaqelego "Wepchis Tkaosani". Obecnie poeta pracuje nad tomem wspomnień.

Książka mniejsza podzielona została na siedem działów. Pierwszy dział objął wiersze które powstały podczas wojny i weszły do tomu „Z dymem pożarów”, wydanego w 1941 roku przez nicejską Oficynę Samuela Tyszkiewicza. Wiersz "Do rzymskiego dyktatora" który powstał także podczas wojny, wszedł do tomu "Modlitwa na wojnę", wydanego w 1946 roku przez "Światopol". W dziele drugim znalazły się wspomniane wiersze o tematyce ukraińskiej, dział trzeci i czwarty związane są z pobytem w Hiszpanii, następnie idą wiersze erotyczne, religijne i osobiste. W zbiorze tym są trzy utwory nigdzie nie drukowane, między nimi "Tryptyk zamiast testamentu". Cytat z Wierzyńskiego, zastosowany jako motto do pierwszej części tego tryptyku, pochodzi z listu prywatnego wysłanego do Łobodowskiego jeszcze ze Stanów Zjednoczonych, przed powrotem znakomitego poety do Europy.

Prawie wszystkie wiersze były wydrukowane w poprzednich zbiorach, lub czasopismach literackich przede wszystkim w londyńskich „Wiadomościach”. Tom niniejszy pomyślany został przede wszystkim jako podsumowanie dotychczasowej twórczości, głównie emigracyjnej. Wybór wierszy został dokonany przez autora.

Załamala się noc, księżyc w chmurę się stoczył
i zgasł —
gwiazdy płyną nad nami,
jak rozsiane na wiatrach ognisko —
tylko mrok, tylko las
otoczyły czarnymi skrzydłami
i za górską przełęczą ostatnia granica już blisko.
Gdzie i dokąd naszej pieśni się nieść,
słowom jakich tęsknot i pragnień,
kiedy drzewa zamarły i stoją, milcząc, nad Prutem.
Zeszedł żołnierz na drogę,
po rękojeść wbił w ziemię bagniet
i żalobną zwiastunkę wieść,
jak śmiertelną wypił cykutę.

Jeszcze dech pod mundurem,
niby serce schwytanego wróblą,
jeszcze wargą zdrętwiała odezwać się sili...
Idą widma skrwawione
spod Chabówki, Krakowca, spod Dublan,
wyrównują dwuszereg i pytają:
— Coście z nami zrobili?

Wieś w dolinie usnęła,
przywalona czarnym smutkiem strzech.
Żołnierz słucha we śnie:
— czwarty szwadron do walki pieszej! —
i podrywa się, i chwyta za broń,
ale w lesie tylko szum i śmiech
górskie echo w wąwozie
długo się śmieje i cieszy.

Wiatr od nizin węgierskich nadlatuje,
mokre czoła głaszczce —
w kozłach broń ustawiona,
już jej ręce jutro nie chwycą —
i pod wiatru dalekiego tchem,
narzuciwszy na skronie płaszczce,
czwarty szwadron śpi nad granicą.

Oj, ścielił się po ziemi siwy dym,
oj, zanosila się harmonia w skocznym tańcu,
kłaniał się nisko wiatr, a wierzby razem z nim,
gdy kawaleria szła przez łańcut.

A potem noce stały w ogniu gwiazd

i czarne dni zatrąty, jak straszycła.
Po obu stronach drogi wyczekujący las
unosil nas
na swoich skrzydłach.

Na krowy, zlizujące rosy gorzką sól,
kładały się cienie wirujących ptaków
i w huku maszyn, śpiewie kul
plutony szły do kontrataku.

Artyleryjskich koni ciężki kłus,
piechota biegła polem, tabory szły na przemian,
- gdy żołnierz padł na ściernie, u spieczonych ust
dyszała czarna, polska ziemia.

Hałas motorów wieczorami cichł,
biły po rękach mokre liście jeżyn,
na szosie i po rowach wśród strzaskanych szprych
leżeli martwi kanonierzy.

Wszedł koń zziębnięty w bystry San
i chciwą wargę w zimnej wodzie topił
za nim kikuty białych ścian,
stopami zanurzone w popiół.

Takeś, żołnierzu, krajem szedł,
takim go, dni wrześniowe, znacie —
i naszeptował mu żałobny wiatru flet
jego ostatni, cichy pacierz.

A teraz zmorzył ludzi ciężki sen,
leżą, zwaleni snem strudzonych chłopów,
jakby nasłuchiwali, — gdzież jest ten,
co miał ostatni zejść z okopu?!

Ponad granicą żołnierz śpi. A paszcze lwów
rozdiera ryk i gniew podnosi grzywy,
że w czarnej dobie klęski znów
uchodzi z kraju pół rycerzy żywych.

Tylko wiatr w ostatecznej odpowiedzi,
tylko wiatr po górach rozpędzony.
Żołnierz rzuca się we śnie i bredzi
imionami matki i żony.

Woła matka: Synku, synu! Oto marznę nocą,
ziąb się wdiera przez wyrwane wierzeje...
— Matko, matko, przyjść nie mogę z pomocą,
wbity w ziemię

mój bagnet rdzewieje.

Woła żona: Mężu, mężu, dopomóż!
Otom głodna, bezdomna, w jednej chuście...
— Żono miła, sam dziś nie mam domu,
świat mnie zdradził,
wódz mnie opuścił.

Tak dotąd jeszcze noc, marszcząca brwi,
i ciężar snu —
toczą się gwiazdy w kołowrocie wiecznych przemian.
Pobity żołnierz śpi,
lecz w mroku znów
niepokonana wstaje ziemia.

Bezsilny bagnet rdzą przeżera ból,
ucichły pieśni potargane tony,
lecz za górami z krwią przesiąkłych pól
zbudzi się świt
Nieustraszonych.

Ucichł niepokój straszliwego dnia,
gwiazdami noc do źrenic prószy,
w bylinach wiatr, jak czyjś ostrożny krok —
znad sadów mgła,
czy siwy dym pastuszy —
to śmierć odchodzi od żołnierskich zwłok.

Sine pagóry stromo zbiegły
ku dolinom,
wieś, ciężko dysząc, zwała się na wznak,
pod stopą dźwięczy szkło i skrzyp strzaskanej cegły,
na wargach smak gorzkiego płynu
i serce tłucze,
jak złowróbnny ptak.

Urocze głosy i kroki nam nie kłamią,
wtórzą im cienie smukłych topól —
gwarzący liśćmi mroczny sejm...
Teraz na dnie tej nocy, jak na dnie okopu,
żelazo z ramion
razem z troską zdejm.

Pod niebem roziskrzonym, jak pod gałęzią wiśni,
niech ci zabrzęczą gwiazdy złotym rojem pszczół,
i niechaj ci się jeszcze raz
miniona prawda przyśni,
w którą wierzyłeś,
nimeś oczy widokiem zguby struł.

Na mrocznym polu śmierci świeci ktoś latarką,
do czoła lgnie topoli
mokry liść — —
i noc, i wiatr, motorów głuchy warkot,
i oddech gwiazd, pod którym powoli
trzeba iść.

Więc jakież sen w tę noc wywołać
i dźwięki czyich imion,
gdy cała ziemia, jak stygnący trup,
i mgliste drzewa, jak gromnice dymią
u milczącego sioła wyprężonych stóp.

Błady świt senną ziemię z drętwoży wynurza,
wiatru śpiew
na najwyższej oberwał się nucie, —
w wyrwach śmierci, wśród klęski potrzaskanych drzew
legli cicho na wzgórzach
bagnetami polskimi wykluci.

Obróć oczy za siebie, rachmistrzu żałości,
policz znaki doczesnych met
na cmentarza wiejskiego darniach.
Hołubiła nas ziemia, kołysała w szelest i szept,
teraz żyły i kości
z powrotem w ramiona przygarnia.
Stoi obłok wysoki, ptak świergoce,
cisza dzwoni świerszczem.

Wszystko, ziemio, widziałaś, żeś taka spokojna.
W łunach zmierzchy i noce
napływają nie pierwsze,
nie pierwszyczna ci pożar i wojna.
Wszystko, ziemio, przetrzymasz, przeczekaś
i wytrwasz —
ty się jedna nie poddasz, choć ugną się słabi.

Cóż że nam osmalonym w odwrotach i bitwach,
ciężki sen na powiekach
i w rękach bezsilny karabin!
Przeminiemy — i serca, zwątlące, jak воск, pod tą zorzą
gasnącą w czułych piersiach zastygną,
inni oczy radosne do szczęścia otworzą, obojętni na mroczny nasz głos
przepalony klęską i maligną.

Ciężka chmura zapowiada się gromem,
wschodnie niebo stoi w błyskawicach,
otwierają się dni nowym dziejom i przyszłym latom.
Dziś, gdy oczy znużone
zakrywa nam śnica,
odsalutuj nas, czarna zatrato!

A kołysz-że się kołysz, kolebeczko lipowa,
leż, syneczku, cichuteńko, jak ta trusia...
Twój ojciec nie powraca, gdzieś na polach, w dąbrowach
ciężko pospać się musiał.

Przed słońcem się zasłania, patrzy gospodyni,
siwe oczy wypłakuje matka stara —
jedni snem nieprzespanym polegli, a inni
na dalekich Madziarach.

Zagładają malwy w okienko,
niska mgła nad łąkami się ściele, —
— dzwoń w ostrogi, przytupuj, jakieś ułan...
Szła śmierć dołem, wadołem, przykucnęła w popiele,
gdy rannego żołnierza poczuła.

A cóż to się ludziom wydaje,
że nie pierwszy z ciebie w całej wiosce tancerz...
Niechże wyjdą przed progi sąsiedzkim zwyczajem,
gdy powracasz na żałobnej furmance.

Kiedyś szedł do poboru, było prościej,
zwykły chłop, to i głupi!
Gospodarzy nie stało, gdy nadciągnęli goście,
a tyś jeden własną krwią się upił.

Teraz sobie podumaj, leżący na miedzy,
na coć chłopska zdała się krzepa, —
wystrugali ci krzyżyk milczący koledzy
i odeszli i ślad po nich przepadł.

Śnieżne wiatry przelatują przez to martwe pole,
stara wierzba się chyli — —
oj, przepili panowie twoją chłopską dolę,
jeszcze raz ją po karczmach przepili.

I pieśni nad twym grobem, jak krzyk świętokradczy,
choćby najbardziej szczere.

Jedno to:
przed swoimi i wśród obcych zaświadczyć,
jakoś dobrym był grenadierem.

I mroczny cień się kładzie na ostatnich słowach,
wargi bezdźwięcznie coś plotą...
A kołysz-że się, kołysz, kolebeczko lipowa,
śpij cichutko, żołnierski sieroto.

I

Opowiedzcie wszystkim obcym ojczyznom
o nieznanych im dniach polskiego września,
o nieśmiertelnym boju pod Wizną,
dotąd nie wyśpiewanym
ani w legendach, ani w pieśniach.

Jeszcze żyją okoliczni chłopi,
przekazujący tamte dni wciąż nie ziszczonym latom
świadkowie ponownie nadaremnych Termopil,
po których nie miał przyjść
żaden zwycięski Maraton.

Najpierwszy grzmot nadzieją się przedłużył
i nocna ziemia stygła w krwawych ranach,
gdy spadł na skrzydłach czarnej burzy
żelazny korpus Guderiana.

A naprzeciw placówka, która tylko śmierci
do swojej klęski zechciała się przyznać...
Zalegli w schronach osamotnieni strzelcy:
na głównej linii oporu odcinek Wizna,
o drugi krok od zguby pododcinek Gielczyn.

Nike bezgłowa, ty jedna wiesz, co czynisz!
Jako w katedrze kamienieckiej rycerze owi
przysięgali, że jej za życia nie opuszczą,
nieulękli kapitanowie:
Schmidt i Raginis.

Ty, poeto, o nich opowiesz,
choćby twe słowa miały zginąć na pustyni!

II

Każdy się zgodnie w tej samej myśli ubezpieczył:
świt nadejdzie, zaraz noc jego śladem...
Wiedzieli, że daremnie spodziewać się odsieczy;
nie będzie jej.
Są skazani na zagładę.

Nie będzie więcej zmierzchów i świtań takich,
by się ich urodą zachwycać.
Ale o nic, piechurze, nie pytaj,
póki znajdziesz naboje w ładownicach.

Raginis, Brykalskiego, Schmidta
wnet opadnie wiekuista śnica.

Już się szala ku ziemi na zawsze przechyla,
Trębacz, graj ostatnią waletę!
Jeszcze z garścią żołnierzy porucznik Wiland
otworzy sobie drogę bagnetem;
kapitan Raginis założy ostatnią taśmę,
potem wybuch granatu...
I już mu jest najjaśniej,
gdy swe życie ofiarował ojczystemu światu.

Nike Samotracka, tam ciebie właśnie
zabrakło
więc od zapomnienia ich uratuj!

III

Już nie ma amunicji.
Kapitan Raginis kazał swoim ludziom się poddać,
za granat uchwycił,
otworzyła mu się niebiańska gospoda,
gdzie czekali kamienieccy rycerze,
nie chcieli zamknąć gościnnych wierzej...
Święty Piotrze, rękę mu podaj,
tenże młode życie złożył w ofierze.

IV

Nadjechał niemiecki pułkownik,
obejrzał gromadkę skrwawionych żołnierzy.
„Gdzie reszta jeńców?” „To wszyscy!”
„Ilu wśród nich oficerów?” „Ani jednego, Herr Oberst!”
Zasalutował. Odjechał.
Polscy oficerowie pod Wizną wybrali śmierć.

Tylko jeden z nich, ciężko poraniony,
nie oglądał kapitulacji...
Wszyscy myśleli: kapitan Schmidt także nie żyje.
Wyżył. Jest polskim emigrantem w Londynie.
Na wieki z bojem pod Wizną związane jego imię.

V

Widziano.
Pod nawałą artyleryjską,
zda się, wiek heroiczny na chwilę przystanął
nad małą chłopską dziewczynką,

co rozpalala przy miedzy ognisko,
by dla żołnierzy
upiec ziemniaki w gorącym popiele.
Raz jeszcze z karabinu do wroga wymierzył ostatni walczący strzelec.

Nieśmiertelna Bogini Zwycięstwa,
jakże temu chłopskiemu dziecku
do twych skrzydeł rozwianych było blisko!

VI

Ziemia otworzyła się szerzej
na przyjęcie żołnierskich zwłok,
na krew, wytoczoną z żył — ostateczne i najświętsze przymierze.

Gdybyś tam wtedy był,
tobyś odzyskał zachwycony wzrok,
ślepy Homerze!

Smagłe tokańskie madonny schodzą ku sinym dolinom
i zmierzch błękitny ze smukłych dłoni trzęsą
Jeżeli teraz w tawernie stare podadzą nam wino,
a jeszcze pieśń się odezwie, nie mniej od niego wytrawna,
jeżeli z gęstwy oliwnej ku dziewczki uśpionej rzęsom
wychyli się postać fauna,
jeśli zmęczony osiołek zabrnies w przydrożne osty,
podczas, gdy stary włóczęga ręce na kiju wsparł,
jeżeli zwykła mowa zwiąże się nagle w akrostych
i noc zapłacz gwiazdami, iż rzewny chwycił żal ją,
ten wina smak, ten zmierzch, ten pieśni czar
są właśnie kołyską snów,
są Italią.

Kto jej marmury do takich kształtów zmuszał,
że bicie dłuta gra echem w każdych płucach,
Buonarottich imię z nazwiskiem Medyceusza
połączył, jak się róża przez portal kamienny przerzuca,
kto w Portinarich dziedzicze Muzy rozkochał,
i nad Veroną niebo rozczulił, że dotąd szłocha,
kto w cieniu twych słów, Cezarze, kampanillami rósł,
tego nie zdradzi zbroja w hartownych łuskach,
gdy targnie się stopa Herula, albo Cheruska
na rzymskich świątyń gruz.

Jakże się teraz moim najczulszym zamysłem
i jaką przed twoim czarem wykupić ceną?
Nie odgradzę się, nie oddzielę najszerzej rozlaną Wisłą
od nurtu, w których córka Fulka zanurzała swoje ręce;
obłok, co stoi nade mną, przedtem nocował nad Sieną
a ranek spędził w Firenze.

Gotowe muzyczne narzędzie, jeno je przytknąć do ust,
same kamienie się proszą ku chętnym dłutom;
jeno oczyścić z pleśni brązowy biust,
kiedy go smagły wieśniak lemieszem z roli wyrze...
i wszystkie lądy i wszystkie słowa
już z więzi mroków rozkute
dla twoich spraw, dyktatorze!

II

Nie poszły żelazne legie ku polskim borom,
konsul z pól polskich nie zebrał krwi, ani danin,
nie byłem twoją prowincją,
lecz śmiało wchodzę na Forum,

jeden jedyny Słowianin.

Bo modrzew świętokrzyski rozkwitł mi w rzymski kościół
i szumi wiatr Kampanii w sosen proporcach
i nieraz widziałem nocą,
jak w renesansowym Zamościu
pod rękę z polskim Kanclerzem
szedł Medyceusz i Sforza.

A teraz, jeśli w mym wierszu życie pochwałę
i rytm skandować mi będą czarnolescy, świerkliwi pracy -
zda się, jakby pod białym,
w zieleni wtopionym portalem
siadł na spoczynek Horacy.

Więc czemuż, gdy rzymski żołnierz nad polską Wisłą
padł odsłoniwszy pierś nagą zakutym w stal Wizygotom,
przed śmiercią dobrze dojrzał,
jakeś w twarz pełną garścią mu cisnął
i obtarł z twarzy swej błoto?

Odtąd już nigdy mi dawnym spokojem nie westchnie
słodycz italskiej mowy w dźwiękliwych kantylenach.
Wciąż słyszę, jak wieńczy wawrzynem
zabójcę klerków i wszechnic
stary modeński senat.

Takiego grzechu przede mną nawet nie żałuj,
wyrok wydano straszliwy i ja go nie zmienię!
Po wieki będziecie słyszeć jęk mordowanych foliatów
w grozą pobitej Modenie.

A jeszcze, abym ci bardziej serce poraził i zląkł,
wyjdę na rynek z krwawą, garibaldyjską koszulą,
patrz, ludu rzymski,
raz jeszcze, tym razem z własnych twych rąk
poległ Francesco Nullo.

III

Któryś italską togę z kwirycznej bieli odbarwił,
Zdrajco Leopardiego, morderco Tassa!
Smagłe tokańskie madonny schodzą ku sinej Narwi,
botticelowska wiosna błądzi w sosnowych lasach,
w polskich przylaszczkach, w czerwonych makach i chabrach
rozkwitła młoda pieśnią skalna Kalabria,
grają dzwony Verony na spalonych warszawskich wieżach,
mediolańska katedra chwieje się, jak czółno,
aniołowie ją opuścili, idą na Północ

i Syn marmurowej Pięty
ma rysy polskiego żołnierza.

I gdyby dziś ów starzec z wyżyn Gibilrosy
dojrzał czyny tej ręki, co w ojczyźnie ster ma,
odpłynąłby, jak chmura, znad dachów Palerma,
jak chmura, ognistymi roziskrzona włosy.

Bo piołunowe, z Etny zrodzone obłoki
widziały inne czyny pod niebem tym samym
i znają duchów niezłomny testament:
biada ludom, co własne zdradzają proroki!

Zanim palec wyroczny na czoło tve wskazał,
już mogłeś z niespokojnych domyśleć się snów,
że żywioł ognia i żywioł żelaza
twój wieniec dyktatorski na glinę przetapia
i musiałeś usłyszeć
zwycięski rytm polskich słów
na Via Appia!

I

Tobie śpiewam, o, Ukraino, ciebie pochwalam
W pieśniach, co szumią urocznie, morskim podobne falom,
nutą stęsknioną, dźwięcznym słowem, wezbranym rytmem.
Jak skrzydła, co trzepocą w nieustającą modlitwę,
oddechy twoich wiatrów smagłe i wonne;
gdy grzmoty huczą nad tobą, to grzmoty tysiąckonne;
Jarzysz się w srebrze gwiazd, jak bizantyński obraz,
gorączką spalasiz wargi i miłość twoja niedobra
uwodzi synów człowieczych w niepokój burzy i w wichry.

Głosy, co wiały nad tobą, jeszcze nam w sercach nie ścichły,
sprzeciw i bunt napotkawszy, walką zwycięską się wzmożyły.
Oto na usta się kładzie pyszny twej mowy złotogłów,
płyną pieśni dźwięczniejsze, niż miedź horacjańska,
opadające rytmiczniej, niż fałdy kute w marmurze,
rozzucasz się cała w tych dźwiękach, chłopska i pańska,
i nie wiesz, stojąc olśniona, czy to słowiki, czy róże.

Ciebie, miodna i mleczna, buraczana i pszenna,
ciebie pochwalam, Ukraino, w męce odwiecznej codzienna,
sama sierota płacząca, dla własnych dzieci macosza,
żołnierska pchana kolbami w dziedzińcu obcych koszar,
tobie poświęcam, od lat wsłuchany w bolesny lament,
ten niespokojny i rytmem krwi wykołyszany heksametr.

Potomek smagłych twych synów, co na szlacheckie Mazowsze
przynieśli oddech stepu i w piachy, ileż jałowsze
od czarnoziem bujnego, krwią się wsączali i kośćmi,
oto się zrywam na głos nieuciszzonej miłości,
Oto powracam pieśnią, trwożny, jak drżący niemowa:
— Ojczyzno moja najpierwsza,
ojczyzno powrotna, bądź zdrowa!

II

Gdy gospodarze słuchają, ćmiąc machorkę, w mrocznych akacjach,
chwilę trwa cisza, nim chór pieśń swoją podjął,
jeszcze dziewczka spóźniona przebiegnie, stepowa Gracja:
czym wtedy jesteś? — Melodią.

Melodia spadnie na serca, iskier nakrzesze,
żrenice rozewrze szerzej, zbudzi zaklęcia stare,
w kuźniach na noże święcone twoje lemiesz —
czym wtedy? — Krwią i pożarem!

Nocne melodie ścichną, krew się ostudzi,
księżyc gardziołka słowików w srebrzyste flety zmieni,
o świetle będziesz zieleńsza od winnej Burgundii,
bardziej łunna od Andegawenii.

A jest jeszcze słońce, stary i krzepki płatnerz,
co czarną rudę ziemi przekuwa w złoto pszenic,
wiatr twój osmala twarz na brąz brunatne
i oczy harde, jak sokół, mą każdy młodzieniec.

I, jakby na przekór stepom, cerkiewny barok
uderza w niebo potężny, jak Magnifikat.
Płynie ku twych przestrzeni błękitno-złotym sztandarom
muzyka rzewna i dzika.

Za cóż cię jeszcze przed całym światem pochwałę,
do jakiej cię porównam błogosławieńskiej ziemi,
gdy słyszę głosy, co się wrywają w twych pieśni interwale
skrzydłami archanielskimi.

Jak Trzej Magowie Święci, Zachód, Wschód i Południe
znoszą węgiel i sól, mangan, żelazo i cynę...
Ach, może przez owe bogactwa właśnie ich dłoniom najtrudniej
zmienić ten świat w Ukrainę!

III

Na wątlących kartach, które niewielu przeczyta,
w zdławionych słowach, co hymnem są i modlitwą,
żyje rządna i prawna, zasobna Rzeczpospolita,
ku idącym gotująca się bitwom.

Tam się nowe pieczęcie na wiecznych znowach kładą
i duchy przylatują, aby wiecować u mnie,
Anioł, zelżony przez was, przychodzi, jak ambasador,
posłujący od Boga, więc posłujący najdumniej.

Żem uniósł w chwałę, co u nas było w pogardzie,
i glorię żyjącym w niewoli bez lęku przyznał,
nie masz wśród was nikogo, co by zasłużył bardziej,
by go nazwała ojczyzna.

Rządcy docześni, dawno skazani przez czas,
o sercach, nie przepalonych w ducha komuniiach,
oto w pochwalnych mych słowach
bez was i mimo was
stara odnawia się Unia.

IV

Ojciec mój, gdy go wicher przeznaczenia zaniósł,
w czarnej kozackiej ziemi, na znojnym Kubaniu
spoczął, dług emigrancki spłacając swym prochem.
Tak ja dziś wracam pieśnią ku siwym porohom,
w sęki trumien zbutwiałych strwożony uderzam,
jak gdybym pragnął tęczą nowego przymierza
połączyć dwie ojczyzny, sam na pół rozdarty.

Ale ty, Ukraino, me serdeczne karty,
co chciały być odezwą i uniwersałem,
a ulatują z wiatrem, jak gołębie białe,
jeszcze kiedyś w szczęśliwszych dniach przyszłości twojej
odczytasz, jak się czyta modlitwę przed bojem,
i uznasz za swojego, czy później czy wcześniej,
poetę, co był Lachem, a sławił cię w pieśni.

Wiśniowe sady koło każdej chaty,
słowicze głosy uwikłane w gąszczach,
zmierch ukraiński, jak cichy wijatyk,
kiedy drzewa i serca stoją w bieli,
jeszcze nuta basowa złotego chrabąszcza,
ledwie tknięta struna wiolonczeli.

Chmiel zielony wije się u zbocza,
szumi woda w polewanych dzbanach,
chłodna woda kryniczna, dostała, jak wino;
zanim noc gwiazdozbiory rozżarzy w warkoczach,
przyjdą cienie wieczorne w srebrno-sinych żupanach,
w niebie także srebrno i sino,
a na łąkach świętojański zapach siana...

Jakby znów pochyliła się, smagłe
dłonie położyła na oczach bardzo
rzewna i smutna Oksana.

Ach, opada zawieja kwiecista ku rzęsom,
słowikami, gwiazdami oboje przysypie.
I jaśminy zroszone pod wiatrem się trzęsą,
czy to noc czy gorzałką upaja? Na wesele
wyszedełś, a hulałeś na stypie
i rzuciła się krew z korowaja.

W szczerym stepie wędrowny zabłąkał się wóz,
fala śpiewu unosi go w noc i kołysze. Skoczy
wicher zatruty do ust,
ciężkie jarzma na schylonych karkach.
Humań dzwonem alarmu coraz ciszej i ciszej,
nóż święcony z krzepką dłonią się zróśł...

Czehryń w ogniu
i w dymie prochowym Wapniarka
nieunikniony twój mus.

I nie opadł przed świtem chmielny durman pijany,
było krwi i gorzałki po brzeg!
Siedem wichrów przewiało nad Rzeczpospolitą,
teraz szumią, śpiewają srebrne struny rzek,
wtórzy echo tatarskim kopytom,
przysłuchują się stare kurhany
nowym dziejom i nowym panom...

Puścił cię chytry Moskał, puścił z głową pokrytą,
Ukraino moja, Oksano!

Mroczne niebo w złocistych błyskach,
noc się zbliża w szumach i szelestach,
noc się zbliża, a piaszczysta pustynia kirgiska
stoi cała w słowikach i chórach,
i kołysze się pieśnią uniesiony Turkiestan,
jak na wiatry porwana bandura.

Z krzepkich ramion sołdacki obsunął się szynel,
sama ziemia go niesie, na usługę nieskąpa.
Oto wraca w śpiewającą Ukrainę,
zwykły lirnik, a jasność niezmienna,
prosty chłop, a tak patrzy i stąpa,
jakby w dłoni hetmański miał piernacz.

Jakież głosy zawołają Jezechielom,
jakież struny zapłaczą Jeremiaszom,
Jeno drzewa wiśniowe po sadach się bielą,
złote roje ociężałych pszczół
i upiory stepowe nawzajem się straszą,
z bujnym wiatrem ująwszy się wpół.

Pieśń nie zginie. Na lasach przeczeka i wodach,
w czarną ziemię wsiąknie jak dym.
Potem echo echu ją poda,
z prostej śpiewki urasta w hymn,
i już usta, co od buntu od dawna odwykły,
piją słodkich urocznego trój ziela:
na jarmarkach, na chrzcinach,
na pijanych weselach
jest jak hasło i wojenne larmo...

Więc już można mogiłą spokojnie się przykryć,
dobrze wiedząc,
żem żył nie na darmo.
Idą lata huczące w pogłosach i surmach,
sen niejeden leżącemu się przyśnił.
Coraz wyżej urasta kaniowski mój kurhan
i noc szepce do samego rana,
jako niegdyś szeptała wśród słowików i wiśni
zawstydzona i rzewna Oksana.

Długie cienie wieczorne od schylonych ścielą się wierzb,
przebiegają przez drogę, szerokim rozlały się stepem.
Leci wicher swobodny, w źrenice znużone i ślepe
sny błękitne nawiewa, precz wymiata śmiecie i perz.
Wylatują z świecami, na ciemnych przystają werandach,
płomień chronią palcami, wypatrują — dokąd i jak?

Złoto gwiazd migotliwych na niebo się sypie jak mak.
W mokrym sadzie szypszyna, neczujwiter i wonna trojanda,
białe kwiaty tarniny... A ty, nocko, ty czarowniczko,
depczesz ścieżki wilgotne, słowiczeńko zawodzi dla ciebie...
Wieczornymi wiatrami, kwiatami nawiało ci w liczko,
Wzrosła smukła kalina nad tymi, co padli w potrzebie.

Dymi kraj czarnoziemiu mgłą wieczorną, krwią zaporoską,
sinym ogniem armatnim... W noc czerwcową nie wychodź, nie wołaj!
Puchacz w łuhu odpowie, zawyje wilkołak,
zawtóruje szyderczo codziennym rozpaczom i troskom.
Bredzą we śnie dziewczyny o piersiach twardych i stromych,
księżycowe ogrody, podobne srebrnym kolebom,
po głębokich bajrakach noc i strachy, a domy, nie domy
na skrzydlatych topolach wylatują jak czajki pod niebo.

W mroku jedziesz przez step, końskiej głowy zatracą się kontur,
krzyki wieją nad głową — lecą stada gęsi i kaczek.
A już trawa się gnie, a już wiatr spod Uralu czy Pontu
rwie burzany i niesie, i do ziemi przypada i płacze,
jasny księżyc zdmuchuje, czerwienią go krwawą nasycą,
znów podrywa się w taniec, przepada w bezdrożu wertepów,
aż opadnie bezsilny w bajraki i łuna księżycą
całe niebo zaściela i tętent rosnący wśród stepu.

I w czerwonej kurzawie cwałują po zdobycz i chwałę
śmigłe konie stepowe, łyskają miecze i szłomy.
To na czele drużyny nadjeżdż Jarosław Osmomysł,
za Połowcem w pogoni nad ciemnym się wstrzymał

Kajałem...

Błyskawice w obłokach jak złote niebieskie wrzeciędzie,
huczy grom, sina woda się pieni — i zjawa i zwid:
— Idzie groźny Archanioł w zawierusze szabel i dzid,
ludzkie ciała roztrąca jak plewy i woła: Osądzę!
— ściiera miasta bogate, grody warowne wyniszcza,
wody w rzekach wysusza, szarańczę posyła i grad...

Lecz już wdzięczne litaury biją na zgłiszczach,
utoneły w zieleni białe ściany przestronnych chat.
Zakwitają czereśnie, zakwitają i usta dziewczętom,
ciepły wieczór nadchodzi i gwar na majdanie...
Rozlegają się głosy, bo wiosna, bo taniec
rozkołysał, rozsastał ten wieczór, to święto,
wściekłym wirem zakręcił, spódnic wichrzastą zawieją,
podkówkami rozkrzeszał, złotym kurzem spod butów trzepie
i oszalał do reszty i potoczył się wichrem po stepie
na spotkanie pochodom bitewnym i klęskom i dziejom.

A w ogródku wiśniowym wieczorami śmiechy i szept,
dzwonią głosy dziewczęce i mrok rozstępuję się szerzej...
Stamtąd świata nie słyszać i nie widać dalekich met,
tam piosenka o Hryciu, malowane misternie talerze,
chusty szyte jedwabiem, szarawary szerokie jak morze,
złote łany pszenicy, stada wołów w jarugach i bałkach,
żrebiec rwący się w przestrzeń i czy lepiej komu, czy gorzej
na weselach i stypach strumieniem się leję gorzałka.

Ukraina niewolna, wróg ją depce — Moscus Inimicus!
Ukraina zielona, rozrzucona po jarach i polach,
stygnie w mroźnej zawiei, zamiera bez krzyku,
wypatruje w rozpacz, gdzie wola jej i gdzie dola...
I nie widać by słońce na kozackich skrzyło się spisach,
i nie widać sztandaru wiejącego ku chmurom,
jeno niebo jesienne nad krwawą krainą nawisa,
jako szynel twój szare, atamanie Symonie Petluro!

Idą pułki na zgubę, głośny okrzyk: — Jeszcze nie umarła!
Huczą koła na bruku, siny zmierzch pod mostami Paryża.
Rudy strumień jesieni jak krwotok napływa do gardła,
leczą liście na ręce, złote liście kładą się na krzyżach.
I żelazna epoka przechodzi nad nad twoim narodem,
gasną żagle stargane na bryzach dalekich i morkach,
szumi ptactwo skrzydlate, wędrujące za siódmą, za wodę,
smagłą dłonią je żegna czarna noc, dobroczynna znachorka.

Luta, czyny, zwycięstwa, obrócone w popiół i niwecz,
Lata znojne, lata bezsenne, któż przypomni was i odważy?
Gwiazdy niebem się toczą, jak łzy gorące po twarzy,
huczy morze dalekie, wezbrane spienionym przypiływem,
konie broczą we krwi, drżące serca przeszywa sztych,
gasną lasy spalone, miasta stoją w łunach i gloriach...
Po kamiennych wiaduktach ze skrzypem butów i szprych
maszeruje, upada i tworzy się krwawa historia.

A uroczą godziną wśród podolskich pagórków i dróg
pociąg-widmo nadjeżdża, staje przed samą Winnicą.

Świeci ogniem zielonym w ślepią biegnącym wilczycom,
ciężko dyszy w ciemności, znów rusza w łoskot i huk.
Otwierają się groby, powstają wojska pobite,
oczodoły gnijące kierują na Korsuń, na Kijów...

Tak nim słońce wypłynie, ptaki czujące przed świtem
podrywają się z gniazd, drżącymi skrzydłami biją,
wybuchają radosną pieśnią... Nad nimi niebo, jak fryz,
pełne bogów, zwierząt, obłoków, płomiennych jak Synaj —
przewalają się wszystkie — wtedy ludzie wychodzą z izb.
Koniec nocnym widziadłom. To dzień się zaczyna.

I.

Odpywa ziemia znużona ku nocnym snom,
i dymią mgłami moczary — bliska już jesień.
Odlatujące kaczki krzykiem żegnają Polesie,
księżyc w rzece zielonej utkwiał jak srebrny prom.
O, nikłe ślady na wodzie, które wygładził czas,
ścieżki, które niedługo wichura śniegiem zaniesie.
Z listowiem poszarpanym stoi las,
huczy woda na drewnianych stawidłach,
szumi na jazach,
i nad ubogi kraj, nad kurne chaty, nad bór
chyli się niebo z sinego, zimnego żelaza.

Dolinami, równinami się ściele
drzewna dziedzina Krywiczów,
pluszcze wodą, szumi trzcina wysoką u smolnych burt;
chłopski, nieprzełamany, zgrzebny obyczaj,
wplątany w sosny szumiące, w leniwy nurt;
przez siedem ogni i wiatrów surowe go lata przepędzą,
dzień z popiołu i krwi nad krajem wstanie,
nad rozlewami rzek, nad ludzką nędzą
przewieje próżne burz nawoływanie.

Ku włosom przewoźnika młoda brzoza sięga,
dym snuje się ku niebu, gęsty, smolny dym...
Archaniołowie przechodzą w siermięgach,
które wybielił żar poleskich zim;
sitowie ledwie westchnie, duszehirą trąci
pień starej wierzbki i zniknie za ciszą...
Znowu wypłynie księżyc i na horyzoncie
czarne rumaki zmierzchu łbami zakołyszają...

Obrosłe mchem bagiennym krzywdy wieloletnie,
pieśń żałosnego buntu u warg.
Samogonem spalone, nieuczone słowa
które wichur nawija na wierzbowe fletnie
i gra o zmroku, gdy ogniska żar
oświeca twarze...
Więc cienie w parowach podchodzą, osaczają, już nie ma ratunku.
Wielkie gwiazdy na niebie, ciężkie krople rtęci... Tylko to:
gdy z zapachem nocnej sianożęci
zleje się w jeden oddech
ostra gorczy trunku.

Jakiż ci noc pijana ukazuje wyrok,
ziemio bujna i grzeszna, ziemio, która wróżysz.
Spływają leśne wody ku słuczom i styrom,

topole gną się wśród burzy;
widma stoją u wrót
luna za rzeką świeci, i wyją psy obłąkane,
zarazę wietrzą i głód...

Ty, Boże, miłościw nam bądź! — mylne prowadzić chcesz kroki!
Oto już grają wiatry, i nad kurhanem
palą się mroczne, wiosenne obłoki.

Nawieje zimą śniegu, napuści na okna mróz,
wilcy podejda pod wieś, konie się zdębą,
i znowu wiosna rozkwieci zielone kiście brzoź,
srebrem błysną pod słońce skrzydła gołębiom,
przednówek głodne dzieci na ług wygoni,
zadzwieczy kobiecy płacz,
i już czerwień jarzębin: to jesień...
Pod szept bizantyńskich modlitw, pod wtór harmonii
uśnie zamglone Polesie...

A oto spadają na rzekę senne roje much,
i księżyc już się toczy po sosnach i chojarach.
Zamącić ciszy nawet się nie stara
leniwy wiosła strudzonego ruch,
już tylko w trawy i wikliny skrzypie
spętany żrebiec na ługu zaparska,
i wiekuiście czujna ręka gospodarska
na niebo owsa srebrnych gwiazd nasypie.

Skrajem bagniska Poterczata
błądzą, w grzechu poczęte, zrodzone bezwstydnie;
z gęstej olszyny wyglądają Złydnie,
czekają aż pogasną kaganki po chatach,
zakradają się w izby, myszkują za piecem,
złym jadem trują sny kobiece,
szukają wśród rupieci brudnych resztek jadła,
lecz nim po trzykroć ranny kur zapieje,
nikną, uchodzą na lasy i knieje,
na mroczne chaszcze i grząskie mokradła.

Przednówek. Pusto w poleskich komorach.
Ogromnym skrzydłem mokry wiatr łopoce;
o głodzie dzieci pokładły się wczoraj,
znów idą beznadziejne dnie i noce,
szczawiu nie znajdziesz, dawno zbrakło soli,
nie prędko kosy
młodą trawę zmacą,
i tylko wicher, wicher łopocący,
jak pieśń o brwiach sokolich
i o woli...

Hej, zazula, zazuleńka
kuła i wołała,
jak pańszczyzna — daremszczyzna
u nas panowała...

Hej, ty dolo, nasza dolo
gdzież się w światy niesiesz...
czyś się w rzece utopiła,
czyś zginęła w lesie?

Nie ma doli, doli nie ma,
zgubiona ze szczętem,
i od dawna wszystkie drogi
cierniem zarośnięte...

II

Dnia tego słońce zaszło bardzo krwawe,
i luna biła z dołu w mroczne stropy jodeł...
Jakby kto rzucił płonącą buławę
i świat poleski wielkim gniewem zażegł...
Ptactwo bagienne siadało na wodę,
odbijającą chmur kudłate twarze...

I tak oddane na papier pożarom
dymiły lasy. Rzeki pełne ryb
matowiały o zmierzchu. Smolnych wozów skrzyp.
Zielone dachy cerkwi. Jezuicki barok,
wyniesiony nad nędzą błotnistego Pińska,
dzwony jak niespokojne, krwią bijące tętna
i też sama żałosna, śpiewna i natrętna,
nieukojona nuta ukraińska.

Tu kładł się miecz kneziowski na puszczańskich smerdach,
i rżały konie skośnookich hord,
szła Jaśwież, krótki wydobywszy kord,
i słony wiatr bałtycki na skrzydłach Olgierda
wdzierał się w kurne izby. Gdzie topór z toporem
spotkał się w puszczy, tam grodzono świat.
Znów porastały mchami ściany chat,
i dymy znad smołami wstawały nad borem.

Rozgarnia mroczne trzciny moja łódź uparta,
i sypie się na fale much złocisty popiół...
Brodące iwy smutku nie utopia
w sennych rozlewach. Niedaleki tartak
huczy za lasem, a echo powtarza
i wraca śladem niespełnionych snów,

niepowtarzalnych przyrzeczeń.

I znów mokre gałęzie głaszczą nas po twarzach...
Noc nadlatuje z wolna jak olbrzymi cietrzew,
i historyczna noc zaludnia świat.
O skrzydła wioseł okręca się wiatr,
więc ciemne włosy rozwiane na wietrze,
ciągną do tyłu...

Któż je z nagle chwycił? Czyj przerażony, nietutejszy głos?
U ogniska, co śpiewa rojem złotych os,
siedzimy — oszukani wróżbici...

Strach, który płynie od gwiazd,
bardziej, niżli gdzie indziej, tutaj nas pobija —
tutaj, gdzie z ścian drewnianych patrzy mroczny Spas
i większym smutkiem darzy;
gdzie oczy przysypuje wiecznej nędzy proch,
gdzie od dzieciństwa skarżą się usta dziewczęce,
a pieśń, szafarka troski,
nie zna innych słów,
prócz tych, co dają folgę udręce...

Spij ziemio, otulona wełnistym kożuchem
wiosennych, pokłębionych chmur.
Ucichł pod wiatrem niespokojny chór,
i tylko szepty ozywają głuche —
doleciał znad moczarów bek dalekiej łoszy —
a wiatr się zrywa i myśli w nas płoszy,
że usta trwają w odrętwieniu nieme...
To zarżał koń, to oddech nocy,
ponad bagiennym czarnoziemem.

Jutro się zbudzą. Piękni i pokraczni.
Pójdą trawy soczyste kłaść kosy zamachem.
Pot im po czołach spływać zacznie,
drżąca fala strumienia napłynie na łachę,
w jałowcach mignie skrzydło kuropatwy,
srebrnym gwizdem napuchną gardziołka derkaczom -
i pieśni niewolnicze zapłaczą
nad nocnym strachem i losem niełatwym.

I nad harmonią ściśnie serce smutek luty,
i oczy zapadnięte pokryją się mgłą...
Jesienią chłopców zabiorą w rekruty
do miast uwitych w dym
jak w sine szkło.
Wigilia potem przyjdzie ośnieżoną drogą...
Zakołuje w pijanych głowach samogon,

szumiącą falą poniesie, ogarnie,
wyrwie się dzika śpiewka i w tupocie nóg
jak wicher pójdzie po izbie, za próg,
w noc przez chutory, chaty i smolarnie...

Wilgoć nawiewa z puszczańskiego mroku.

Wiatr w drzewach jakby mówił:

— Obudźcie się, wstańcie...

Krąży w drzewnej głębinie szmer ostrożnych kroków,

widać zbłądziłeś, panie policjancie!

Młakom i bagnom, okrytym żałobą,

młodego życia dzisiaj nie zaufaj! —

za tobą świąt wspaniały,

a przed tobą

splątane ścieżki i obcięta lufa.

O, ludzie, czarnej śmierci, jak ziemia, powolni,
niewyśpiewana nocy białoruska!

Sine jezioro w smolną burtę pluska,

jak zwierz ostępem pomyka podpolnik,

i nocne ognie dymią w trawie;

a niebem lecą wysokie żurawie,

na południe prowadzą lot ku znojnym Fontom;

koń głośno parsknął w mroku głuchym —

i z podłożonym pod głową chomaćtem

miarowy oddech śpiącego koniuchy.

III

Brzóz srebrne struny ranny wiatr nastraja,

i torfowiska stanęły we mgłach,

na krótki nocleg wciągnięty na piach

na nowo odżył lotny kajak —

i już nam drzewa nad głowami wieją,

stalowy wody nurt pod wiosłem rwie się —

i wstaje mgliste, zbudzone Polesie

ku nieskończonym nigdy odysejom.

Poniki rdzawych błot ku wielkim rzekom spłyną,
pozwolą dosiąść grzbietu dymnym tratwom.

Wybuchnie białe słońce. Wiatr

roszczesze liście jarzębinom —

na ługu zarzą konie, i po żółtym piachu

zaskrzypią koła wozów. Na zachód, na zachód...

Gdzie poleszucka pieśń w tęsknotę znów porasta

do wtóru rwących wewnątrz ziemi łopat,

i trudem znużonego, zgarbionego chłopca

idą do góry młode, białe miasta.

A tu powolny nurt i słońce na powiekach,
kończą się trzciny, i pod wiosłem czyściej...
Na skronie lecą białej brzozy liście,
jutrzenna ziemia oddycha.
Kraj czeka.
Wysycha puszcza, uchodząc ku stepom,
jak Odys z brzegów rodzinnej Itaki...

To z świstem piór żelaznych ptaki,
to bije z twardych warg jutrzejszy epos...

...za przełazem, pod topolą
szumi woda sina — a na polu,
na szerokim smuci się kalina...

To nie Szwedzi, nie hordy Timura, nie Batyj —
nie zagony Nogajców, ani napad Pieczynga,
siny zmierzch padł na ziemię,
przydusił ogrody i chaty —
trwożna cisza i mrok,
tylko księżyc na niebie, jak klinga.

Białe głązy na miedzy świecą jak kości umarłe,
chodzą ognie po stepie —
jasne oczy głodnych siromach,
Isniącym ostrzem łopaty
brunatne ściernisko rozdarłem
i czarnoziem wołyński wygarniam sprawnymi rękami.

Pada ziemia z szelestem.
Cicho dzwoni łopatka i bagnet.
Tutaj oprze się kolba, tam zimna zwróci się lufa.
Gdzież są ręce braterskie, które pojma,
gdy mówić zapragnę?
Gdzież są ręce braterskie,
którym serce huczące zaufa?

Chłodny wiatr od zachodu.
Srebrne gwiazdy na niebie jak ziarna.
Łokieć w ziemię wilgotną, czarną muchę na oko.
Kto usłyszy mój krzyk?
Jeno noc
szeleszcząca i parna
płynie wolno nad światem
i siny obsiada widnokrąg.

Trzeszczą grudy pod nogą.
Krótki ogień w ciemności trzaska.
Złote błyski w dolinie —
nieruchome, ogniste trzmiele.
To nie ziemia, nie wieczór.
To nie wiatr mokre czoła nam głaska.
Śpiewa chór niewidzialny
i zawodzą przez sen wiolonczele.

Dokąd wiedzie ta droga? Na Lubar, na Zwiahel?
Komu garbią się pola w samotną mogiłę?
Podpełzają pagóry
rudą ściernią, białą mgłą, sypkim piachem,
ciężki wichher się wali
na piersi i barki pochyłe.

W poprzek szyny błękitne.
Jak mrokom ogniste wyznanie,
grzmiący pociąg eksplozją znienacka.
Tędy białym nasypem
w grzmocie armat, łomocie kompanij
ku wschodowi się rwała
niespokojna pieśń hajdanlacka.

Złote błyski w dolinie — nieruchome, ogniste trzmiele.
Skaczą iskry błękitne
na rytmicznie wznoszących się lufach.
Skrzyp juchtowych rzemieni.
Brzęk żelaza. Stąpania i szelest.
Idzie młodych gromada,
z których każdy złemu światu zaufał.

Mocniej stopy o ziemię.
Skacze serce zduszone do grdyki.
Oczy w ciemność wpatrzone, ręka kolbę przyciska.
Pieśń na wargach wyrasta.
I już wiesz, że te błędne płomyki,
to nie gwiazd konstelacje
lecz wędrownych obozów ogniska.

II

Noc wionęła ci w oczy i martwo zagasła,
dzień wysoki i jasny
korowaja weselnego nie przyniósł —
tylko trumny słyszały
jak wojenne eksplodują hasła,
i na próżno rżał rumak
w rozstrzelanym szrapnelami Czehryniu.

Co dzień zachód wiosenny
ceglastą czerwienił się łuną,
wyły wilki w czaharach,
gdy księżyc czarne stepy wybielił —
szły tętenty stronami
i czujnym, wsłuchanym tabunom
siwy pastuch wygrywał na końskiej piszczeli.

Nad Kijowem nie milkła pieśń potężna,
mosiężna, studzwonna —
uciekali żołnierze,
każdy wpadał w bezludny zaułek —

rankiem widział poeta:
w mglistym obłoku Madonna
szła przez wieś zrujnowaną,
oganiając się od kuł jak od pszczołek.

III

Pada ziemia z szelestem.
Cicho dzwoni łopatką i bagnet.
Tutaj oprze się kolba, tam zimna zwróci się lufa.
Gdzież są ręce braterskie co zrozumiały.
gdy mówić zapragnę,
gdzież są ręce braterskie,
którym serce huczące zaufa?

To nie statki Normanów, nie Timur, nie Batyj,
nie zagony Nogajców, ani napad Pieczynga —
przysechł tłusty czarnoziem
do ostrza błyszczącej łopaty
i komenda świszcząca
do serca się wdziera jak klinga.

Świeży wiatr od Klewania. Gwiazdy błękitne świecą
Dyszą czarne zagony.
Późna noc naszym oczom zagraża.
Srebrne błyski łopatek,
falujące rytmicznie plecy,
które zgina i wznosi
zwykły ruch kopiącego grabarza.

I

I znów jak wtedy na białych kamieniach
stałem wody w rdzawy hełm zaczerpnąć.
Nie słysząc było z łąki żrebców rżenia,
ni bujne trawy szły ku lśniącym sierpom;

wydało się żrenicom, że obłoki cierpną
w rzece od chłodu. Zakosami cienia
nadchodził zmierzch i błękit na fiolet zamieniał
I stygły głązy.

Ku lipcom i sierpniom
minionym odwracałem się, jak starodawnym
czasom. Stało niebo w dalekim pożarze
i popiołem sypało się na martwe twarze
spraw i zdarzeń. Nurt znikął, mroczną nocą spławny,
i próżno wyczekiwałem, kiedy się ukaże
wysmukła postać Anny Jarosławny.

Chodzą echa przedwieczne po karpackich głuszach,
objają się bezdomne o szczyty;
budzą, ale nie zbudzą śpiącego Dowbusza,
tylko pieśń nieskończona huculskiej trombity
woła z połonin.

Fiołkowe szczyty
chylą się ku dolinom. Wiatr skały rozkrusza
na żwir. Bezgwiezdą nocą potępieńcza dusza
z uroczysk rzuca krzyk niesamowity
i krwawe ślepiea świecą zza chojerów.

Kiedy o zmroku do głuchego jaru
koń wejdzie, trzymaj wodze, zanim dęba stanie
i skoczy w bok i w puszcę poniesie.
Znowu tak będzie: dawnych dni nawoływanie
i dym ogniska rozwleczony w lesie.

Mgły jadowite o świcie się ślęczą,
jak zejść ze stromizm. Deszczem je zasnuło,
wiatrem drobno przewiało. Ale śpiewką czułą
ciągle odzywa się kraj. Złotą tęczę
wstaje dzień. Tupot koni Tatarską Przełęczą
rośnie i ku cerkiewnym zbliża się kopułom
niepowstrzymany wyrok.

Co serce przeczuło,
tym sny conocne do reszty zadręczą.
Teraz to wszystko przekaz chmurnym dziejom,
jak gdybyś hełm strzaskany znów w rzece zanurzał.
Sosen skrzyp. Wierzchołkami nad przepaścią chwieją,
Ostry powiew zacina. Pył w oczy. To burza!

To zguba grozi osiedlom podgórza,
to otworzono bramę epopejom.
Zawiasy w drzazgi! Łomot idzie knieją,
wicher wbija oddech w gardło i odurza.

Daleki alarm rozpalonych spizów,
wczorajszy sztandar podarty na strzepy,
łuna w oddali i pożar w pobliżu.
Gromy nad głową: Święty, Święty, Święty!
Krwia spływa postać na przydrożnym krzyżu
i czarnych koni zmydlone tętenty.

II

Srebro wiosny zmieniło się w uwiedłe złoto
jesieni. Oto wracam, znużony podróżnik,
własne kroki, dźwięczące głucho w próżni
pozbierać. Gdy przez góry chlusnął czarny krwotok,
jak rdza liści w otwarte okno... Gdy zgryzotą
wezbrane serce, choć ludzie usłudni
chwycili mnie w ramiona... Huk cygańskiej kuźni,
głina, kołami zamieszana w błoto,
i wachlarz iskier. Tak się noc zaczyna:
dźwięczny flet i na flecie zwinne palce grajka.

A w hełmie pluszcze rzeka srebrno-sina,
obok wędruje głębią — zaporoska czajka —
i na progu jesieni krwawa jarzębina
kiwa do mnie, jak z czapki rozwiana kitajka.

Niech więc pieśń, rozpoczęta na wiosnę, się dogra
i drzwi na oścież nowym dniom uchyli.
Na zboczu meczą owce. Ostry pot kobyli.
Po kołkach ocięzały wspina się winograd.

Za skrzętem drogi mignie chustka modra
i cisza. Jakby dla nas tę ciszę stworzyli,
by oszukać i wywieść w pole. W gnieździe kwili
pisklę orła. Noc. W tańcu miotają się biodra
dziewcząt i wódką cuchnie dźwięk harmonii.

Niechaj zetrze ten obraz ręka niecierpliwa,

niechaj precz zmory od serca odgoni!
Wtedy sieli, a teraz są żniwa.
Lecz jednak od lasów, od rzek i połonin
wicher sztyletem czuły słuch przeszywa.

Nawisłe Czarnohory nad doliną drzemią,
blask tnący skosem rani skrzydła jaskółczychy.
Kopytem ścięte powojów kielichy
i bujne zioła, tłumem pnące się do strzemion.
Oto jest szlak skazanych na zagładę plemion,
co skarżą się na zgon swój głosem takim cichym,
jak płacz żołnierza.

Ziemio, moja ziemio,
cóż ci zostało z zeszłorocznej pychy?!

I pochyliłem się nad zmierzchającą Cisą
w hełm strzaskany zaczerpnąć nurtu tamtej wiosny.
Szły drobne kręgi ku zmaconym rysom,
obraz zatarty, a taki niedawny —

I drżał na mętnej fali smutny i żałosny
gotycki uśmiech Anny Jarosławny.

I

Noce wietrzne i chmurne, konnych armii
pochody dalekie —
krwawe ślady na stepie po Moskwie, Tatarach
i Lachach.
Wichr i pożar źrenice dziecięce nakarmił
i przykryła powieki
kosmata, żołnierska papacha.

Wichr i pożar. Ich oddech trujący i suchy.
Nie rozpoznasz, czy księżyc,
czy odblask żarzącej się głowni —
czarny jeździec na czatach
na brzegu zmałconej Siniuchy
i łyskają okienka,
jak oczy stepowych czarownic.

A przez mrok późnego wieczoru
zatruty jesienną wilgocią,
przez wiatr, łopoczący nad głową,
jak zwycięski buńczuk Batyja,
w szczęku stali, w zgrzycie buforów
zbrojny przedziera się pociąg
i uparcie, zawzięcie, miarowo
rytm wolności na szynach wybija.

Ale noc przegrodziła drogę,
rozpostarła się wokół zdradziecka,
cichnie łoskot i łomot,
płyną roje tęsknot i trosk —
tylko w ciemnym wagonie rozszerzone
wielkie oczy dziecka
i nie można wmówić nikomu,
by spokojnie przyjął swój los.

Trzeba rozpacz zdusić i zmóc, sercu
spokój, gdy krwawi, nakazać, chmurny wódz
dygocącym klawiszom swój ostatni dyktuje rozkaz
w ciemnej nocy została łuna,
gwizd szrapneli, tupot żelaza,
zamiast śmierci nad hetmańską głową
nieodstępną schyliła się troska.

I na zawsze już pozostała
w rozszerzonych, wielkich oczach dziecka

ciemna łuna, widmo pociągu,
zbliżający się tętent głuchy —
i ta noc, gdy ostatni alarm
w senne pułki uderzył zdradziecko
i zakrwawił niebo schylone
nad brzegami zmałconej Sinuchy.

A był jeszcze ten dzień,
gdy się w oczach zakotłosał Paryż,
wiozą trumnę na cmentarz,
krzyk rozpacz w zduszonych głosach —
tuman zwilgły i szary,
chwiejne kroki do dzisiaj pamiętasz,
jakeś ojca chowała,
ukraińsko panno ciemnowłosa...

II

Gdy mocne wichry z oceanu wieją,
szarpiąc młode listkowie odwiecznym dąbrowom,
gdy schodzi zmierzch ku sinym Pirenejom,
gwiazda w mroku, jak złoty motyl, zatrzepoce —
i napływają wonią fiołkową
niezapomniane ukraińskie noce.

Białe wille z daleka, jako garść kamyków,
dziecinna dłoń podrzuczone zboczom...
Objuczone osiołki ścieżynami kroczą,
cień granatowy w wąwozie się czai
i brzmi w załomach skalnych ostrym echem krzyku
surowy oddech Biskai.

Ale nad Czarnym Morzem inny wiatr
zawiewa w płuca życiodajnym jodem.
Wietrzeją skały od tysięcy lat,
kołyszają żagle linie horyzontów,
stepowy kraj powierza bujnych pól urodę
wysokim falom wzburzonego Pontu.

I nie zastąpić pirenejskim wiatrom
tchu szerokiego, co od Zaporozża
smaga jak fala i pali jak pożar,
i jest w nim smak pochodów, który zatrzał
goryczą klęski stepy i bezdroża...

I nie zastąpić gwiazdom nad zatoką
dalekich, akermańskich i połtawskich gwiazd...
— Gdy górskie echo wtórzy twoim krokom,
a ślepe pisklę orła w szczelinie zakwili,

błyskają światłem mgliste zjawy miast,
fala na plaży
kona z uwodzącym pluskiem —

i widmo Ukrainy z tęsknotą się chyli
nad białe miasta francuskie.

Znikają w mroku strome zbocza gór
i nocna cisza w głosy się uzbraja,
wzbiera szumiącą falą nieodstępny chór,
znowu tęsknotę zbliża gorzką skargą wyznań,
i jak przyptyw opada na mrocznych Biskajach
przywołana z oddali ojczyzna.

III

Blade usta przepala gorączka,
nie starczyło powietrza płucom,
pochylony nad białym wezgłowiem
bada oddech stroskany lekarz.
Któryż raz winograpy na zboczach
odnowionej wiośnie zanuć? —
— Tylko ty, bujna wiosno ukraińska,
czekających uwodzisz i zwlekasz!

A na sennej północy we mgłach zanurza
się znów Montparnasse —
drzemie burza
wysoka, za drzewce sztandaru nie chwyta,
znojny wicher wolności do ziemi przypadł i zgaś,
i zmierzwiły się trawy, rzucone
pod końskie kopyta.

Tylko on, tylko wiatr, w ukraińskim stepie
poczęty,
wiatr, co dzwonił o szyby
i z wyciem pod koła się rzucał,
wilkom w ślepie
zagładał i zbrojne roznosił tętenty,
tylko on swym oddechem
uleczy znękane twe płuca.

Spojrzyj: znika już kraj, podrzucony
do stóp Pirenejom,
w chmurach wron stoją mroczne topole,
dźwięczy w pieśni stepowa rzewność —
ponad głową uśpioną
długie nitki wierzbowe się chwieją
i ojczyzna płynie do twych ocz,

ukraińska, stepowa królewno!

Oto znowu jak arkan tatarski cię wywłókt,
powiał chmielnym durmanem uroczy twój wiatr,
gołębicą zawodzi na murach w Putywlu,
cerkiewnymi po nocach zanosi się śpiewy
zaraz księżyc wypłynie
i z chmury na świat
ostro błysnie, jak nóż zza cholewy.

Od świtania do zmierzchu, od wieczora do ranka
trwała pieśń i zabawa na Batohach, Korsuniach.
Hulaj-polem twój czas, jak zbójecka taczanka,
w chmielu szumnym się poczał
i alkohol go zabił;
o północy tajemnie po spichrzach i kłuniach
szedłeś chować obcięty karabin.

Zawiewało ci dymem prochowym po jaszczach,
wypływało na dachy wojenną pożogą,
szumem lasów zielonych wstawiała Taraszcza,
hulał kogut czerwony po kościołach i dworach,
a pozostał ci pieśni hajdamackiej samogon
i tęsknoty paląca machorka.

Wyły wilki zgłodniałe w czaharach i bałkach,
każdy świt się zapalał jak głównia.
Zalewała ci oczy czarna krew i gorzałka,
jeno beczki dębowe zataczaj i szpuntuj!
Po szlacheckich folwarkach,
po dworskich cukrowniach
tliły iskry odwetu i buntu.

I zносиłeś kitajkę w cuchnących onucach
i przepiłeś swą dolę w Zalizniakach i Gontach!
Mroczny czad wieczorami do głowy się rzuca,
sny durmanem zatruwa, spać nie daje do rana.

Wschodzą gwiazdy uroczone,
I fala dziewiąta
dawno szumi w czarnomorskich limanach.
Jenoś łodzią kozacką grzbiet tej fali uchwycił,
krzepkiej dłoni do młota przyłożyć nie raczył; czymże byłeś?

Jurnym żrebcem tętniącym o świecie,
co z arkana nohajskiego się urwał.
Teraz, kiedy się miotasz w bezsilnej rozpacz,
petersburska przytuli cię kurwa.

A dawałeś swe córki Skandynawiom i Francjom
szły królować strzeliste i proste jak gotyk.
Pieśnią złotych mozaik szumiało Bizancjum,
gdyś na wrotach zawiesił narmandzki twój szczyt,
i był wiatr młodych stepów
nie jak struty narkotyk,
ale skrzydła pochodów i bitw.

Skrzypią wozy wędrowne po Bazarach i Krutach,
ciężą jarzma kaudyńskie na karkach.
Ból i pieśń, tęskna nuta, czarodziejska, otruta,
wiew bezbrzeżny, płaczący jak mewa,
kiedy noc,
gwiezdnooka i smagła szynkarka,
znów gorzałkę po stepie rozlewa.

Żółte kości wygrzebane lemieszem wśród pól,
nadgranicznym podobne głazom.
Szumią łany pszeniczne i srebrzy się sól,
tysiąc pieców chlebowych kołacze wypieka,
i z czeluści hutniczych ukraińskie żelazo
w nowe brzegi się wlewa, jak rzeka.

Ziemia gra, jakby srebrne widunów kopyta
cwałowały po klawiszach drżącym lirom.
Czarna paproć iskrami po kuźniach zakwita,
każdy zmierzch jak złotolity błam.
I beczynnym bazaltom, stęsknionym porfirom
śnia się sny o gotyckiej Notre-Dame.

Przesłanie:

Jeszcze nieraz napłyniesz jak płomień i rytm,
krwią spienioną do gardła chluśniesz.
Słowom dźwięcznym i prostym powierzam ten mit,
co mi wargi poparzył jak wrzątek...
Cóż że mrok,
gdy z obłoków wywikłał się uśmiech,
idącego świtania początek.

Wiec raz jeszcze te lata z rozrachunku odliczę
i spośród wszystkich gorejących rocznic
wybiorę taką, co na kształt wyroczni
objawiła się oczom, kiedy nad Manyczem
stada dzikich łabędzi w noc przelatywały;
gdy mi z kaukaskiej odezwał się skały
Prometeusza skutą głos; gdy stary Azow
tonął w prochowym dymie i wicher łomotał
o krwawe stepy, a polskie żelazo
biło w kijowskie poszczerbione wrota.

I ten sen już pozostał, by po nocach wracać
przypomnieniem, legendą, niespełnionym mitem;
trumny trząść, nie dość szczelnie gwoździami zabite,
dalekim cieniem kłaść się na mych pracach
i przypominać, zawsze przypominać.
Że zdrada ojców przekleństwem na synach
mści się i żąda, aby z długu się uiścić,
gdy tu musimy bratobójcze żniwa
zbierać zbyt często, nim dłoń niecierpliwa
wysupła prawdę spod uwiędłych liści.

Ten cień na próżno pod oknem się migał
i w okiennice pukał sękiem suchym.
Przewiały skrzydła dawnej zawieruchy,
próchnieje w ziemi żelazny buzdygan
i sztandary zatknięte w okopie sierocym.
Nikt nie wyjdzie naprzeciw tej uroczej nocy,
która gwiazdami trzęsie, płacze głosem wilczym.
Upiór wybity przed wiekami z strzemion
widmem skrwawionym przepływa nad ziemią
i na rozstajach przystaje i milczy.

Lecz nie ma, ciągle nie ma odpowiedzi,
jak gdyby ktoś zgnilizną zakazili nam usta!
Poustawialiśmy bałwany z miedzi
i nie słowa nam dźwięczą, jeno stów rozpusta,
nie oczy patrzą — oczodoły czarne.
Gdy mrok spleśniały ramieniem rozgarnę,
widzę, jak stopy grzęzną mi w popiele,
ścieżka zarasta chwastami i zieleń —
i wiem: kiedy w pośpiechu Nike zadyszana
cwałem nadleci, konie rozbiegane wstrzyma,
będzie nas szukać gniewnymi oczyma...
I nie znajdzie.
I zgubi się w mgłach i tumanach.

Dlatego w nocy nie śpię i surowy jestem
jak ten, który już dawno groźną wróżbę zważył.
Chwytałem wiatr, co nadciąga od starych cmentarzy,
te same łuny niosąc.

Nad Zbruczem, nad Dniestrem
gniew ludzi truje, zemsta serca bodzie.
A już burza się zrywa, surmy na Zachodzie
na bój wzywają. I od Wschodu horda
czerni się jak robactwo. Jak ślepia Meduzy
gwiazd konstelacje i muzyka w gruzy
wali się, w czarnych splątana akordach.

A nam w przede dniu burzy trakt wojenny zarósł,
trakt, co miał wieść nas w potęgę i chwałę.
Czekaliśmy na pożar, lecz skrzydło pożaru
napotka oczy ślepe i serca struchlałe.
I kiedy ramię sięgnie do twardego siodła,
nie będzie już buławy, która by powiodła
drogą, na mapie myśli sprawnie wytyczoną.
Tej mapy nikt nie szuka. W mroku bębny huczą.
Idziemy w noc gromadą samobójczą,
wicher piersi smaga. I w sercach czerwono.

Tak się tłum dufny na ulicach mrowi,
tak mu ścieżki prostują mędracy powiatowi
i muzyka cmentarna gra coraz to skoczniej.
Dłoń przerażona epitaphium pisze,
gdy próżno mówią do ogłuchłych w pysze
powrotne widma odrzuconych rocznic.

II

Nie myliło się pióro, gdy w rozpaczy drgnęło,
ni głos, gdy krzykiem w pustkę się wysilił.
Daremnie naszych ramion prosiło się dzieło
lat i ludzi niedawnych. Długośmy nosili
głowy na tykwach grochowych zatknięte,
aż zachwiały się krwawe. Noc wstała lamentem,
dzień mrokiem świta. Deszcz splukał odezwy.
Nawzajem podeptani od tych samych wrogów,
ani nam wspólna zguba we łbach nie wytrzeźwi,
więc z nożem bratobójczym stajemy na progu.

Myślałem niegdyś, że się do bioder przypasze

szablę, święconą u bram Poczajowa.
Lecz cień pomiędzy nami znów przeszedł. Judaszem
był czy Kainem? I bezsilne słowa
teraz pieką na ustach jak pijacka zgaga.
Nic oszalałym w zemście nie pomaga,
ni kieska ni nieszczęście. Niepotrzebniem wróżył
dwóch jeźdźców, co przyjaźnie zjadą się na stepie.
Te same zbrodnie pod porywem burzy,
te same kukły w odwiecznym wertepie.

I nawzajem ku nowej przepaści się pchają,
jak gdyby ich na wieki połączyło Fatum.
Tylko tyleśmy naszym winni antenatom,
ile w nas dawnych grzechów. Ciemną zgrają,
tłuszczą pijaną, nikczemnym motłochem
tarzamy się w nieszczęściu. Robaczywym prochom
zajrzeliśmy trucizny, trupów podglądacze!
Znowu krew czarna zakipi nam w sercu,
na czole znamię wypali morderców
i w mrok pójdzie z przekleństwem i płaczem.

I wystawimy na targ nasze zbrodnie,
czubiąc się o to, która z nich jest większa.
Zacniemy własną głupotę upiększać
krwią na próżno przelaną. Niechże się przechodnie
śmieją szyderczo z bezmózgich peniaczy,
niech palcem wytykają. Tak się przeinaczył
morderca w wilkołaka i po nocach wyje.
Drżą blade liście u wisielczych osin
i niebo nieprzychylnie codziennie zanosz
miecz krwawej zorzy nad schylone szyje.

Kiedy się ramię wagi znów przełamie
i całym swym ciężarem spadnie na nas szala,
zostanie dziejów zmarnowanych pamięć,
co widmem wraca i spać nie pozwala;
lecz w niewyraźnych mglistej nocy cieniach
nie zaświeci nam nikły ogarek sumienia,
gdy tylkośmy rachunki wzajem pisać zdolni —
dłoń na nóż chwyta nawet podczas drzemy,
a gdy źrenice na światło przedrzemy,
znów skuci: jeden i drugi niewolnik!

Prawdy nie zobaczyła ta stara przypowieść,
która godziła jeńców na galerze.
Nawet i wtedy zamiast zliczyć szczerze
grzechy i winy wyznać po połowie,
będą się wadzić pod chłoszczącym batem.
Sny moje! Łodzie na słońcu skrzydlate,

wiatrami unoszone ku wrogim Synopom!
Drużyna była przy mnie — lecz sami umarli.
Chciałem pieśnią uderzyć — grot utkwiał mi w gardle,
i dalej idę poranioną stopą.

Tak się nowa okazja żałobnie zamyka,
tak się bogaci krwią wezbrany wykaz,
tak postać koczownika rośnie nam na siodle.
Cobyśmy nie czynili, rozsypie się prochem,
dłoń burzy błyskawicę wyrwie z czarnych pochew
i rozpierzchnionych uderzy na odlew.

III

Więc jakże? Nocne marzenia pogrzebać
i poddać się bez walki bezlitosnym dziejom?
Jakie nam jeszcze wiatry od Wschodu powieją,
jakie deszcze ogniste spadną z nieba?
Chodzę, a wokół fioletowy Paryż
patrzy w zieloną rzekę; wieczorne opary
wznoszą się wolno ku gotyckim świątkom;
i nigdy bardziej przeraźliwie nie czułem,
że świat, że człowiek, że ten cichy wieczór
przemijającą i zbrodniczą łatką.

Tak! Śniłem niegdyś, że słowa powiodę
w step jako podjazd ruszających armii.
Takem się z kwiatów uwiędłych wykarmił
i takim w głowie zakręciło miodem,
aż wstałem z ławy, było coraz chmielniej.
Ogniem dyszały lubelskie cegielnie,
dym pełzał, bo nie było to ofiara Abla,
Boharodycy zabrakło na wzniesionych szablach,
słaba dłoń zdarła uzdy chrapiącym rumakom.
Kometa górą szedł, na chwilę stanął,
by się pijanym przyjrzyć rokoszanom,
i w watahę wrzeszczącą zamienił się zakon.

Przeszły lata. Zarosły popiołem i perzem
domostwa, co niedawno bujnym życiem kwitły.
Zgniła krew, nieopatrznie złożona w ofierze
starym upiorom. Bluźniercze modlitwy
rozchwiały się w tumanach. Jako w morskiej muszli
gra echo spraw minionych. Ci, co z pola uszli,
już oczy układają w obłudę jaszczurczą
pychy i złości, tej samej co wtenczas...
Oto się usta im do krzyku kurczą,

oto fałszywy pieniądz na stole zabrzęczał
i dobrze znane słowa grzmią z trybun i ambon.
Wybito zęby wszystkim dytyrambom,
lecz szczerzą gęby krwawe i bezzębne.
Nie zagrały organy szeregom żołnierzy,
huczący bęben łatwiej sprawne kroki mierzył,
więc jako dawniej, wolą iść za bębniem.

Tęskniłem do szeregu — i stoję opodal.
Rytm wspólny nęcił mnie, alem wyłamał.
I przeciekły mi lata przez palce, jak woda,
i rozsypała się wzniesiona tama na mętnej rzece.

Nad siną Sekwaną
jeszcze postoję, jeszcze w zmierzch popatrzę.
Graliśmy dramat w mistycznym teatrze,
ale aktorów nam wymordowano.
Lecz nie dlatego, pohańbiona ziemio,
odwróć oczy, gorzkim dymem ślepe.
Dotąd trawy mi biją pokłony u strzemion
i księżyc wstaje nad wzburzonym stepem
i ciągną szyki wiosennym pochodem.
Wstecz obracamy się z bojowych siodeł,
Nieprawda! To nie myśmy minęli w ciemności!
To nie nas przysypała ta noc zło wróżąca!
Żyjemy, póki lemiesz oracza potrąca
umarłe, lecz spod ziemi wołające kości.

Powoli zmierzch przed szumem jesionów odpływa
i we mgle zacierają się oblicza katedr.
Obłoki, jeszcze ogniem ostatnim skrzydlate,
gasną jeden po drugim. Dzwon z daleka wzywa
na późne modły. A nam wciąż wydzwania
dzwon bijący na alarm z kościołów Kumania,
huczy głosami dział potrzeba berestecka,
kapela zaporoska ciągnie bujnym krajem
i mił, co w serce wrastał ci od dziecka,
po raz tysięczny z prochu zmartwychwstaje.

Oto znowu mi grają stopy rozśpiewane,
spotykają się marszałek z hetmanem,
droga jest prosta i nikt z niej nie zbacza.
Wiatr czarne chmury znad skroni przegonił,
idziemy — serce przy sercu, dłoń w dłoni —
minione winy nawzajem przebaczać.

Przeszły pułki, wzbijając bitewną kurzawę,
wypaliła się rozpacz, dymy rozwiął wiatr.
Mogiły śnieg zasypał. Nad miasto, nad Wawel
więzienna noc się chyli, błądzi w kazamatach —
i wzrok oślepy niewidzących lat lin próżno szuka
ojczystego świata.

W śniegu, pod szklistym niebem śpi dalekie Wilno,
Ostra Brama z świętości bluźnierczo odarta.
Gwiżdże wiatr za ścianami. Śmiertelna bezsilność
zamknęła orle oczy. Kroków odgłos głuchy.
I szumią nad głowami niespokojnej warty
rozwane skrzydła zawieruchy.

Proste krzyże przy drogach, krzyże bezimienne,
płytkie doły, w pośpiechu wybrane łopatką.
Już jesień rozpaczliwa, świtania półsenne
smużą się nikłym blaskiem nad żołnierskim grobem.
Kawki, wrony kraczące, zapłakany matkom
czarną niosą żałobę.

A był maj, rozśpiewany w zaroślach i trawach,
czeremchy stały w kwieciu, noce gasły w łzach.
Osierocona na trumnie buława,
gospodarstwo,
wydane na łup złej czeladzi...
I rósł nad mrocznym tłumem nieobjęty strach —
i milczał żołnierz.
On jeden nie zdradził.

Ojczyznę huczą grzmoty. Rwie żelazny krok.
Świętuje dzień przemocy rozjuszony mrowie.
Cmentarze dymią przedwieczną mgłą,
idzie noc, dzień ją zmienia pochmurny i słotny —
i śpi w kamiennej trumnie utrudzony człowiek,
samotny w śmierci,
jak w życiu samotny.

A my, którzy nie mamy ludu, ani miecza,
marnotrawcy wielkości, wpatrzeni w swą biedę...
Ani nam własna ręka powrót zabezpiecza,
ani oślepe oczy widzą wśród kurzawy —
i pusty,
zrabowany przez wroga Belweder
świeci, jak pomnik obumarłej sławy.

Jeszcze tak niedawno złote słońce na barci,
gwiazdy w sinym niebie, niby malowane,
na białym koniu litewski święty Marcin — wilki wyły,
podchodziły pod ganek.

A ze żmudzkiego herbu tętni Pogoń,
biegną chłopcy w maciejówkach
— o, mój rozmarynie! —
Batoriańską doliną, jagiellońską drogą kiedyż
Wisła popłynie...

Od huku step wiosenny zbudził się nad ranem, zarżały
łuckie konie, skaczą głowa przy głowie. Zanim nocka nadejdzie,
chciałem Forum Romanum
ufundować w złotogłowym Kijowie.

Od tego dnia będziecie, nasze smutki i troski,
po wieków wiek związane ostrzem stali —
na polu, na Podolu z hetmanem zaporoskim
na śmierć się całowali.

Cóż dzisiaj z tego mamy, prócz popiołów garstki,
gdzie granice,
sztandarem zwycięskim nakryte?
— Ziemię świętego Jura depta koń tatarski,
w trumny bije kopytem.

Zmilkły dzwony wysokie — a żałobna strofa
jest, jako dźwięk kielicha wśród cmentarnej tryzny
i czarna noc nad krajem,
i kamienny sarkofag.
tylko tyle zostało z ojczyzny.

A już w mroku szykują nowe pacta conventa
na jeszcze nieostygłym grobie...
... Oj, powiedział ja tobie, panie regimentarz,
lecz wszystkiego
nie powiedział ja tobie.

Tak się glina przepala w nieskończonych bitwach,
znowu głuche cmentarze i dymy pożarów.
W śniegi zabrnęła Białoruś i Litwa,
w krtaniach zduszonych uwiązał knebel krzyku —
na ruinach, w popiołach
opuszczony naród
śpi snem bolesnym niewolników.

Aniołowie z kamienia pochylili głowy,
nie lekko świętym sprawić się z legendą.

I nad gwar nierozumny, nad ugór jałowy,
od spopielącej chaty po ostatni szaniec
leciały pieśni,
jeszcze lecieć będą,
o zdradzonym polskim hetmanie.

I

Ech, poniosło się echo na zielony ruczaj,
poszedł tętent podziemny do Stochodu do Słucza.
A jakieś tu gościć przyjechał, młody,
na dąbrowy szumiące i rozlane wody,
to i ty się do czarów wołyńskich przyuczaj!

Chodził leśny Dziad patrzeć, gdzie głębsze cienie,
chciał, żeby mu było wilgotniej i zieleniej;
zbierał lepkie szyszki chmielu,
zostawił na starym pniu kapelusz —
zaraz gniazdo w nim uwiły szerszenie.

Siedział nad kamieniami — zmajstrował z nich żarna.
Błysło mu złotem w gęstwie, on myślał że sarna,
rzucił nożem, trafił w słońce, blask przyćmił:
teraz jęczy i rozpacza:
— Jak tu żyć mi,
skoro nocka nastała bezgwiezdna i czarna?!

O północy rusałeczka w sitowiu plusła,
zatraciła się cała w księżycowych gustach:
nazbierała jedwabnych promieni,
przetykała aksamitem cieni —
całą noc będzie kręcić srebrzyste powrósła.

Przez brzeziny zielone i olszyny rdzawe
szła gromada wesół rozśpiewanych Mawek;
zahuczała tętnem ciemna knieja,
wybiegali parobcy w czerwonych kiersjach,
porywali je na miłość i zabawę.

Ja się Zwidów nie bałem, wiedziałem, że przyjazne.
Na Kupatę w las biegłem, kwiat paproci znalazłem,
teraz w izbie świeci czarodziejskie ziele
i pieśni są dźwięczniejsze i na sercu weselej —
a wy tego nie bierzcie mi za złe!

II

Tam wicher głową oszalałą tłucze
o czarne krzyże i przydrożne drzewa.
I rzewnie szumi nad wezbranym Słuczem
zgrzebna ulewa.

Tam słyszeć grodów zatopionych dzwony
i wilkołaków wycie od uroczysk:

i księżyc groźny, księżyc czerwony
zagląda chatom w oczy.

Dzieci na jego czarodziejski znak
płaczą i tulą się ku lnianym nęńkom,
bo w gęstwie straszyć już zaczyna ptak,
co zwie się słowiczeńko.

A wtedy srebrny czad i pieśń... i każdy sad
głosami dziewcząt w zachwyceniu szepce...
I z mokrych pastwisk rzą do gwiazd spętane żrebce.

A w głupim sercu odwieczna tęsknota,
sen jakże próżny, marzenie nierozumne,
że gdzieś tam na rozstajach rośnie sosna złota
na jedną wąską trumnę.

III

Ciemna gęstwa pod oknem w popłochu się targa,
jakby czyjeś srebrzyste szarpały nią ręce,
a potem kładły się lekko na wargach,
lub na serduszku ptaszęcym.

To gałązką lewkonii gardziołko mu trąca
i sama w pieśni słowiczej rozkwita;
razem patrzą w zamglone źrenice miesiąca,
trwożny oddech wstrzymując: Czy świta?

Nie, to jeszcze nie jutrznia, to tylko w pożodze
słów niewyznanych śpiew rośnie ku niebu,
sen nocy wołyńskiej słania się na drodze
i rzewnie prosi się: Nie budź!

A więc noc i słowicy, i kwiaty, już zgodni,
że pieśń miłości do świtu się dogra...
I cierpką rosą poi się rozchodnik
i mocniej pachnie winograd.

Nie prosiłaś pomocy, nie wołałaś: Poratuj! —
nie uciekłaś od pieśni i wiatru.
Całych siebie nocnemu wydaliśmy światu,
teraz przyszedł do reszty nas zatruć.

Włosy chmielem obsypie, usta rosą natrze,
żebyś była srebrzysta, smagła i słowicza,
cała z tęsknot i z przegięć i z sennych zapań, bo to
nocy czerwcowej jest zwyczaj.

Potem rzuci bezbronnych i tanecznym krokiem
w mrok odejdzie, nowych czarów nasupła,
mgłą powieje od rzeki, światła sowiookie
pozapala w zaklętych dziuplach.

Jakieś głosy szyderczo odezwą się w rojstach,
biedne serduszko słowikowi pęknie,
jakby z żalu, że o świetle już nam tylko pozostał
nikły sen o utraconym pięknie.

IV

W noc czerwcową zaczął srebnieć ciemny staw,
zgrzebny len przetykać sinym jedwabiem,
aż wywikłał się księżyc spośród traw,
z czerwonego prześwietlał się i płowiał,
i popłynął po zacichłym stawie
przez zakłute rokiciny i sitowia.

Wybiegała pod księżyc wśród paproci i ziół
smagła dziewczka, wołyńska czarowniczka.
Wychylała się, wpatrywała się, czy pochwyci ją wpół,
czy przybliży srebrne usta do liczka;
zdejmowała spódnice, grubo tkaną,
i koszulę, czerwono haftowaną,
przyzywała go: — Księżycu, Księżycu! —
ku swym biodrom i śniadym kolanom.

Odsłoniła złoty mosiądz brzucha,
otworzyła się, jak ciemnej róży pąk.
Musiał księżyc zawrócić i jej czarów usłuchać,
przypaść głową do piersi i rąk;
w usta wsączył się, jak srebrny płyn,
przegiął chętną na liście ciemnych trzcin,
wplątał dłonie we włosy rozwiązane,
z krzykiem szczęścia wszedł w otwarte biodra.

...A od łąk im niosło mokrym sianem,
nocka szła, świętojańska i modra...

V

Zanim księżyc z kosmatych wypłatał się jedli
i w źrenicach dziewczyny odbił się świetliściej,
wstały swaty zza stołu i młodych powiedli
do łożnicy, na dębowe, na liście.

On miał usta natarte siwuchą i chmielem,

a ona mu w nie tchnęła dojrzałe czereśnie.
Miłować się zaczęli ni mało, ni wiele,
jeno tyle, by nie stracić się we śnie.

Więc zrastali się w całość, łączyli w jedyność,
byle żrenic bezbronnych nocnym czarom nie wydać.
Lecz już snem ich okrążył i czoła owinął
złoty księżyc, młodszy syn Swantewida.

Znów budzili się. Dziewka tuliła się drżąca.
Szeptła mu wprost w usta:
— To wiedźma macocha
chce nas zgubić. Zsyła na nas zły urok miesiąca.
A on:
— Jak mam cię bronić? — A ona mu: — Kochaj!

Musieli tylko w siebie i w miłość uwierzyć,
gdy nie stało im innej wśród nocy przyjaźni.
On miał smak leśnej burzy, ona — dzikich jeżyn,
smakowali więc — i było im różnie.

Jeszcze się tą rozkoszą do cna nie popili,
ani całej słodyczy z jej bioder nie zebrał,
gdy już świt się od okna sinego pochylił
ku dwojgu piersi z jaśminu i ze srebra.

Rosa szybko zasnuła, na lipowych groblach
mgła się wznosi poranna i z wiatrem kolebie.
I wyrzeli, a na progu z mokrym pyszczkiem u skobla
drży od zimna zabłąkane źrebie.

Rankiem śmieli się głośno. Spoglądali w oczy.
O dziwacznych snach nocnych szeptali do ucha.
I na białych kobyłach najeżdżały z uroczysk
śniade Zwidy
w koronach z łopucha.

VI

Te brwi, sokolimi skrzydłami wygięte,
i oczy, jakże zielone,
jeśli popatrzeć w nie z bliska,
widziałem już wielokroć przez gorzki dym ogniska,
gdy mrok i step
okrążały nas nocnym tętentem.

Oстрым potem zziających kobył wiało od pól,
jakbym smakował nozdrzami
smagłą skórę pod szorstką bielizną.

Czarnoziem dyszał wonią zwierzęcą i żyzną,
i rzeka przez ciemne drzewa
przebijała rytmicznie jak puls.

Spłoszony żrebiec zachrapał i w mrok się porwał,
i świerszcze po stogach
wybuchły w srebrną łunę;
twoje usta, bolące do krwi, cierpkie piołunem,
były jak noc
i jak w nocy dojrzała morwa.

To dlatego gdyś mnie zaczęła pustą rozmową bawić,
nie mogłem ci rzec ani słowa,
i dlatego tak zbladłem,
że znów zobaczyłem step i ognisko
i twoje ciało bezwładne,
przebite na moich rękach
w śmierć i w nienawiść.

VII

Płytka rzeka na piachu rozgrzanym się tarza,
w modrej dali ku niebu się wspina.
Blask na twarzach
i w melodią owładniętych żniwiarzach
rozszumiała się rzewna kalina.

Miodny wiatr nasze usta wygładza i słodzi,
— Któż to taki, bogini, czy dziewczka,
która wolno w spódnicy podkasanej przechodzi,
niosąc wodę w dźwięczących konewkach?

Spójrz, jak idzie w południa złocistość i modrość
jakby świat cały niosła w objęciach,
jak się ziemia poddaje jej stopom i biodrom...
Ziemia także jest dzisiaj do wzięcia!

Ona także, jak ty, pod wargami omdlewa,
jak i ty, swoją skłonność mi wyzna.
Lniane chmurki na znojnych suszące się drzewach
są jak z ramion zerwana bielizna.

Wypowiedzieć się teraz bez słów będzie lżej mi
twoim ustom gorętszym od wiśni.
Powolnymi rękami moją głowę obejmij,
silniej nogi na biodrach zaciśnij.

Wicher się zerwie i ziemia rozewrze się szerzej,
całe życie w jednej chwili się zmieści,

gdy radosnym żywiołom nareszcie powierzysz
krzyk zachwytu i słodkiej boleści.

Wtedy zebrać wargami zmięte liście koniczyn
z dwojga piersi, mocnych i wysokich,
i spod powiek leniwie klejących się liczyć
wędrujące po niebie obłoki.

VIII

Oj, topolo, szumiąca topolo,
oj, przypomnij, choć ty jedna przypomnij,
jak ku dołom i gajom, ku bugajom i polom
wiatr zielony nosił się koło mnie.

Oj, ty strugo, cienista strugo,
czy to nie był nasz codzienny zwyczaj,
że czy w słotę, czy skwar, byłaś dla mnie podrugą,
co mi nigdy nie umknęła oblicza.

Oj, ty ścieżko, coś wiernie mnie wiodła
poprzez ciernie, w śnieżny ziąb,
w upał znoyny i duszny.
Nie umknąłem ci stóp, nie skoczyłem do siodła,
jenom szedł, twym zakrętom posłuszny.

I ty, wietrze, ty burzo czarnosina,
— jakbym nagle pod chmury skłębione się przeniósł
Oj, pochyła się nad nurtem ta sama kalina,
jeno nie ma łódki w jej cieniu.
Jeno nie ma promu na falach,
jeno nie ma na pagórze krzyża.
Tylko pieśń, tylko pieśń, choć ją wichher oddala,
rozłączone na nowo przybliża.

IX

Ani wiatr, ani śpiew i nie chóry cerkiewne,
ani muzyk wędrowny pociągnął po strunach —
nuty błahe i rzewne, zaplątane wśród drzew,
pośród drzew, gorejących, jak łuna.

I topole przydrożne pytają: — Ktoś zacz? —
i we włosach się płacze ich srebrne listowie.
Tym wieczorom powierzyć swój smutek i płacz
i ze zmierzchem iść głowa przy głowie.

Przez ten mrok, przez ten cień, pełny szeptów i nut,
zapatrzony niepróżno w swe dzieje najpierwsze,

przed czterema latami wyruszałem na wschód
o swój świat dopominać się wierszem.

I, jak dziś, wstawał dym nad rozłogiem i siołem,
w sinym mroku wieczornym rozchodząc się szerzej
- wiatr się zrywał wesoły - klękałem wraz z nim
z czarną ziemią zawierać przymierze.

Nad strumieniem już mgła i na oczach twych mgła,
uśniesz w świeżej otawie, tuż pasie się żrebiec,
wstanie świt i obłoki, jak zwykle, co dnia,
przecwalać po wysokim, po niebie.

Potem cóż... Tylko dzień, tylko słońce i cień,
kawał chleba na obiad i pole i ścieżka;
granie fletni dalekiej doleci przez sen,
szumny gaj w twoim sercu zamieszka.

Ileż dni, ileż dróg, ileż pieśni i słów,
ile dymu przyjaźni u stropów i pował.
Przeminęło na wiatrach, lecz ożywia się znów,
com we wdzięcznym wspomnieniu zachował.

Czy to serce osłabło, czy popłoch, czy strach,
czy to nadmiar zbyt znojny złotego południa?
Słowiczeńko zaklaskał, odezwał się w krzach
i klaskaniem mrok nocy zaludnia.

Więc z przywidzeń i mar już ci splata się czar
gwiazdnej nocy, co rankiem się w próchno rozsypie.
Głos wznosiłeś do wtóru, lecz na chrypkę się zdał —
i dzban pusty pozostał po stypie.

A dąbrowa zielona, a Horynia ramiona
senną łódkę unoszą i w szczęście kołyszą.
Wiatr zaciosał twe znaki na starych imionach
i oplatał je chmielem i ciszą.

Wbił się w pniak rdzawy topór i dym siwy u stropu —
żem nachodził się długo i znużył, i zmarniał.
Lecz złym widmom na przekór, wpośród ścieżek i tropów
ogniem huczy moja leśna smolarnia.

Przetoczyły się cicho i Horyń i Słucz,
żywym srebrem z zieleni wywija się Stochód —
wiatr zachodni spotężniał i nagle do ocz
zawierucha złotego popłochu.

Tak się pieśń wydobywa z rozruchów i burz,
ten sam wiatr mnie porywa, ten żywioł mnie przyniósł,
najwdzięczniejsza z mych służb,
najśpiewniejsza z mych wróżb
o zielonym, szumiącym Wołyniu.

Więc do wtóru tych słów i na głośny mój śpiew,
co jak płomień nad dach się wyślizgnął,
odpowiadasz i marszczysz sokołą swą brew
moja bliższa i dalsza ojczyzno!

X

Gdybyś ty brzozowym sokiem twarzy nie mył
gdybyś z źródeł nie pił wody czystej!...
Oj, pójdziemy do znachorki pójdziemy,
niech nam zwarzy rozmaj-ziele i lubystek.

Gdybyś ty tych strun nie uwił
z nurtu spienionego u stawideł!
Mówi las i mówi wiatr, i rzeka mówi,
a on głupi odpowiada: Już idę!

Gdybyś ty nie wstawał o tych świtach,
gdy się srebrna mgła na bagnach ścieli...
Uderzyła ci do łba okowita,
ale nie ma czym durmanu odpochmielić.

I dlatego sok brzozowy na twych rękach,
mgła na oczach i żałośnie struna płacze,
że jak stara, przeminiona już udreka
na moczarach odezwały się puchacze.

XI

To nie żaden sen, zrodzony wśród popłochu
przeklętych czasów, lecz prawdziwy świat.
Przez mrok się przedarł rozśpiewany Stochód
i pieśnią wpływa w białe ściany chat.

I złote słowa brzęczą mi w lipowych ulach,
i ścieg czerwono-czarny na koszulach,
a dziewczki w słońcu rosną i tężeją,
by sprostać rytmom młodych lat...

Czym jesteś, ziemio?! —

— Byłaś szumną knieją,
a teraz cię ku gwałtownym eposejom
niechaj porywa wolny wiatr.

Bo jeśli usta łubinowe podasz
i białych wiśni gwar i studni skrzyp;
jeżeli w cieniu trzystuletnich lip
dłonie na lasce oprę, jak gospodarz;
jeżeli nitki babioletnie z późnych rżysk
do warg mi przylgną, a srebrzysty błysk
na drodze da mi znać, że powracają żeńce;
jeżeli młódka, z barwinkowym wieńcem
na ciemnych włosach, w sadzie się rozśmieję,
to już ratunku na to nie ma,
nierozzerwalne nasze dzieje
w jeden złączyły się poemat.

A przeto jestem, jak w długiej podróży
wybierający się z powrotem dziedzic.
Więc z dala wzrokiem niespokojnym śledzi,
czy się od wschodu widnokrąg nie chmurzy,
i słyszy gwar dojrzałych gryk,
i wozów turkot i woźnicy krzyk;
i nie ma innej rady, ni wyboru,
jeno powracać do tych gwiazdozbiorów,
których wyroki na świat z sobą przyniósł,
i które co dnia wychodzą zza boru
pławić się w sinym Horyniu.

Więc złote słowa brzęczą mi w lipowych ulach
i ścieg czerwono-czarny na koszulach,
i dziewczki w słońcu rosną i tężeją,
i pieśń zatrąca młodą eposeją —
i nie znam dróg zbyt wielu, prócz
jedynej polnej drogi,
co wiedzie mnie w krainę mitologii,
nad leśną Ikwę i mistyczny Słucz.

XII

Za dziewięciu górami, za siedmioma rzekami
siwym dymem zostało, nisko w dal się powlokło
otoś wspomniał te lata i westchnął, i zamilkł,
i oddajesz im sławę i pokłon.

Coś z nich uniósł? Czy tylko ten śpiew
z snów, rozmarzeń, z nocnych rozsłowiczeń?
I na drodze do Sławuty widma drzew,
które łatwo i po ciemku wyliczę?

Trakt mi ścielił się, jak ręcznik, na wprost!
Weseliły się brzozowe, leśne echa.
Zbudowałem kalinowy most, konia-
m zaciął i śmiało przejechał.

A już naprzeciw gajom
zapalało się słońce czerwono.
Jego ogniem ten most kalinowy się zajął
i w oczach spłonął.

Nie ma śladu po moich mostach,
wyważono z zawiasów wierzeje.
Ale płomień z pożaru, ale płomień pozostał
i serce grzeje.

I

Na początku był step i Duch Boży krążył nad stepem.
Upadały na świat
ciemnym wichrem pierwsze dni stworzenia.

Pierwsze świty wiosenne stawały w płomieniach,
wirowały komety mroczne i ślepe,
rwana w piorunach i grzmotach
głina łamała się krucha,
gwiazdy krążyły nad ziemią w męce poczętej,
ocean gniewnie łomotał,
z wnętrza górskich szła zawierucha
i biegły szerokim stepem pierwsze tętenty.

Nie było jeszcze człowieka, ani rzemienny arkan,
rzeźbiony nagle z zasadzki w uszach nie świstał.
Nad glebą, pługiem nie tkniętą,
wstawiała noc uroczysta,
wicher znużony się wspierał na końskich karkach
i rzeka w jarze głębokim
szumiała mocniej, inaczej...

Ku rannym wodopojom biegły źrebięta i klacze,
na własne bocząc się cienie.
A w rozszerzonych chrapach
węszyły wiew świtania, co od nadrzecznych łóz
czołgał się nisko po łące i z sobą niósł
rześkość srebrzystej fali
i traw zroszonych zapach.

Rankiem tabun pomykał na wschód, albo północ,
szukając źródeł głębszych i obfitszej paszy.
O zmierzchu pierwszy cień wesołe źrebce straszył,
bzykały muchy, ciężkie od krwi i gnoju.
Parskając, opędzając się ogonami,
zziajane konie szły do wodopaju.

Później pastuch świetlisty w sinej nieba głębi
zjawiał się i do stada srebrne kroki zbliżał.

Jak nieruchome posągi ze spiżu
stały ogiery i płochliwe klacze.
A konstelacje tajemnych przeznaczeń
nad samym horyzontem przepływały nisko
i wiatr zbudzony wygłodniałym wilkiem
w mroku się skradał i skakał ku pyskom.

Po chwili się zrywały w oszalały bieg,
chrapiące, przerażone, uskrzydłone stwory.
Nad nimi wciąż schodziły na świat gwiazdozbiory,
wykluwały się ze źródeł sine nurty rzek;
próbując jeszcze głosu,
w sadach słowik kłaskał —
i chwiała się raz pierwszy w zdumionych czeremchach
pierworodnego kwiatowia gałązka.

Tak biegły, grmiącym cwałem odmierzając rytm
dniom stworzenia, jak one rozrzutne i młode.
Padały rosy i szeroki oddech
zwiastował nozdrzom nadchodzący świt.
Za ciemnymi wzgórzami, w gęstym szumie traw
mocniejszy łoskot morza wznosił się i czał,
i wysrebrzony gwiazdami Tanais
ku jego falom przebijał się wpływ.

Kiedy w spoconych grzywach wiatr pontyjski powiał,
mijała noc legendy i mrocznego strachu.
Błotne ptactwo krzychało w nadbrzeżnych sitowiac
i wysoko leciały łabędzie.
Mleczna mgła się podnosiła wszędzie,
słony powiew zacichał,
krwawy księżyc gasł.
Znużony tabun powracał na zachód,
w soczystych trawach nurkując po pas.

II

Gdy wieczór o horyzont siną grzywą czochra
i pierwszy grot gwiazdzisty srebrem mrok zadraśnie,
senne konie w gromadę zbijają się ciasniej
i trwają nieruchomo,
łby w górę uniósłszy;
sierść im w zmierzchu paruje błyszcząca i mokra,
a od tabunu cień coraz to dłuższy
szybko biegnie, aż zleje się z mrokiem i nocą.

Wtedy nadciągającym od zachodu gromom
skośne źrenice w szparach ocz migocą,
na koczujących stadach i śpiących tabunach
kładą się dłonie gniewnego Peruna
i chmury, deszczu pełne,
plączą swoje włosy z pasmami bujnych końskich grzyw.

Wędrowcze z innych wieków, co przemokłą wełnę
swego płaszcza wyżywasz z dżdżu i pod topolą
chronisz się, gdy cię dopadł czarnej burzy gryf,

przeczekaj nawałnicę, rozszalałą groźnie,
i o północy dymny ogień roznieć;
ciśnij w żar kość żrebięcą z juchy nieostygłą
a odczytasz, do trwożnej ująwszy ją dłoni,
na czarnym tle złocistą wyoraną igłę
tajemne znaki końskiej Teogonii.

III

Nim człowiek zszedł na ziemię,
było w dziejach tak:
— W rodzenia pierwszych bólach i dławiącej grozie
stanął drgający i krwawy planeta,
mrok nad nim krążył, jak olbrzymi ptak,
i Boży dech w wąwozach grał, jak w czułych fletach.

Już się spiętrzał, zwałami falował czarnoziem,
rwały się skiby, płodem i męką ciężarne,
nie było dnia, noc tylko — i z bezbrzeżnej nocy
wybiegały konie,
a wszystkie były, jako ziemia, czarne.
Ale że ich chrapaniem pierwszy świt się znęcił,
skrzydłami ptaków kreśląc świetlne parabole,
więc karę konie mają jasny blask u pęcin
i bladą jutrznię na wyniosłym czole.

Zapłatała się noc w karych koni grzywach,
ścierała z nieba mrok czyjaś ręka niecierpliwa,
aż step wyjęła z cienia. Z nagła wyzwolony świat
ciężko dyszał, wyrwany z nocnych snów na jawę,
i wpław przez nurkujący u ich kopyt wiatr,
węsząc ranek i słońce, szły konie cisawe.

Więc że w chmurze stepowej kurzawy
po raz pierwszy uniosły kopyta,
przeto lubo koniom cisawym
węszyć wiatr i na grzywy go chwytać.

Niedługo ziemia dyszała świeżością,
niedługo stała w rosach młoda gęstwa ziół.
Ktoś złoty i ognisty całe niebo rozciął
i spadł na step pożarem i duszącą siarką;
grzywy ognia rozwiane ku płonącym karkom,
kopyta w żuźlach coraz to ciszej i głuszej,
aż znikły konie w dymnej zawierusze
i były tylko stepy, trawione przez pożar.

Minęły chwile — może wieki — gdy łagodna zorza
przebiła się przez dymy, jak świetliste ramię;
to konie powracały,

z płomiennej wyrwane przepaści,
a wszystkie były na wiecznych dziejów pamięć
ognisto-gniadej maści.

To dlatego, gdy metal zapłonie trębaczom,
a zachwyt rytmy serca w czuły okłask zmienia,
gniade konie podrywają się w tańcu
i skaczą,
jakby znów cwałowały w płomieniach.

Przechyliła się ziemia ku zachodom i mgłom,
zgasła zorza, nastał wieczór, cienie pogmatwało —
wszystko, co przedtem doczesne się zdało,
teraz jęło spoglądać w wieczność —
i napłynęły spokojne wody, ogromna topiel światła falą
wezbraną i mleczną.

I pod skórą, jak wczesna struga, błękitną
drżą drobne żyłki w przestrzeń wsłuchanym siwoszom,
i ku wodom tajemnym, ku ich zmierzchom i świtom
rozwiane grzywy się proszą.

IV

W olbrzymim oddechu Boga wiruje świat,
cztery pory roku nadchodzą, w cztery strony oko spogląda,
dłoniom czterech żywiołów posłuszna glina lat
ulega, gdy swoją przemoc
narzucają na wodach i lądach.

Czarna ziemia żywiołem jest wiecznym,
ogień jej wnętrze przepala,
wiatr roznosi płomienie w złocistych językach,
gasną potęgi ognia i wiatru, wszystko zalewa fala
i jasnym żywiołem wody
odwieczny się krąg zamyka.

Konie jak wicher stepowy cisawe,
konie czarne — jak ziemia,
gniade — w ogniu spalone, siwe —
z wodnej poczęte toni,
na łąkach mistycznych,
żywiołami przechodzą na przemian —
I tu kończy się pieśń o Teogonii.

Wykołysane wichrów i żywiołów mową
chodziło stado w słońcu i bujnej młodości.
Nigdy niezapomnianą wonią czeremchową
oddychały zarośla.

W rozrzućnym rozroście
kipiało czarnej ziemi zjuzzone mrowisko;
nim jedne pędy zwiędły, już się na nich świeża
rodziła zieleń.
I tak było wszystko.

Widzą konie przed sobą łan płowego żyta,
sypie się kłos dojrzały, a nie ma kto zebrać.
Bujna nać buraczana czepia się kopyta,
owsa dzwonią uroczniej od jasnego srebra,
rudą krwią łan zalewa zwycięska ognicha
i w basztanach bezpańskich ciężki owoc wzdycha
za nożem ogrodnika.

W ukraińskich sadach
czeka tęskny urodzaj, gnije i opada;
potrać ziemię kopytem, a gleba wytryśnie
złotym miodem i mlekiem, tak wzbiera rozrzućnie,
i Inom błękitniejącym przed zmierzchem się przyśnił
wrożebny sen o prządkach i o płóćnie.

Rodziła się tęsknota. Nie wiadomo za czym.
I groza, lęk paniczny. Nie wiadomo przed czym.
Węszyły w znojnym stepie ogiery i klacze,
słuchały co im powiew w gęstych grzywach szepce;
każdy głos, który zdał się nieznany i nowy,
smagał uszy, jak płomień.

W zarosłe parowy
schodziły stromym zboczem ku splątany zieleń,
wyczekując patrzyły każdego wieczora,
jak gdyby im przed laty mową archanielską
zwiastowano Mesjasza
i nadeszła pora.

Zdarzyło się niekiedy, że dymek sinawy
wykwitał w złotym stepie i nad suche trawy
snuł się dalekim czadem i w nozdrza zawiewał.
Dęba nagle stawały przerażone drzewa,
wiatr do ziemi przypadał, skrzydła w pył zanurzał.
Huczająca, parskająca, rozjuszona burza
szła przez świat oniemiały w grzywach i kopytach
jakby cwałem ruszyły ciemne głębokie knieie.

Tak im pożar stepowy na chwilę zakwitał
sinym dymem,
jak zwiewną ułudą nadziei.

Szły konie nad ruczaje i jary urwiste,
co aż same się proszą ku bielonym siołom.
Może im zaraz z głośnym objawi się świstem
i przez drogę przebiegnie z piosenką wesołą...
... kto? ... tego nie wiedzieli...

Na wsłuchane głowy
mżyły liście i było im coraz bezludniej,
ruszyły, znów stanęły, łudząc się przez chwilę,
czy w sadach czereśniowych
nie zaskrzypią studnie.

Była cisza. Wracały w step i uroczyska,
jak co dzień zawiedzione i bardziej tęskniące.
Drzewo nocy stało w rozżarzonych iskrach,
srebrny pastuch po ciemnej przechadzał się łące,
gwiazdy krzesał i stada przy ich świetle liczył.
Szedł sen z wonią stygnących owsów i koniczyn,
zwidywało się koniom:

— Dymy, rozwłózione w jedlach,
brzęczą pszczoły nad ciszą białego osiedla,
chmara dzieci za wieprzkiem łaciatym w pogoni, huczą młoty po kuźniach,
a młyny na rzekach...
Aż spojrzał Bóg przychylnie ku tęsknotom koni
i postanowił im stworzyć człowieka.

VI

Szły konie rozpędzone, żrebce niepodległe,
świat roznosiły cwałem, aż dziwo że wytrwał,
a już w jaskiniach człowiek wypalał rudą cegłę
i z sinym dymem niosła się modlitwa.

Stanęło stado, w nozdrza wciągając dym,
co snuł się w niebo, srebrnym podobny wodorostom;
nad rzeką człowiek wbijał pale,
to było już domostwo,
kamiennym ostrzem drażył drzewo — pierwsza łódź —
i zaszumiały koło burty niepokalane fale,
kiedy zanurzył w wodzie wiosła,
by sine głębie pruć.

W drewnianym domu dał się słyszeć płacz, jak jęk za mgłą.
Wiedziało stado: tak czasem zając kwili.
Drzwi uchyliła drobna ręka i po chwili
wyszła kobieta, gołębi kilka za nią szło,
gruchając bardziej, niż zazwyczaj, słodko;
a ona niesie coś małego i otula,
i ponad główką trzęsie mu laleczką, czy grzechotką,

wołając:

— Lulaj, lulaj! —

Najpierwszy z brzegu źrebak, olśniony tym jak łuną,
oderwał się od stada, bokiem się przysunął,
coraz to dalej, już się zbliża do nich
i dotknął wargą lnianej chusty od kwietnej bazi mięcej,
aż ucichł płacz i zawołało dziecko:

— Neńko, konik! —

w radosne klaszcząc ręce.

Zahuczał w chmurach grom i stepem zgłuchł.
Stanęły konie dęba,
w płomieniach zstąpił na nie Duch,
gwiazdy jeszcze za dnia posypały się świetlistym gradem,
to głośny okrzyk dziecka
wyzwolił boskość dotąd skrytą w zwierzach
i na pogodnym niebie ukraińskim
rozkwitła nad ludźmi i nad stadem
Tęcza Wiecznego Przymierza.

A odtąd chłopcy na widok koni zawsze w ręce klasną
i nie ma większej przyjaźni
co aż w miłość wzajemną się skłania,
tak dzieci i konie przypominają niejasno
chwile pierwszego spotkania.

VII

Zdarzało się, gdym zaspał dnia któregoś dłużej,
że zbyt długą rozłąką znudzone podwórze
wysyłało przyjaciół na najpierwsze zwiady.
Wiec, łap na parapecie zostawiając ślady,
czarny Rozbój zaglądał przez otwarte okno,
za nim źrebak kosmaty wargę, jeszcze mokrą
od świeżo zżętej trawy, przesunął ciekawie,
i, zbudzony, nie wiedząc, we śnię, czy na jawie,
patrzyłem, dotąd patrzę — i już nie zapomnę.
Psi jęzor wywalony i ślepie ogromne,
obok pyszczek wilgotny gniadego źrebięcia,
trawa, wplątana w grzywę, pewnie z sianożecia,
nad nimi biel obłoków, smuga nieba wąska
i chwiejąca się z wiatrem brzoskwini gałązka,
cała w kwiatach.

Ach, tego fantazja nie stwarza,
to wszystko kiedyś było i w snach się powtarza.
Wyskakiwałem z okna i, piętami dudniąc
po zgniłych deskach, biegłem, gdzie nad starą studnią

oliwka, rozrośnięta szeleszczącym liściem,
w głębinie ciemnej wody snuła się srebrzyście.
Pluskało tajemniczo w mrok wpuszczone wiadro,
a żrebak, jakby nagle go objęła zazdrość
o nieco zimnej wody, za rękaw mnie chwycił
i ciągnął uporczywie, wparłszy w żwir kopyta,
rad, że do psot codziennych nareszcie się dorwał.
Szumiały ciemne liście na sąsiednich morwach,
brzęczały ciężkie pszczoły i na ścieżce motyl
siadał, w cieniu błękitny, a na słońcu złoty.

A potem, sprytnie myląc srogiej siostry czujność,
uciekałem przed lekcją i, za grzywę bujną
uchwyciwszy rękami, na grzbiet gniadej klaczy
wskakiwałem, już świadom tej sztuki kozaczej.
Z dzikim krzykiem pędziłem na łagodnym koniu,
co nigdy, dziecko czując, zbyt ostro nie poniósł;
Rozbój szcekał, a żrebak gnał w pustych ulicach
i trykał łbem, szukając matczynego cyca.

Wieczorem, gdy do stołu zasiadali gwarni
domownicy, wślizgnąwszy się w otchłań spiżarni,
cukier z worka zgrzebnego pchałem po kieszeniach
i smugą fiołkową oliwnego cienia
przekradałem się cicho do pachnącej stajni.
Tam rozmawiać ze sobą byliśmy zwyczajni,
tam ci odczytywałem me najpierwsze pisma,
a tyś wilgotną wargą przyniesiony przysmak
z mej dłoni wybierała i, na szyi twojej
uwieszony, zwierzałem dzienne niepokoje.
Przez okna zaglądały wygwieżdżone nieba,
pachniał bez i przy żłobie głucho stękał żrebak —
pewnie sny mu się śniły straszne i poczarne.

Ach, nieraz, gdy na niebo deszczowe i czarne
wy płyną mi z dzieciństwa złote gwiazdy Jejska
i w ogród brzoskwiniowy pustka wielkomiejska
zamienia się na chwilę, kiedy w knajpie spity,
gorzką wódką, przypomnę czarnomorskie świty,
uwieszam się na szyjach dorożkarskim koniom
i po pysku wilgotnym utęsknioną dłonią
prowadzę, twarz splakaną w ciemnej kryjąc grzywie.
A szkapą zwierzeń pijanych wysłucha cierpliwie,
jak i ja, zagubiona wśród ulic tysiąca,
domyśla się, co czuję, i rąk nie odtrąca.

VIII

Z bolesnych naszych dni i udręk nazbyt wielu

niech nas na chwilę chociaż moja pieśń uwolni.
Któryś mnie nieraz lubił słuchać, przyjacielu,
sprawdzimy,
czy do snów jesteśmy jeszcze zdolni.
Zaraz mi na ramieniu usiądzie biały ptak,
dojrzeją słowa na czułych ust łodydze,
wrócimy wreszcie w nasz prawdziwy świat
i będzie wszystko tak,
jak teraz widzę.

Szeroki step się rozparł czarnoziemem,
barami topól w sine niebo wparł.
Leciały z wiatrem, a teraz stoją nieme
i w liściach słońce,
jak pszczoł brzęczących żar.

Pecyny ziemi lecą nam spod stóp,
zgoniony ogier zarżał, a głos — bojowa surma.
Zdrów, koniu! Wnet dojedziem i przyjaciel-furman
srebrnego owsa zasypie pełny żłób.

Mijając wrota, niżej głowę schyl,
w uczciwe wjeżdżasz gniazdo, więc ukłon nie zawadzi.
Przed gankiem gospodarze oczekują, radzi
ze szczerym druhem spędzić kilka chwil.

Nad okólnikiem wstaje złoty pył,
jakby kto słońce w olbrzymich roztarł dłoniach.
To stado wraca przez mierzchnące błonia,
ogierey biegną wolno, a żrebce z wszystkich sił.

Kochałeś wolne konie, a więc teraz patrz,
jak matka się pochyla czule nad źrebięciem,
jak inne tryka łbem i do słabiutkich pęcín
pochyla nozdrza jabłkowita klacz.

To szczęście, jeśliś poznać i przybliżyć mógł
w wzajemną przyjaźń ufające zwierzę,
a po rozmowach z końmi szczerze są pacierze
i większym zda się nieśmiertelny Bóg.

Ale już w mrok się wtopił malinowy chrust,
na niebie świeci gwiazd kurzawa miałka
i w szklach rzeźbionych czeka nas gorzałka,
gotowa ogniem wsączyć się do ust.

A na obrusie białym chleb i sól,
mięsiwo przekładane ogórków świeżych warstwą,
to wszystko, czym się chwali stepowe gospodarstwo —

dobrytek sadów, pól i wód.

Najpierwszą czarkę na miłych gości cześć,
a potem już kolejno życiodajnym płynem
za ojców sławę, za Matkę-Ukrainę
będziemy kołem pełne czasie nieść.

I już rozmowa się wiąże w śpiewny rytm,
jeszcze ostatnia pieśń, jak czułe pożegnanie,
aż sen spokojny na pachnącym sianie
uniesie głowy w krótką noc i świt.

O świecie konie biegną, rżąc, do mokrych traw,
radosne głosy młodą łąką gonią,
i ku obłokom grzywiastym, jak ku koniom,
znów spieszno nam wychylić się na jaw.

IX

W skrzypie wozów dębowych i w ludzkim rozgwarze
ruszają się wąsate, opalone twarze
kołodziejów znad Gopła, pszczelarzy z Wołynia.
Jako łąki kwieciste wystawione w skrzyniach
puchną chusty czerwone i kraśne perkale,
lasy srebrzyste jak wczesne konwalie, a dalej
słotami się pochwalić przyjechał Biłgoraj.

Gęste ziarno pszenicy w konopianych worach
zapytuje przechodniów czy w domu nie głodno;
po obłokach z daleka odróżnisz Horodno,
na wozach góry sprzętu i w południa skwarze,
milcząc, stoją w baranich kozuchach garncarze;
tacy byli przed wiekiem i zostaną jutro.

Słońce opala brzuchy pękatym makutrom,
matki-ziemi i z ognia urodzone dzbany
chwalą się gospodyniom kształtem polewanym
i okręgiem szerokim wytoczone miski
przypominają ludziom, że obiad już bliski.

Objedź świat, miasta gwarne, co ogromem straszą,
a nigdzie zsiadłe mleko z razowcem lub kaszą
nie smakuje jak z misy toczonej w Horodnie.
Jeno z łyżką drewnianą wesprzyj się wygodnie;
obrazom pokłoń, z pełnej pociągnąwszy czarki,
i spróbuj skromnych darów wiejskiej gospodarki,
a odejdzie ochota do zamorskich smaków.

W gromadzie bujnych dziewczuch i krzepkich chłopaków

ślepiec klęczy na ziemi, wiatr mu siwą brodę
rozwiewa przed świątecznie wsluchanym narodem.
Ręka po klawiaturze, nim melodie znajdzie,
chwilę błądzi, aż duma odwieczna o Bajdzie,
o kaniowskim staroście, o złotych żupanach
snuje się i zacicha. Rzesza zasłuchana
stoi, dziad jedną ręką brzdąka na harmonii,
a w drugiej stara czapka miedziakami dzwoni.

Nie inaczej, gdy gwarne targowisko idzie,
w cieniu oliw, w starganej przez wiatry chlamidzie
przystawał ślepy Homer i, na strunach dłonie
kładąc, śpiewał rapsody o złotym Ilionie,
a Grekowie w krąg stali, zacichli jak woda.
Już zmierzch szeroką pieśnią zbudził się w gospodach
Kto zebrał żniwa w lipcu, dziś żniwo szynkarza.

Gorzałka krwią zakwita w rozpalonych twarzach,
gniewem wzbiera, lub ręce zaplata na szyjach.
Chłop chłopu dłoń wstrzymuje, przymierza, przybija;
na gospodarską zgodę i na dni szczęśliwe.
Gęsto krążą butelki z siwuchą i piwem,
szorstka ręka w dno butli, korek w sufit strzela.
Tak rodzą się kontrakty, spółki i wesela.

Pod księżycem wysokim, na ucichłym rynku
stoją konie przy wozach, czas im do spoczynku,
a przecie nie ochota. Suche siano żując
odgłosów, co się niosą z szynków, nadśluchują
i wiedzą między sobą długie rozmowy
o wypadkach niezwykłych, o jesiennej porze
wydarzeniach odwiecznych i codziennych pracach.

Noc już stoi na niebie. Wóz do dom powraca.
Śpi gospodarz, znużony po chmielnej rozkoszy.
Konie pilnie zważają, żeby się nie spłoszyć
i nie ponieść. Wóz, skrzypiąc, skacze po wybojach.
Modli się gospodyni: „I bądź wola Twoja!”
Przyjechali. Skończona daleka wyprawa,
jutro będzie pogwarka o spełnionych sprawach,
teraz sen. Jeszcze chłopiec na narach się ocknie
i konika dostrzega, rżącego na oknie —
dowód czulej pamięci i troski matczynej.
I okrakiem usiądą na koniku z gliny
Morfeusz i wywarem z trójziela i makiem
sieje ponad współsennym, szczęśliwym chłopakiem,
aż uśnie, skarb swój czule trzymając w objęciach...

Gliniany konik, kupiony na jarmarku,
w dziecinnej piątce radośnie zaciśnięty,
rozumnym okiem spogląda w ludzkie sprawy.
Żywioł przeciwny i wiek nasz niełaskawy
przechodzą ponad nami kamiennymi kroki,
z wiatrem powolnym snujące się obłoki
rzucają cień swój jak wysokie drzewa.
Jak na biegunach rozkołysany rumak,
nieutrudzony, pracowity czas.

Owoce dojrzewają i dziecko dojrzewa,
smutki i śmierć mu wróżą mroczne głębie gwiazd
i wzdycha ziemia przy orce i przy siejbie.

Konie o długich grzywach, prychające konie,
któreście przyszyły w ślad zabawki z gliny,
dzisiaj ciągniecie kierat albo pług,
a jutro wóz z sosnową skrzynką pociągniecie,
konie surowe, konie wiekuiste!

W wieczornym zmierzchu cichą śpiewkę nucę
i podpowiada mi jej smutne tony
jarmarczny konik, misternie wypalony
z tej samej gliny, w którą się obrócę.

XI

Oj, jechały, tętniły malowane ułany,
o koniku cisawym, o koniku bułanym
sen miniony jeszcze się nie prześnił,
w złotym słońcu rozwijały się, przypominały się
rozmarynowe pieśni...

Czy jutrznia świta w niebie, czy miasteczko gore,
że iskry lecą na piechotę i taborem,
rojąc się w ciemnych grzywach, jak ogniste muchy;
huczą głośnym tętentem nocnej zawieruchy
trakty szerokie i pod ciężką nogą
trzeszczy jak piach wiślany zdruzgotane szkło.

Konie, człapiące z wolna ku dymnym pożogom,
osnute czadu trującego mgłą,
na wieczornym patrolu wsłuchane i czujne,
ogniem dziesiątkowane w oszalałych szarżach,
słyszę w mroku żałosny, niespokojny głos,
a nie wiem, o, konie,
kogo wasze rzenie oskarża.

Urywana to bardzo i bolesna nuta
ten cichy jęk zwierzęcy nad dziecka szloch bezradniej...
Skaczą błękitne iskry po kolczastych drutach,
czasem rakietą z nieboskłonu spadnie;
rwie koń w przydrożnym rowie gęstą ruń koniczyn,
ciemnym okiem spogląda mądrze i żałośnie,
jak gdyby lepiej od nas znał gorzkie ziarno przyczyn,
co spazmem krwi i bólu
w męskich sercach rośnie.

Gdy wybuch szarpnie cegłą i duszącym wapnem,
biegnący piechur staje, potyka się, kładzie,
obłoczki płyną górą i wesoty szrapnel
pryśnie w gromadkę koni, uwiązaną w sadzie,
i krew z rozdartej szyi w czarną ziemię spływa;
koń wspiera się na nogach, ciężko się podrywa,
ślepia mu mgłą zachodzą; jeszcze czuje zapach
soczystej, mokrej trawy, jeszcze rzeniem głuchym
przywoła gospodarza, twardą trzszkę targa —
i już błękitne, krwią opite muchy
pełzną po chrapach
i spienionych wargach.

Konie, szalone konie na łańcuckiej szosie,
co pod ulewą ognia, przerażone, rwą się!
Konie artyleryjskie, w mrok stające dęba,
o wysadzonych ślepiach, wyszczerzonych zębach,
koniu, coś tuż koło mnie poniósł,
tknięty skrzydłem stali,
i we własne jelita się wplątał i zwałił;
gdyście z ognia przemknęły, rwąc dyszle i szleje,
a siny zmierzch za wami w nowych grzmotach głuchnie,
zostało kilka wozów, wywalone leje
i trup z rozdartym brzuchem
przy polowej kuchni.

Pamiętam — taka pamięć jest cierpka i gorzka —
stary chłop lejce z ręki wypuścił i upadł,
a gniady koń, wprzągnięty do półkoszka,
przez chwilę ciągnął bezwładnego trupa,
aż potknął się, w pył drogi zarywszy, i runął.
Wieś płonąca świeciła purpurową łuną
i legło w poprzek drogi i na nic nie zważa
chłopskie zwierzę
zabite obok gospodarza.

Pachniało bardzo mocno na drewnianych gankach,
jakby znowu zakwitła późna macierzanka;
snuły się srebrne nitki po błękitnych steczkach

i nad wymarłą ciszą pustego miasteczka
krążyły oprawione w warkot Messerschmitty.
Koń leżał w mokrej trawie wzdęty, jak opity
nadmiernie, pożar smolną dogasał pochodnią,
dymiły okopcone, rozwalone ściany
i był, jak krzyk wyzwania ludzkim podłym zbrodniom
ten koński trup
niewinnie ukamienowany.

XII

Przyjdą inni poeci nad zgasłą smucić się burzą,
chwałę wieczystą poległym pułkom wywróżą;
będą wprowadzać turystów, gdzie Nike kamiennostopa
przechadza się w szumię skrzydeł
po opuszczonych okopach,
a mnie w tym tłumie nie dojrzysz,
nie dla doczesnych parafian
szykuję moje elegie i dźwięczne epitafia.

Warn, konie, coście się rwały, na mocnych siadając zadach,
gdy w klekotaniu maszynek biegła zagłada,
wam, własnej śmierci wierne,
w rozwianej burzy grzywach,
wam ta żałobna pieśń i żałość serca prawdziwa.

Na nic wasze czujne oczy i nóg wytrwałe wichry,
skrzydła, co was nosiły, dawno zacichły;
w rękę przestępcy i tchórza zgasła wojenna gloria,
co w jeźdźca i konia przyjaźni
szukała zwycięskiej chluby,
w grzmiącej fabrycznej hali,
w nieznanych laboratoriach
dojrzewa śmierć nierycerska
pod okiem zimnej rachuby.

Wam, konie karę i gniade, głosami aniołów rżące,
które się dziś przechadzacie po gwiazdnej niebieskiej łące,
wam, fosgenem potrute we Flandrii,
konające na żelaznych zasiekach,
coście padły od kuł i z nikczemnej ręki człowieka,
któreście nad Wereszycą potonęły w mokradłach,
i wam, rozstrzelane z czołgów,
zanim myśl powiew śmierci odgadła.

Przez mękę Twoją, Chryste,
i przenajświętsze rany,
który konno i w srebrnej zbroi wyjeżdżasz mym snom
naprzeciw

ześlij Twój pokój koniom, podle pomordowanym,
a światłość wiekuista
niechaj po śmierci im świeci!

XIII

Wracał żołnierz z obczyzny w munduru łachmanach;
workiem się przepasując i kijkiem podparty.
Świeci mu kraj do ślepiów, jak otwarta rana,
patrzy: stoją kominy, jak żałobne warty,
obrodziło popiołem tego roku bujnie,
snadź ziarno było dobre i obornik żyzny.
Ano, przyjrzyj się chłopie, a oblicz podwójnie,
co z życia,
a co z polskiej zostało ojczyzny.

Poznaje żołnierz — tutaj rodzinna chałupa
stała w srebrze poranków i złocie wieczorów,
tu sąsiedzkie obejście, tam przed matką upadł
na kolana, gdy przyszli go brać do poboru;
a tam, gdzie ciemny popiół żółtą trawę skaził
i lej głęboki w mokrej otwiera się glinie,
tak niedawno, siadając na starym przełazie,
ileż zmierzchów poświęcił kochanej dziewczynie.
Dął świeży wiatr z zachodu i zawiewał marcem,
z ostatnich płatów śniegu pagóry oczyszczał.
Przygląda się wędrowiec swojej gospodarce,
kij i worek położył na jesiennych zgłiszczach;
wciąga w zbiedniałe piersi ten powiew i wiosnę,
siadł na starej przycieś! zachowanej krzyncy,
aż las zaszumiał przed nim i rzenie żałosne
odezwało się echem w mizernej olszynie.

I koń artyleryjski, cały w świeżych bliznach,
rżąc cicho, a boleśnie, spod gałęzi wyszedł;
mgłą poranną paruje wiosenna calizna,
wiatr łachmany upręży na grzbiecie kołysze,
czarną ospą pocisków poorana glina
pławi się w bladym słońcu, martwizny wyszczerza
i stali przeciw siebie na szczęścia ruinach
okaleczone zwierzę i resztką żołnierza.

Widziano: o świtanu wczesny ugór dymił
białym potem przedwiośnia i w skowronków śpiewie
czarna ziemia, stęskniona do ziarna ozimin,
oddychała radośnie na świeżym powiewie
wiatru, chętnego wielce ku corocznej siejbie...
Wlókł się za widmem konia potargany lejebik,
przystawali co chwila, odpoczynki długie

częste czyniąc, bo trud był ich siłom zbyt znojny...
I modliła się ziemia pod zwycięskim pługiem:
— Od pożaru,
od moru, od głodu, od wojny!

XIV

Zwichrzone liście wierzb zwisają ku wyciągniętym szyjom,
nad brzegiem rzeki mroczne konie mglistą wodę piją.
Od lasu ciemnosine cienie nadbiegają śmieiej
i stary pastuch
tęskne nuty na żółtej gra piszczeli.

Na łąki i pastwiska wysoki księżyc schodzi,
ogromną srebrną dłońią po lśniących karkach wodzi.
Słuchają konie głosów uroczej nocnej mgły,
prychają senne klacze —
i patrzą lepiej niżli my,
i słyszą noc inaczej.

Od białych jezior świeży wiew po mokrych idzie ługach,
ponad tabunem płynie czas — szeroka świetlna smuga,
coraz gęstnieje gwiazdny pył, ostatnie cichną pieśni,
wspierają konie ciemne łby
i rżą cichutko we śnie.

Z błękitnej stajni ponad las,
w tumanach mlecznej drogi
wychodzi paść się w bujnych ziołach gwiazd
czarny Praojciec-Ogier.

I z góry strzeże swoich stad, jak to bywało drzewiej,
brodząc powyżej pęcin w mglistych wód rozlewie.
Spokojnie tabun śpi pod okiem Przewodnika
i w niebie odgłos dzwonnych kopyt,
jak słodka brzmi muzyka.

Nad ranem, kiedy sierp księżycy za szumny las
się chowa,
zabłyśnie stada jeszcze raz
wykuta w srebrze podkowa.
Na mokre grzywy spływa świt,
robi się coraz jaśniej,
zbudzone konie tęsknie rżą do nocnej baśni.

Prawiecznych zjaw i śnień
pastuszych od lat najmłodszych świadom,
poświęcam dźwięczną moją pieśń
stepowym stadom.

Suchy szelest jedwabiu w staroświeckich skrzyniach,
smukłe dłonie na sukni i lekkość niezwykła,
jakby tylko w przejeździe na drogach Wołynia
u jej stóp siną wstążką związała się Ikwa;
i kwiaty zasuszone na żółtych literach,
gdy je pisał śród obcych, bardzo tęsknić musiał,
pewnie ujrzał, jak oczy zdumione przeciera
srebrnym snem nawiedzona i drżąca Salusia.

Tchną zatrutą słodyczą azaliowe gaje,
po deszczu cały ogród świeżością odurza,
drzewo biegnie ku drzewu, ramiona podaje,
a zmierzch po winogradach, po sztamowych różach
spływa ku sinym klombom i z wolna się kładzie
na rzęsach, na robótce, na kwiatowych wieńcach;
to obłok wędrujący z dalekiej Arkadii
zatrzymał się nad ciszą białego Krzemieńca.

Czasem za bramą domu pijany bałagula
trzaśnie z bicia i pieśnią odezwie się dziką,
ku nutom odłożonym sięgnie ręka czuła
i drżący ze wzruszenia otworzy klawikord,
smukłe palce zamyślą się chwilę, a wtedy
cały ogród jest pełny kwitnącej rezedy,
srebro dzwoni w gardziołkach wołyńskim słowikom;
i jeśli ta muzyka do nieba nie trafi,
aniołów nie przywiedzie do łez nieuchronnie,
jakiż tu ukraiński nadleci serafin
zwiastować dobrą sprawę szlacheckiej Madonnie?

Więc ścichnie pieśń — i oczy otworzone w grozie,
i strach jak ciemny motyl ku jedwabnym rzęsom.
Ruszył, idzie od wschodu stepowy czarnoziem,
z korzeniem wyrywane topole się trzęsą,
podolskie woły z ciężkich uwolnione jarzem
upadły na kolana przy pierwszym powiewie —
i z wichrem kołysane bizantyńskie twarze
wdzierają się w urocznym i żałobnym śpiewie.

Ach, on się takich twarzy i śpiewów nie uląkł,
a ty się, pani najsmuklejsza, lękasz?
Ku chustom wyszywanym i białym koszulom
już bidermayerowska ulata sukienka,
już się w chłopskiej gromadzie zgubiła szlachcianka,
za ręce ją pochwycą, na obłoki porwą —
i na winem obrosłych krzemienieckich gankach
zapachniało ajerem, brzoskwinia i morwą.

I porwali, i znikli, i ślad po nich ginie,
zatracili się w mroku, na polach i lasach —
tylko pożar daleki w bujnej Ukrainie
pełza nisko przy ziemi i wolno dogasa,
tylko jeszcze dzwonami Poczajowska Ławra
nawołuje żałośnie, jak gdyby na stypie,
i ślad po cwałujących ognistych centaurach
na niebie zmierzchającym gwiazdami się sypie.

Więc jakże... nic już więcej po nich nie zostało?
Wiotkie echo, gdy piosnkę najczulszą się dogra,
zapach róż, co przekwitły, rąk wysmukłych białość
na starych kolumnach więdnący winograd...
Po latach niespokojnych i zdarzeniach wielu
jakież z cichego dworku nawiedzą nas wieści?
...Ach, to tylko na ławce rzucony kapelusz
wyblakłymi wstążkami na wietrze szeleści...

Zmierzch brodzi śniadą stopą po zielonych wodach
każde drzewo, jak widmo, a krzew, jak rusałka,
rozlewa się stęskniona stepowa uroda
po leśnych uroczyskach, rozłogach i bałkach,
dzwonią kosy na łąkach, i w południe letnie
faun scytyjski przykłada do ust rzewną fletnię,
a piosenka jego dzika
ścisza się coraz słodziej, kiedy obok przechodzi
może nimfa, a może Nauzyka.

Przystanąły za siołem dzieci ukraińskie,
spoglądają w zdumieniu po ziemi wołyńskiej,
czemu tak łunna i dzwonna...
I patrzą, i nie wiedzą, że polną wędruje miedzą
uśmiechnięta szlachecka Madonna.

Światło księżyca pełga, palcami po twarzy wodząc,
przez nieodknięte drzwi bije daleka łuna.
Przychodzi noc romantyczna, listowiem
szumi w Jaszunach,
leniwym skrzydłem trąca w granit i spiż.
A tu nie archaniołowie,
zjadacze chleba się rodzą,
piewców kuchennej sławy poznasz po głosie.

To grom, to ty
nad pustką nieodkupioną
krążysz w strasliwym chaosie.
Przez oceanów złocistych wieńczone sny,
stopą, nieczułą na wiatry, w głębiach nie tonąc,
szedłeś, za tobą duchy biegły i szły —
tak przerażonym na skronie
spadasz,
obłoczna korono!

Od wschodu gorący wiatr rozwiewa włosy słabiej,
bociany tylko w powietrzu, srebra świecące okruchy.
Wiezie garsteczkę prochu orszak korabi,
naród nad wąską trumną sprawuje wartę;
przez dym kadzideł,
przez glorię patrzą krajowi w twarz
żrenice grozą rozwarte.

Wawel usypia cicho pod sennym łukiem wieczoru,
śpiewają smukli chłopcy — czemuż nie przy wiosłach?
Z bramy ciepłego mroku niewidzialny chór
przeptywa tłumem cieni, obraca się w niwecz,
znów ciemność między nami a tobą wyrosła
i opowiada się nikczemnym płaczem.
To zamieniając między sobą
słowa nieprawdziwe
grozą dalekim gwiazdom nocni podpalacze.

A na wołyńskich łąkach od ognisk dym
ściele się niską pieśnią — jakże smutną!
Chłopskie Elektry przed chatą bielą na słońcu płótno,
gdy żrebiec parska przez pole, to jakby biegł po klawiszach
tak się odzywa do żywych podziemnym głosem złym
lat spopielających cisza.

Śród pobożowisk Stochód prowadzi nurty sine,
zaleczą rany okopów, przeżarte rdzawym drutem.

Na tykach wije się chmiel, poza oknami barwinek —
oj, barwinku, barwineczku, poratuj!
Jakaż siła wyprowadza tę nutę
na spotkanie
stepowego poematu?

Oczy zielone świecą na rżyskach,
nuci w błękitnym zmierzchu spróchniała piszczel,
przemija słotna jesień, w gałęziach wicher świszczę,
trumny grają pod stopą, a ich gorący dech
w żużel obraca ziemię, glinę podłą i kruchą...
Wygodnym snem podłości
pod słomą strzech
nie pozwól spać, nieludzka zawierucho!

II

Gdy na ulicach stolic neony niebu bluźnią,
przewoźnikowi staremu jasność spływa na krypę,
dłoń w wodę zanurzona rozżłaca mroczną Prypeć
i górne szумы słysząc nad opuszczoną kuźnią.

O drogę w leśnym gąszczu księżyc się zatroskał,
aniołom liczył skrzydła, a każdy miał ich osiem.
Głębią poleskiej puszczy Panienka Poczajowska
szła smagłą stopą po rosie.

Mroki wierne jak psy u lekkich kładły się nóg,
zastygły białe brzozy w kształt bizantyńskich świętych,
dzień się budził i powietrzne instrumenty
wyprowadzał na zielony, na ług.

I mieczami naznaczona twarz
spoglądała coraz nikłej i bladziej.
Tak nad nami w pieśni leśnej i balladzie
cicho dzwonisz, przypominasz, ledwie trwasz.

Od tej ziemi żadnym snem nieuleczony
płyniesz echem, kogoś zbudzić chcesz
i w poleskiej puszczy huczą dzwony
od dalekich poczajowskich wież.

III

Kiedy żółty dyliżans ulicą przejedzie,
księżyc cień fantastyczny na ścianie wyciosa,
znów gniewna Nike rękę zapłacze we włosach,
wiatr tamten porwie, przewieje na wskroś —

emigranckiego wozu śpiewająca oś
nuci nieodwróconej tułaczce i biedzie,
kierunku ku wschodowi nie wskaże busola...
O świcie mgłą różową śpiewa wrzosowisko,
archaniołowie ziemscy przechodzą po polach,
z samotnej izby do nieba tak blisko,
do Ikwy ileż dalej —
warga gorzkim milczeniem samotność swą chwali,
to wszystko.

A jest wojownik srebrny, co przez mrok prowadzi,
jest piorun w dłoni sprawny i kołczan i łuk.
Ziemia zgubiona w dole odzywa się rzadziej,
stracona i rozwiana na nutach i nutkach,
słabnie okutych wozów wielkomiejski huk,
wibrująca to melodia cichutka.
A w gwiazdnych konstelacjach
zjawia się i świeci
biała róża —
na imię jej: L u d k a

— tyle lat cwałujących przez stepowy burzan,
tyle lat rozwłóczonych na smutkach.

Na srebrnych strunach wierszy młodzi już ostrzą miecz,
kurhany ukraińskie echo wstrząsa dreszczem,
co dzisiaj śmierć rozdarła, pojutrze krew skleci.
Jasne duchy go wartują i strzegą,
do źrenic umierającego
nadpływa tęcza pawia:
— złocisty witraż świętej Salomei
nad ulicami Wrocławia.

Podchodzi step zielony, zewsząd go otacza,
zanurza w sieniej wodzie, w drzew gęstwie, w sieniej trawie
nie krzyż na ustach tułacza,
to kluczem lecą żurawie,
stygające palce biegną po klawiszach,
obłoków stada białorune
mrocznieją, w nich złotawe błyski —
i matka-Ukraina żałobnym okrywa całunem
opuszczony grobowiec paryski.

Więc tak sięgałem myślą w niebo lazuruwe,
aby was snami na jawie zachwycać.
Duchy szły ku mnie i Bogarodzica,
w promieniach zorzy trzymająca głowę,
dom sponad starych lip błogosławiła;
i była wielka radość, że od ludzi prostych
tęczowe można poprzeciągać mosty,
które anielska podtrzymuje siła.

A byłem zakochany w twej śmiertelnej twarzy
i chciałem ducha tchnąć w skrwawioną glinę.
Sam u odwiecznych postawień smętarzy,
ufny, że razem z nimi w dal popłynę;
że się w trumienną owinę czamarę
i dawnych ludzi nieumarłą wiarę
przekazę nowym wiekom; bo w nocnej godzinie
jużem cię widział: strzałą wyprawiona
ku siedmiu gwiazdom wyciągasz ramiona
i wytkniętego celu nie ominiesz.

Dawna ojczyzna nasza, matko Ukraino!
Ukrzyżowana i w strzępy rozdarta.
Otom me słowa rozstawiał na wartach,
aby nikogo spośród was nie minął
ten wichr, co nieraz chmielem zapienił się w głowach,
gniewem odezwał się i buntem głuchym,
a kiedy indziej karmazyny i kozuchy
wspólną procesją wiódł do Poczajowa.

Bom pragnął, aby znowu w wasze dwory
wchodziły stepów pieśni. Byście złotym miodem
pili za starą hetmańską ugodę
i łącki upór, do myśli nieskory,
ku krwią niedkupionym wywiedli kurhanom.
A czasy takie jeżeli nastaną,
że znowu do waszego proga w imię Boże
lud prosty przyjdzie i w drzwi zakołacze,
ta pieśń nie będzie lamentem ni płaczem,
ale jak zbrojny nad tłumem porzecz.

Ziemio, w ogrodach kwietna i słowicza!
Ziemio, po nocach pożarna i krwawa!
Kto poznał twój na wichrach kształcony obyczaj,
kto z piersią odsłoniętą pod burzami stawał,
kto w cieniu twoich topól przeżył letni zmierzch,
kiedy obłoki złoto-sine płyną

i oddech czarnomorski rwie nad Ukrainą,
i słyhać śmiechy dziewcząt spod szumiących wierzb!

Kto tamtych pieśni słuchał! Kto w ten czar uwierzył,
że nie jest tylko melodią, lecz słowem.
Kto inicjały od krwi purpurowe
do swych codziennych wpisywał pacierzy,
temu się dnia któregoś odezwie znienacka
lirą w trumnie ukryta, ta lira żebracka,
której klawisze srebrne mozolnie-m wydeptał...
I usłyszysz w podziemnych cmentarnianych szeptach
szmer uwiędłego serca. Bo chociaż stulecie
już minęło, lecz jeszcze w mych troskach nie zamilkł
i smutno jest mi; nie mogę odlecieć,
bo mi sądzony odlot razem z wami.

A jeśli podejmiecie rytm wzniesionych skrzydeł
i uczynicie z niego takt własnego lotu,
jeżeli od natrętnych ku wczoraj powrotów
nie odwrócić twarzy, zdjętych wstydem fałszywym,
już się skończy to podziemne granie liry,
brzęczącej jak pszczoła w pasiece,
i trwać przestanę na stepowej spiece,
jak żuraw, trzymający w ręku serce-kamień.

Lecz jeżeli ominą was pieśni i słowa
i znowu nikt z was, sennych, nie dosłyszysz
grania pod ziemią drgających klawiszy,
bo was głuchota opadnie grobowa;
pójdę w step i mrok nocny, by przytomnym nie być,
gdy spadną wam na głowy klęski i pogrzeby —
upiór samotny, ku sinym kurhanom...
A że znów się kokoszym rozłożycie sejmem,
na zawsze waszym palcom nieczułym odejmę
lirę, stopami ducha ciężko wydeptaną.

I

Więc oto znowu w tej samej krainie,
gdzie woń konwalii rosnących na Czerczy
i po dolinach cicha lkwą płynie
wezbrana łzami, gdzie wśród cichych lewad
złoty archanioł stoi...

Gdzie nabrzmiewa
samo powietrze smutkiem i tęsknotą
i w płacz zapada się uśmiech szyderczy,
a słowa w rymy jak liście się plotą,
tam idę — płuca znużone uzdrowić...

Gdybym potrafił mojemu krajowi
tegoż oddechu czystego użyć,
którym ojczyste skały krzemienieckie
poły usta, kiedy mały dzieckiem
biegłem pod górę, co się tam rozsiadła
groźną ruiną... Tam echo wciąż krzyczy
na zwołujące się stare widziadła.

II

Już żaden szary żebrak z obwarzankiem w dłoni
nie odejdzie od progu. Zapach święconego
z okien domu nie wyjdzie. Bo nie ma już domu.

Głos obcy duchy ode drzwi odgoni.
Bukietów na komodzie oczy nie dostrzegą.
Listu nikt nie odbierze. Bowiem nie mam komu.

A tylko księżyc winogrody kusi
co noc. I krzyczy mrok, że to pomyłka,
że błąd! Że na cmentarnych za chwilę mogiłkach
Złota Czaszka przed tłumem położy się krzyżem.
Że jezuicki żak dla ślicznej Gnusi
sznur słów jak pereł na nitkę naniże,
słów które mu podpowie słowik zakochany,
nim usłyszymy, jak puka do ściany nieszczęście...

Wtedy będą zważone na szali
zamiary i uczynki. Wtedy się zbudziwszy,
słyszając jak dom się nad głowami wali,
jak mkną szeregiem nieprzerwanym zimy;
i zjawę z żrenic jak zła zmorę starłszy,
wstaniemy: oto wiek nasz o lat dwieście starszy,
w noc jedną się zestarzał i młodość nam zatruił.

Zbiegamy się: aktorzy, żywi ludzie, cienie?
I pod gromami bieleje Krzemieniec,
jak szczątek zniszczonego przez hordę teatru.

III

I tak się oto jasny sen w noc mroczną zmienia
i kirem łąki nad Ikwą zarzuca.
Krew czarna krzepnie w udręczonych płucach
i nie zostało już nic prócz imienia.

Lecz pacierz, który płacze, i piorun, co błyska,
jeszcze żyją, choć w porę niepodjęte nikim.
Na moczarach i młakach, na wód rozlewiskach
wciąż się nam ukazują błędzące ogniki.

Nam jeszcze nocą błysną... Ale tamtym, żywym
do oczu nie zaświecą, nie wyznaczą spotkań.
Sny do księżycowego złożono archiwum
i wiersze są jak trupy w cmentarnych gablotkach.

Patrzysz: grobem upiornym bieleje Krzemieniec —
chcesz podnieść ciężką płytę, lecz warty jej strzegą.
Zbierasz słowa i są ci, jak gwiaździsty wieniec
nad głową powieszonego...

Lecz pieśń nieprzejednana jak dawniej pamięta:
lecz niczego zapomnieć nie chce myśl zawzięta,
żadnych się pozbyć zamiarów ni życzeń.

Że tchu już zbrakło? Więc z płuc krwią niech chlusta!
Gdy dokoła złowróźbna rozwarła się pustka,
niech się krzykiem zaludnia.

IV

Bo było powiedziane, że będzie płakała
ta kartka wieki i dość łez jej stanie.
Noc wsiąkła w ziemię i burza przewiała
i znów czekamy na burz zmartwychwstanie.

Z rozgrzanej gleby, jak z chlebowej niecki,
życie wybucha krwią, zielenią, gnojem.
Otom się świadczył znakiem krzemienieckim
i jako dawniej przy tym znaku stoję.

A to na przekór mędrcom. Bo Krzemieniec dla nich
rozwiązał się we mgle, więc mgłami pijani
błądzą na oślep, blask światła zdradziwszy.

Gdy ja, uchem podany ku nocnym tętentom,
trwam na warcie, a jeśli sen mnie dotknie, sen to
od ludzkiej zjawy po stokroć prawdziwszy.

Znowu wiosna zielona na polach Wołynia, struny
pszczół zaplatane w kwitnących akacjach,
skrzypce lip rozśpiewane. Jak muzyczna skrzynia
każdy dom. Każde drzewo, jak szumna owacja
jasnemu słońcu. W dębowych naczyniach
chmiel się pieni i gwizd lokomotyw na stacjach
przywołuje podróżnych w radosne odjezdne.

I jeszcze noce. Słowicze i gwiazdne.
Do tych nocy sny twoje i pieśni przymierzaj,
do tych gwiazd kołujących jasne oczy unieś.
Gdy świt na rzece jak na srebrnej strunie
nutami ziół, ich oddechem szerokim uderza,
najpierwsze stają w purpurowej łunie
szczyrby murów odwiecznych.
Tam stopy twe prowadź
z widmami ojców o świat się prawować.

Wychył się z okna, przygodny turysto,
pozdrów ruiny sędziwe i mijaj!
Tu gdzie pieczęcie zapowiednim listom
rękami duchów znojny wiatr przybija
będziesz się obco czuł. I niech niczyja
dłoń obojętna prochów nie przewraca.
Tu tylko dla nas pieśń, troska i praca.

Tam chodziłem i drogi deptałem zarosłe,
odgadując wśród próchna ślady poprzedników.
Pielgrzymia laska stawiała się wiosłem
i nieraz mi na usta rozwarte do krzyku
dłoń kładła się tajemna. Więc w milczeniu rośłem
przed moim Bogiem — i w ognistych krzewach,
gdy innym była cisza, słyszałem jak śpiewa.

A w sadach pracowicie grały złote pszczoły,
odpoczywały obłoki na strzechach.
Pastuszych pieśni kalinowe echa,
Z wonią dzikich czereśni zmieszane na poły,
wypełniały me serce, żem w słońca uśmiechach
szedł jako w zorzy. Zielony mój Wołyń
otaczał mnie, porywał i krążyłem w półśnie,
jak trzmiel znużony, gdy na dłoni uśnie.

I żeglujący ku starym ruinom,
i wychyłony ku nocnym słowikom,
upity chmielną wiosną, szumiącą jak wino,
czym byłem? — może tylko stłumioną muzyką

dawnych dni, późnym wiatrem, co z głębi napłynął
i na cmentarzach wędrownym płomykom
chciał znowu życie tchnąć, jak ogień w płuca.
A wiatr ten co dnia mym snom się narzuca.

Rzeki moje poranne, w których senny wiewiór
tonie przed świtem. Niecierpliwy rybak,
ileż razy, gdy słońce na białych sadybach
wspierało dłonie, śledziłem zawzięcie
wody wasze, przymglone jak zielona szyba,
żółtą pianą wzburzone na każdym zakręcie leśnego nurtu.

Niefortunny łowca,
z pustym koszem błądziłem po cichych manowcach.
Tak sen, sen nocy letniej, wołyńskiej się prześnił...
Dzikie trojandy stały w srebrnej bieli.
Wracałem. Na spotkanie biegły słowa pieśni,
które nieraz żeście w mroku słyszeli.
Jedwabne płatki kwitnącej czereśni
Ignęły do dłoni.

A stary Kisielin
rósł — cały w skrzydłach — i z drzew się wynurzał,
nadciągająca, zwiastowana burza.

Fale, fale, kołysanka rzewnych trzcín,
srebrno-sine poleskie Genezareth.
Najmilejszy w kolebeczce usnął Syn,
księżyc wzeszedł nad wezglowiem złotym korowajem
szepcze słowa i zaklęcia bardzo stare
Przenajświętsza Panienka Poczałowska...

...Uśnij, synku, uśnij snem spokojnym,
niech ci się wydaje,
że nie zaznasz, czym smutek i troska...

A ja w łąkach zabłąkałem się po pas,
dym do oczu napętlł, siwy dym pastuszy.
Szły nad lasem konstelacje jasnych gwiazd,
drżały ogniem błękitnym na sosnach i świerkach,
gdy wyrzała na polanę śniadolica pasterka
aż zdumiony ukląkł przed nią jelen.
I zagrały w poleskiej głuszy
flety ptaków i drzew wiolonczele.

Miała rękaw u koszuli, wyszywany suto,
bujne wstęgi, upięte u wianka.
A naprzeciw tym drzewom i blaskom i nutom,
cała w kwiatach,
pachnących coraz słodziej i goręcej,
wyszła druga Pani, smukła, jak szlachcianka,
i spotkały się i wzięły za ręce.

...Ach, tak nieraz, nim krwawa zaświeciła nam gwiazda,
zanim smutek zagościł w naszej pieśni rytmach,
na huczących weselach, na tryznach i zajazdach
spotykały się
Ukraina i Litwa.

Poskarżyła się pierwsza boleśnie:
„Dziki jeździec z srebrnych wotów i relikwii mnie odarł,
gorzkim dymem pożaru wiatr nawiedził mnie we śnie...
Smagłolica moja uroda
szybko zwiędnie na tych wichrach i pożarach...

Rzeki krwią wypełnione, jak nalana czara,
obrodziły sady popiołem,
głodny płacz pacholęta nasycą
i miedze poorane w kolczastych okopach...
Ach, spotkała mnie dzisiaj samotna wilczyca
i, żałując, położyła się
przy stopach...”

Tak szeptała smutnej siostrze i leśnemu światu,
łzy gwiazdami srebrnymi toczyły się po twarzy
i spadały w senne usta kwiatów,
jak do wonnych, nocnych trybularzy.

„Ty mi nie mów, biedna siostro Poczajowska,
jakie troski i jaki żal masz...
Wędrowałam po zatrutych miastach i wioskach,
trupów matek i dzieci nie mogłam się doliczyć;
lasy stoją w modlitwach i psalmach,
więcej teraz na świecie goryczy,
niżli wody w zielonym Horyniu,
więcej smutków, niż obłoków nad Słuczem...

Całą we krwi i ranach znojny wichher mnie przyniósł,
ani wiem ja, gdzie krew tę opłuczę...

Czarne duchy na mym ludzie mszczą się,
w dusznej siarce archanielski Krzemieniec,
pękło serce bolesne u stóp mych na Rossie,
zgłuchło w mroku i bólu oniemiałe Wilno.
Teraz będę się bezradna, jak przez ciernie i cienie
wskazać drogę oczom nieomylną”.

I odeszły zapłakane w las;
Ostrobramska szlachcianka i pasterka.
Szły za nimi konstelacje wiernych gwiazd
i kołysał się na wysokich świerkach
późny księżyc, zachmurzony i blady.

Fale, fale, kołysanka rzewnych trzcin,
słodkie słowa poleskiej ballady.
Najmilejszy w kolebeczce drzemie Syn,
aniołowie,
jak ważki, przylatują na wietrze
złocić słowa najwdzięczniejszym modlitwom.

Uśnij, Synku, uśnij, Matka czuwa nad wezgłowiem,
a gdy oczy znów przetrzesz,
wstanie świt
nad Ukrainą i Litwą.

Był nam wrogiem i myśmy wrogami mu byli.
Bośmy się nienawiścią braterską popili
i, rozum utraciwszy, niepomni na przeszłość
tym zawsze nasyceni, co już w krew nam weszło,
tyle tylko chwytały w pogrzebowych nutach,
ile nam naszeptuje ciężka nasza buta
i gniew szumiący w głowach, jak mroczna otruta.

A był żołnierzem zacnym i umarł w honorze.
Wiec starzy towarzysze nad śmiertelnym łóżem
ślubowali mu wierność do samego zgonu
i trumnę przy jęczącym wtórze helikonów
nad skronie wywyższywszy, prowadzili w wieczność.

Tam mu już od hałasu ludzkiego bezpieczne,
tam nie słyszy, jak tłuszcze nierozumne suną
oddawać hołd bezmyślny wrzaskliwym trybunom,
jak pisarkowie wielbią fałszywych proroków
ryjąc dwudniową sławę na nietrwałej cegle.

Uśpionemu w spokoju i cmentarnym mroku
krajobraz się przed okiem otwiera rozległej.
Teraz, kiedy się nad nim dni powolne przędą,
lepiej przyjrzeć się z dala popełnionym błędom,
zbrodniom wzajemnych bojów, bratobójczym czynów
i, odrzucając z piersi gorzki liść wawrzynu,
poznać wreszcie to wszystko, co nam jest zakryte.

Czemuż, zwiedzeni blaskiem w spiżu kutych liter,
zwelekamy mu ostatnią nadesłać waletę?
Trumny nie zarzucimy przemożnym dekretem
i karki, sztywne w pysze, głów nam nie wywyższą.
Oto szedł całe życie drogą nam najbliższą,
aleśmy się minęli i, wadząc kto bardziej
jest w domu gospodarzem, rozeszli w pogardzie.

A teraz nad zamglonym brzegiem Acherontu stoimy,
znów przywdziałwszy złotolity kontusz,
i — próżni sławy — butą dławiąc się niewczesną,
przywołujemy duchy, które ani wskrzesną,
ani słyszą, zakute w milczenie jak w pancerz.
I usta przepalone w conocnej hulance
zapominają mowy...

Wiatr dmie przeraźliwie,
sypie na świeże groby pożółkłe igliwie,
rozmiata wstęgi wieńców po cmentarnych gładach

a na progu miast naszych stanęła zaraza,
trza by biec, dzwonić alarm, lecz już nie potrafią
unieść się drętwe ręce... I na epitafium
stać nas tylko...

Gdy jednodniowych zwycięzców prowadzą do Capitolium
i warkot werbli się niesie ku wszystkim odwachom,
Wbrew narodowi, hucznemu głośną swawolą,
Usta poetów milczą, zdjęte żałobą i strachem.

Potem nadchodzi noc. I znowu tej nocy na przekór
wynosi się śpiew fanatyczny, cierpkiej podobny kłótni,
śpiew, co jak skalpel drąży w sercu mrocznego wieku
do uśpionych przemawia najgroźniej i najokrutniej.

Trwożna jest nasza pieśń, jak kołująca jaskółka,
i nad którą niebem gradowym zwiśla żelazna epoka,
Jednak niesiemy ją dalej i w zmierzchających zaułkach
mijamy się często ze sobą, poznając po głuchych krokach.

I nieraz, kiedy się ziemia pochyla ku gwiazdozbiorom
i świeci próchno na marmurowych posągach,
słyszemy, wolno przechodząc przez puste Forum,
wasz przytłumiony głos, jak naszej chwale urąga.

Znamy te gorzkie nuty, mroczne zaklęcia te same,
co naszą jesień zatrwały, zwilgłą i mglistą,
śpiew obłąkany troską, groźny i gniewny lament,
strofy wydarte z ksiąg wszystkim Ewangelistom.

I niejednemu z nas wydaje się prościej i słodziej,
jak niegdyś, jak teraz wy,
krzykiem wołać swą wolność świętą,
niżli z posępną twarzą błąkać się w głuchym narodzie
i dusze budzić z niewoli, gdy z rąk niewolę odjęto.

Bo łatwo butom żołdaka głosić triumf i chwałę,
cieszy się tłum, gdy ulicznik na palcach gwiźnie,
lecz, gdy się skroń znużona pochyli na folialem,
księgi proroków świadczą przeciw własnej ojczyźnie.

Wiec, skoro każdy czyn zaprzecza dawnym gloriom,
a słowo, w pustkę rzucone, mniej niż płacz dziecka znaczy
zanim nadejdzie burza, w tej pieśni, jak w krematorium,
na popiół płoną rojenia dumy i czarnej rozpacz.

Lecz pamiętajcie to jedno: Kiedy żelazni edykci
wbijali nowe słupy nad rozrzuconą mogiłą,
gdy huczał twardy krok i głośny okrzyk — *Vae victis!* —
rozległ się koło szafotu,
tam naszych pochwał nie było!

Tak nas upiory nie na próżno straszą.
Zwalił się z konia jeździec, zanim zbroi dopiął.
I naszą wolność, tak jak wolność waszą znów
zasypuje jeszcze ciepły popiół.

Nie słyszał głosu ostróg nikt — bo któżby...
Na placu stanął mówca, wkoło było pusto
i śmierć, idąca śladem ciemnej wróżby,
obydwie ręce uniosła ku ustom.

Ale na przekór kodeksom z żelaza,
co nawiały jak chmura nad zdeptanym krajem,
warga żałobnie sili się przekazać,
że pieśń umiera, lecz się nie poddaje.

Niech więc uderza w krzyk naprzeciw Fatum
i niech te gorzkie słowa, których fałsz nie zbrukał,
zucone ponad głowy mrocznym latom,
usłyszy serce szczęśliwego wnuka.

A kiedy wiatr epicki zwycięskim wyprawom
śpiew upojenia wsączy w żyły,
zaświadczy przed światem, najdumniejsza sprawo,
że moje pieśni ciebie nie zdradziły.

To było w sześćset dwudziestym pierwszym
po założeniu Rzymu.

Nad Duero szumiały takie same topole,
ten sam wiatr dął od Moncayo i Urbionu.
Mętny nurt rzeki łagodnym półkolem
otaczał mury z niezdarnie ciosanych głazów.
Szły wozy, ciężko chwiały łbami woły,
monotonnie piastami skrzypiąc.

To wtedy rzymski wódz, Emilian Scypion
rozkazał, uciąć dłonie dwustu zakładnikom,
nim zaczął bić z katapult do obrońców
w sześćset dwudziestym pierwszym
po założeniu Rzymu.

II

Mieli kudłate psy i kij w brunatnej garści.
Okręcali się w płaszcz grubo tkane z wełny.
Gdy księżyc wzgórza oliwą namaścił
i czarnymi widmami wąwozy wypełnił,
szli w noc i w lękiem wypełnioną ciszę.
W bukłaku gorzki płyn z chmielowych szyszek
i w torbie owczy ser...

Palili węgiel
z pniaków skręconych wichrem. W dymnym domu
czekały ich kobiety, zawsze uda tęgie
rozkładać chętne. Nigdy się nikomu
nie chcieli poddać — w zwadzie ani w radzie.
A teraz się nad nimi cień olbrzymi kładzie
orła co zniżył się od skał Urbionu
i siadł
u stóp pretora.

Minęło odtąd dwa tysiące lat.

III

Ten wicher, co usta idącym oniemiał,
wciąż trwa. Wysokie niebo ciągle ma w pogardzie
doczesne sprawy. Sochą poradlona ziemia
cięży ramionom coraz bardziej.
Rzucony z procy głaz w przelocie huczy,
cyprysy stoją wśród cmentarzy bratobójczych

i księżyc wzgórza oliwą namaszcza.
Dym jałowcowy z mgłą zmieszany w haszczach,
dym z kainowych ognisk, przeto nie przyjęty.
I minotaury na górskich pastwiskach
i skalnych orłów gardłowe lamenty,
grzmoty zdławione.
Znów krótki miecz błyska.
To na powrozie kat skazańca włóczy
i wbił się w szafot słup urągowiska.

IV

Rozwalone kamienie zbiegają się w ściany,
stara Numancja dźwiga się i grozi.
Przyłóż ucho do ziemi. Słyszysz? — pokonany
bunt zbiera prochy przedwiecznych eksplozji,
minotaur łeb podnosi i w mrok długo węszy.
O zmierzchu nurt Duera staje się zieleńszy,
nim księżyc go podpali.

Po górskich wertepach
zbierają się spiskowcy i Hekate ślepa
wróży z popiołów.
Aż z długiego krzyku
płomień wywikła się rwący wśród drzew
i na pożółkłe kości trafi pieśni lemiesz...

Wtedy znowu ucięte ręce zakładników
zasieją czarną krew
w spieczoną ziemię.

To nieprawda, że zieleń soczysta na Prado,
to nieprawda, że słońce na niedzielnej corridzie.
Noc nad nami i w nas. Dokąd, nocy, idziesz
poprzez trupy, przez krew, przez szpalery szubienic?
Zgnilizną jest urodą, miłość podłą zdradą,
nie odrobić, nie odnowić, nie zmienić.
Zaprzędano nas, przepito, wyklęto,
nie pomoże męstwo ani świętość!
I gdy będziesz umierał cały w pocie śliskim,
przywalony jak górą straszną chwilą,
nad wezglowiem
wilcze uszy, diable pyski
jeszcze raz zwycięsko się pochylą.

Można przedtem poroztrącać zgniłe próchno,
można wykpić króla, że głupi.
Można światem wzgardzić i ogłuchnąć,
w podmańdryckiej tawernie się upić,
nożem dostać pod zebro, wyrwać zęba wisielcowi,
egzorcyzmem rozpacz wysławić,
zwołać wiedźmy, wilkołaki na sabat...
Niech kołują, niechaj wre zabawa!
Zanim trupy do kostnicy się pozwozi,
zanim śpiew koguta noc tę utnie,
uroczyście nadęty kozioł
będzie kazał do piekielnych sekutnic.

Czarna wrona przegina się, wdzięczy,
wypełzają ustrojone ropuchy.
Teraz starcom dziewczątka będziem stręczyć,
z demonami na cmentarzach gzić się.
A z przestrzeni ciągnie groźne wycie,
brzęczą ciężkie szaleńców łańcuchy,
brat rozwala głowę swemu bratu
— zaraz w piachu razem z nim się zapadnie —
połyskują drapieżne zwierząt kielce.
Powiesz światu
jak się żyło ładnie,
kiedy będziesz już trupem,
już wisielcem.

W pustym niebie kłós księżycy obły,
przygarbione bezradnie plecy.
Jużeś wysechtł, wypalił się, jużeś ogłuchł
na ten świat,
na pieśń, na śmiech kobiecy.
Na poczarne sny, na ciało zgniliznę.

Nawet ich nie pędzisz egzorcyzmem.
W grząski muł zapadasz się, zapadasz,
ciągną w dół rozpacz, klęska i zdrada,
i na dnie śmiertelnego rowu
obskakuje cię żałobników korowód,
jużeś śliną ich
pobłogosławion i namaszczone.

A szalony bóg z rozwartą paszczą
miażdży głowy, ręce z stawów wyrywa.
A na oczy spada wichrów grzywa
i krzyk straszny z otchłani się niósł
pod tym niebem, które coraz to chmurniej.

Ryk zwierzęcy z krwią rozdartych ust:
— Nie pożeraj nas,
ojcze Saturnie!

Biskaja, kantabryjska Biskaja,
na burzliwych wrześniach, na zielonych majach,
pod słońcem, pod wróźebnym księżycem...
Tur z twych jaskiń na wolność wyjść nie umiał,
szumiał z wichrem
i bezradnie przeszedł
święty dąb w płonącej Guernice.

Kto ocean ku twym lasom przysunął,
kto cię podał piorunom i łunom?
Chodzi po twych górach, martwi się i gniewa,
zaciosuje znaki krzyża na drzewach
groźny staruch —
don Miguel de Unamuno.

Lasy chorągwiane, od spodu rdzawe,
smołą przesycone płótniszczą karawel;
białe wasze koszule, jak piana na morzach...
Biskajo pasterska i żeglarska,
zanim tur jaskiniowy gniew z nozdrzy wyparskał,
już lew kastylijski cię pożarł.

Euzkadi na wodach, skałach i polach
zatknął sztandar nad tobą kapitan Loyola,
mocno-ś w jego wiarą zakuta, jak w kirys.
Uważaj, milicjo Chrystusowa,
by nie wydarł się i was nie stratował
kopytami
mściwy tur z Altamiry.

Gromadą owiec białoruną
na wzdętych żaglach karawele suną,
skarby zamorskich krajów na swe barki biorą.
Egzorcyzmy na nie miota siwy prorok,
lew i tur —
don Miguel de Unamuno.

Tura trzeba uchwycić za rogi,
jedną ręką — wiary, drugą — mitologii;
krzyż ma także rozłożone obie ręce.
Lwu — paszczkę rozedrzeć, to tylko potrafi
ktoś, co idzie od baskijskich parafii —
i już dziki miód
we lwiej paszczęce.

Jeśli turowi — tylko widowisko na arenie;
jeśli lew — w cyrkowej klatce odmieniec,

jakże krzyż swój, dumny starcze, wydźwigniesz?
Ryczał tur, lew na niego u jaskini czyhał,
uwodziła ich czarna zazdrość i pycha —
teraz leżą, gorączkują w malignie.

Tyle wokół szatanów, zaś aniołów garstka,
jak obronisz się, Biskajo, górską i żeglarską,
jaki sztandar wyhisujesz na reję?
Groźny prorok, don Miguel de Unamuno,
dobrze wie:
tylko burzą, tylko łuną,
tylko we krwi jasność zadnieje.

Idzie turniami słońcem przepalony pasterz,
krzemień zamiast chleba, zgniły mech za omastę,
nóż, przeżarty krwawą rdzą, za pazuchą.
Chrzčili go, chrzest wywietrzył po latach,
wyrzuci kamień z procy, zawsze traci w brata —
ten sam krzyk powtarza się głucho.

Stoi Hiszpania w grzechach, w nadaremnych modłach.
Kto dzikiego tura osiodła?
Kto lwu głodnemu uździenicę założył?
Zwozili złoto i srebro z najdalszych Antypodów,
dorobili się zarazy i głodu,
aż ich dobra i skarby
stał gniewny palec Boży.

Widziano:
otwarły się wnętrzności ziemi iberyskiej,
oznajmiały się niebiosu grzmotami i błyskiem,
pioruny same biegły cwałem ku strunom,
gdy na oklep na grzbiecie tura,
z ręką we lwiej grzywie,
prorok, swój sąd sprawujący sprawiedliwie,
jechał krajem —
don Miguel de Unamuno.

Nocy, nocy, przytul i ogarnij!
Nie śpiesz się,
nie śpiesz, mroczny losie...

Mdłe kadzidła urwiskiem pną się
drżą przerażone latarnie.
A-jaja-jaj...!
Jakże śpiew boleśnie się spiętrza,
jakżeś cierpiąca,
a-ja-jajaj...
aj, Panienko Najświętsza!

Udręka zmogła Cię nagła,
że pochylasz umęczoną głowę.
Jako my jesteś smagła
i oczy masz migdałowe.
Żalisz się, żalisz
opuszczonymi bezradnie rękoma...
Przebito Ci serce sztyletami siedmioma...
Skarżysz się pieśniom cygańskim
i gromnic migotliwej rzeszy.
Opowiadasz swój ból zbiegowisku
i nie pocieszysz się, nie pocieszysz,
choćby naprzeciw
wyszedł sam kordobański
ksiądz biskup.

Poskarż się nam!
My Twój ból najserdeczniej utulimy.
Za lata upalne,
za wichrem chłuszczące zimy;
za rozpacz Cygana,
że mulicę mu ukradziono;
za Cyganiątko, co płacze od rana,
bo wyszło karmicielskie łono;
za młodego, skopanego przez żandarmów,
za dziewczynę,
od której kochanek uciekł — zaśpiewamy Ci,
zaśpiewamy za darmo
przez zwykłe
cygańskie współczucie.

A-ajaj-ajaj...
Jakaż boleść, coraz to gorętsza...!
Jakżeś cierpiąca
a-jaja-jaj...

aj, Panienko Najświętsza!

Jakaż pieśń Twoją rozpacz wypowie,
jakiemu groźnemu Bogu?

Gdy Twój Syn
pod krzyżem się chyli...

Gdy procesja zatrzyma się na rogu,
wypijemy w knajpie za Twe zdrowie
po szklance manzanilii...

A-ja-jajaj...

Panienko Najświętsza...

I.

Nie byłem poetą jak ty. Byłem kpiarzem.
Z ludzkich upadków i grzechów stawiałem teatr.
Świątoszkwie, napuszeni głupcy, łgarze
tłusto podrygiwali na miękkich fotelach,
śmiejąc się z samych siebie.

Tyś był smagłym wiatrem
bajecznej Andaluzji, igrcem i rybałem,
zdobyłeś sławę i w namiętym krzyku
minałeś.

Anim ciebie miał za przyjaciela,
lecz śmierć podobna nas złączyła, Fryderyku!

II.

Nad zdrętwiałym Madrytem stała ruda łuna,
patrole o świcie biły kolbami do bram.
Wywleczono i mnie. Cóżem miał odrzec, gdy trybunał
żądał, abym się wyparł własnego uśmiechu?
Abym ośmieszył się sam?

Odparłem: — Panowie, błaznów wykpiwałem,
a teraz mam ze siebie robić błazna?!
Nie przyjmę tych dzwoneczków!

Więc w oczy struchlałe
zajrzała mi zguba żelazna.

Pamiętasz...? — bałeś się... Ja także się bałem.
Ktoś z prowadzonych zerwał kwiatek,
wpiął go do klapy...
Uśmiechnąłem się, blady. Wstyd mi było,
że mogą dojrzeć dreszcz przerażenia. Jak to?
Więc nie potrafię zagrać tej farsy ostatniej?
Mieszczkański pisarz, bawitłumek, aktor...

Aż zwałem się do mogiły bratniej.

III.

Nikt nie wziął mego trupa na ramiona.
Nie uczyniono z niego sztandaru.
Nie zasłużyłem, widać, na żalść elegii...
Czyś inaczej, lepiej, niż ja konał,
że się nikt o moją śmierć nie zatroszczył?

Twoich morderców wytykają palcami,
moi mordercy
przyłączają się do gniewnego chóru.

A przecież i mnie tak samo kat kolbą trącał,
abym spieszniej ustawił się nad rowem,
i tak samo moja krew gorąca
przepoiła ziemię spieczoną.
Twoją śmierć rozniesiono na wszystkich wiatrach,
dla niej cześć i honorowa warta...

Mojej śmierci
nie zauważono!

IV.

Nad cmentarzami zatrute tumany,
nasze głosy dawno przeminęły, lecz nie ucichły.
Znów przyczajone zrywają się wichry,
szybują cienie wszystkich rozstrzelanych;
znów piszą pozew, wystawiają rachunek,
spierają się, czyja krew ma na szali przeważać.

Oprawca nie chce niczego wiedzieć o skazańcach,
nie zagląda im o oczy, nie dostrzega twarzy...
Nie wie, że każdy krzyk urasta w nową łunę,
a każdy trup
jest fundamentem jutrzejszego szańca.

Szatan jest mściwy
i niczego nam dwóm nie wybaczył:
mnie — szyderczego śmiechu, tobie — lirycznej melodii.
Jakże mamy wytłumaczyć żywym,
co się czuje, gdy taki zgon czoło naznaczy...?
Taki wyrok za czyny, nigdy nie popełnione?

Nasze mięśnie rozpadły się,
nasze kości zbutwiały, lecz serce
— nadal oszalałym,
niemilkącym dzwonem.

V.

Fryderyku, poeto, nie mnie równać się z tobą,
ale śmierć nas zrównała, śmierć niesprawiedliwa.
Gdy nas wieziono ku bezimiennym grobom,
wiatr obu opłakiwał w cyprysach i oliwach,
a potem kula z tyłu — i ciemność i cisza...

Kto naprawdę nasze chwile ostatnie usłyszał?
Kto po bratersku naszej męce się użalił?

Nie, krzyk mordowanych wciąż jeszcze nie zamilkł,
jednakowo ginęli
tchórze i ci, co swej prawdy nie chcieli się zaprzec.

Fryderyku, obyśmy znowu się nie stali
przypadkowymi aktorami
w tym krwawym hiszpańskim teatrze!

Wykrzywiają się maski, uszminkowane twarze,
niegdysiejsze trupy w coraz większej są cenie,
młodzieńców udają upiory stare...

Fryderyku,
nie pozwalaj, by zbrodniarze
powiewali twym imieniem
jak sztandarem!

W górach Gredos, koło wsi Hoyos de Espino,
most, przerzucony nad rzeką Tormes.
Jeszcze nie rzeka,
raczej strumień, co ledwie z granitu wychynął,
a skały nad nim szare i niepozorne.

Czemuż się ubrdało budowniczym,
by właśnie tu wslawić się takim mostem?!
Ta dolina na giełdach świata się nie liczy —
tam drogi zawsze krzywe, a tu proste.

El puente romano — opowiada stary pasterz:
rzymski most — stoi od dwudziestu wieków.
Płyną obłoki kłębiaste,
człowiek kuł
i niczego na swą korzyść nie przekuł.

W górskich lasach wilcy, nad nim kozice skalne,
nad skałami przechodzą deszcze nawalne,
jeszcze wyżej — tylko orłowie.
Jak do mostu rzymskiego tę dolinę dopasować?
Jakie czyny potrzebne, jakie celne słowa?
Jeśli wiesz, to odważ się i powiedz!

Dwadzieścia wieków, most się nie zachwiał — ani, ani!
Przychodzą mistrzowie murarscy, kiwają głowami:
— Toż to rzymska, nie znana zaprawa!
Gdy nie wiecie, czy na lewo, czy na prawo,
może byście taką samą zaprawą
zechcieli społecznie się stawiać?

Kimże jest, co tej dolinie urąga?
Przecież każdy tutejszy parobczak tłustego pstrąga
gołymi rękami łapie na płyciźnie.
Próbowałem i ja w tych połowach zwyciężyć,
ale nie, to nie był pstrąg,
lecz płynący rzeką księżyc —
nie wiedziałem, że mi z rąk się wyśliźnie.

Trwaj, rzymski moście, nad rzeką Tormes!
Łącz brzegi, nazbyt niepokorne!
Niech przechodzą przez ciebie, jak od wieków
wozy, wypełnione jesiennej doliny żniwem,
ciężkie muły i osiołki cierpliwe,
wszystko to, czym się żywisz, człowieku!

Tam byłem, w rzece kąpałem się, wino piłem,

rzymski most wielokrotnie pozdrowiłem,
jakbym własnego pozdrawiał pradziada.
To tak pięknie na obcej stronie
czuć, że wiatr się wciska w twoje dłonie
i do uścisku je składa.

Jeszcze naszej walce nie koniec,
póki chodzić nam po rzymskich śladach.

Pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Jeszcze nie noc i księżyc włosów nie osrebrzył,
jeszcze dzień i słońce mnie ozłaca,
jeszcze lato
i szrony na ziemię nie spadły.

Więc pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Biały jest kolor żałoby.
Białe są prześcieradła, w które owijają umarłych.
Biały jest marmur
pod którym znużeni spoczniemy.

Biały jest kolor żałoby.

Gdy ci umrze kochanek,
wyjdiesz cała w bieli,
ciemną głowę okręcisz w całun biały,
białym kwieciem
cmentarną ścieżkę wymościsz...

To dlatego mi skronie posiwiały,
żem w żałobie
po umarłej młodości.

Jasna rzeka — srebrno-siny pergamin —
wiatr pokrywa ją drobnymi literami.

Sieje słońce przez gałęzi mroczne sita,
pochylają się, chcą zrozumieć, przeczytać.

Oczy zmienne, rzeka inna jest co chwila...
Ciemna gałąź — nad oczami się pochylam.

Biała piana na wodnym szafirze,
uśmiechnęły się usta młode.

Pochylają się gałęzie coraz niżej
ponad wodę, ponad ust urodę.

Nurt napisy srebrne pozacierał,
uśmiech zgubił się w poplątanych literach.

I ani gałąź ciemna, ani ja
nikt z nas swojej tęsknoty nie ziszcí.
Pozostaliśmy na wietrze
potargani, poszarpani,
uwiędłymi siejący liśćmi.

I

Jedna tancerka była z cienia.

Druga tancerka była ze światła i rytmu.

A tylko trzecia, jedna jedyna,
z gorącej krwi i ciała.

Jedna tańczyła,
druga tańczyła,
ta trzecia tańczyć nie chciała.

Zapraszał ją taki, co był z cienia.
Zapraszał taki, co był ze światła.
Zmierch wszystkie kształty pozamieniał,
drzwi przed śmiercią otworzył na ścieżaj.

Chciała zatańczyć. Nie mogła.
Noc jej zabrała tancerza.

II

Przywołajcie go z powrotem,
gitary przywołajcie go płaczem.

Powiedzcie mu: tylko raz jeden
niech go z gitarą zobaczę.

Ale dlaczego
ten wiatr
skrwawiony upada ku brzegom?

Ale dlaczego wyrósł
cyprys żałobny
nad nurtem Gwadalkwiwiru?

Dlaczego kopyta mego wierzchowca we krwi?

Czy dlatego, że tańczyć nie chciała?
Czy dlatego, że tańczyć nie mogła,
bo śmierć
drzwi otworzyła w mrok mglisty?

I wyboje są teraz, jak rany,
i na strunach,
na strunach porwanych
zakrwawiona koszula

gitarzysty.

III

Aj — ajajaj!
Ktoś sztyletem mą gitarę przewiercił...
Struny, struny jej słabną...

Przyjacielu, pod głowę mi daj
poduszkę z po włóczką jedwabną,
abym godnie oczekiwał śmierci.

Aj — ajajaj!
Rozścielże kapy czarnobiałe,
matko!
śmierć mnie czekała na ostrzu światła i cienia

Że z miłości skonałem,
opowiedz
ożałobionym sąsiadkom,
niech nadchodzą w czarnych grzebieniach.

Aj — ajajajaj! Śmierć
z miłości, śmierć bez
imienia.

I.

Błękitną prała bieliznę w
cieniu fiołkowym oliw.

Z kim pójdzie do tańca,
komu
objąć się w pasie pozwoli?

Cyganko o oczach podłużnych,
od których sinym cieniem
granatowe rzęsy się kładą...

Spojrzenia twego jałmużny
błagają
trzej jeźdźcy i torreador.

Zanim mrok na dolinę napłynął,
rzuć bieliznę,
biegnij ku nim, dziewczyno!

II.

Jeźdźcom rozkuja się konie, nie
uratuja ich w nocy srebrne
kordobańskie dzwony.

Słońce czerwono płonie,
a toreador
leży na piasku skrwawionym.

Pobiegły cienie od oliw,
kiedy cyganka smagła
błękitną bieliznę zbierała.

Szli w ciemnych płaszczach powoli,
nieśli na marach
cztery bezwładne ciała.

Cóż dźwięczniejszego ponad głos słowika,
gdy jedwabiem w ciemnej nocy się ściele!

Wówczas niebo szkatułkę hebanową odmyka,
w której dzwonią srebrnych gwiazd manele.

Dźwięczniejszy, o, jakże dźwięczniejszy,
po stokroć więcej w nim słodczy,
szmer strumienia bardziej serce cieszy
niż trel słowiczy.

Cóż dźwięczniejszego ponad głos strumienia,
szemrzącego w marmurowych alhibach!

Wtedy księżyc swe niebo na ziemię zamienia,
i w strumieniu się pluszcze — srebrna ryba.

Dźwięczniejszy, o, jakże dźwięczniejszy
niż nurt strumienia srebrno-siny,
po stokroć bardziej serce cieszy
głos ukochanej dziewczyny.

Bo i strumień czysty i słowik
wdzięczniej w głosie
mojej Fatmy się wystowi.

Czarny żagiel, zagubiony w przestworzu,
biała przystań przegląda się w morzu.

Poraniony koń w zaroślach rży,
po balkonach przechadza się wiatr,
węszą, wyją żałobne psy
i słowiki, słowiki u krat
w Puerto de Santa Maria.

Czarny żagiel, wygnany we świat,
znów
do białej przystani przybijam.

Skołatany rudel przywiodę
do nadbrzeża przyjaznych bioder,
przyłgnę burtą do smagłych ud,
na cyprysach ramiona oplotę.

W jasną głębię twych wód
pozwól,
pozwól zarzucić kotew.

I nie ranny koń w zaroślach rży,
na balkonach niech rozpacza wiatr,
niech zanoszą się słowiki u krat
i niech wyją zazdrosne psy,
że ich łaska spokoju omija.

Biała przystań i czarna łódź,
ja i ty
w Puerto de Santa Maria.

Biały sztandar w Kordobie,
czarny sztandar w Bagdadzie.

Jednakowe są słowa żałoby.

Umierającemu czegoż potrzeba prócz wiedzy
że nikt nie zetnie drzew, które zasadził;
że nikt w nocy nie naruszy między
pola, które nawodnił.
Że nikt nie podłoży pochodni
pod dom, w którym urodził się on
i synowie i synowie synów.
I że każdy z najmniejszych jego czynów
będzie ziarnem,
co się niegdyś zazieleni.

A jednak,
a jednak trzeba mu czegoś więcej...

Aby pamięć jego wzięła w czułe ręce
ta, przy której był jako pożar.
Aby przy wezglowiu jego łoża
w wieczornej nocy, co się nigdy nie rozjaśni,
wyrósł podlany jej łzami
jaśmin,
którego nie zasadził,
podlany łzami
w nieukozonej żałobie...

Czarny jest sztandar w Bagdadzie,
Biały jest sztandar w Kordobie.

Chciałbym otworzyć kindzątem moje serce
i wprowadzić cię do niego
i poczekać aż się rana zabliźni,
abyś w niej została jak w haremie.

Jak ampułka z wonnym olejkiem,
jak monstrancja,
w której niewierni chowają swego Boga,
jak szkatułka ze złotem
zagrzebana w ziemię.

Ale nie mogę...
Ale nie mogę, bo moje serce jest zbyt małe,
moje serce,
które zmieściłoby się
w twojej zaciśniętej piąstce,
piąstce, której paluszków nie chcę całować,
by nie zajęły się tym ogniem,
którym płonę.

Miłość jest srebrną chustą, którą księżyc
ociera czoła, skąpane w śmiertelnym pocie.
Aleś ty była łucznikiem, co z wysokiej wieży
nocnej tęsknocie napina cięciwę.

Miłość jest dzbanem wody, pochylonym ku wargom
wędrowca, pozbytego nadziei i mocy.
Aleś ty była wiatrem, spiekotą i skargą,
podrywającą o północy ze snu.

Miłość jest haftowaniem siodłem i strzemieniem,
do którego wygodnie przylega jeźdźca stopa.
Aleś ty niosła tylko bunt i cierpienie
i byłaś jak na okopach czarny sztandar.

Miłość jest hebanową poręczą i miękką zasłoną,
łożem, na którym o zmierzchu spoczywasz.
Aleś ty była błyskawicą czerwoną
i burzą, co na żniwa gradem opada.

Przeto odrzucam srebrną chustę,
haftowane siodło, poręcz hebanową
wylewam napój z bukłaka, by w piasek pustyni wsiąkł,
i przypadam pokorną głową
do twoich kolan i rąk.

Och! Andaluzjo Górna!
Och! Andaluzjo Dolna!

I tu i tam
krzyż nad drogą ramiona zgina.
I tam i tu
czerwona na zboczach glina.

Bylebyś na czas przywdział żałobę.

Zielone ogrójce od Grenady,
srebrne strumienie od Sewilii,
A od Kordoby,
a od Malagi nad umarłym
tylko kamienny krzyż się chyli.

Unieście wysoko ciało,
niech go ujrzy, pyszna i nieczuła...

Powiedzcie matce:
— Stało się, co się stać musiało.
Zła miłość
serce mu struła.

Mówi poeta Ben Al-Zakkak:

— „Na złotą powierzchnię rzeki
wiatr spadł swawolnym tańcem
i płatków purpurowych róż nazdmuchiwał.
To dzida, rzucona znienacka, przebiła pancerz
i ciało opływa
krwią”.

Mówi poeta Ben Safar Al-Marini:

— „Wiatr rozdarł tkaninę rzeki do głębi,
więc zagniewana wylewa,
aby dopędzić go w biegu.
Lecz, usłyszawszy, że ukryte w drzewach
szyderczo się śmieją gołębie,
zawstydzona,
wróciła do brzegów”.

Mówi poeta Ben Hafacza:

— „Jako rzęsy źrenicę, tak srebrną głębinę
otaczają gałęzie na brzegach.
Rzeka jest czarą z perlącym się winem,
w której wzrok złote słońce dostrzega”.

Ale myśmy, pochyleni nad nurtem,
nie widzieli róż, ani fal, ani słońca,
co winem chlusta —
nie widzieliśmy. Nie widzieliśmy nic więcej,
jeno złączone nasze usta
i mocno splecione ręce.

Byliśmy przyjaciółmi, och, zimne żelazo, a teraz
mnie gnębisz?

Poiłem cię krwią wrogów tyle razy,
a teraz krew mą pijesz?

Pijesz mą krew i zjadasz ciało,
a za mało ci jeszcze?

Uchwyciłeś kostki nóg w swoje kleszcze
i dobierasz się do goleni.

Czyżbym się tak przez te lata odmienił,
że mnie nie poznajesz?

Nosiłem cię w kształcie miecza moim krajem
i błyszczałoś
na wojowników mych dzidach.

A teraz dręczysz króla Mutamida,
jak gdybym był twoim wrogiem.

Ogrody moje spalił żywy ogień,
żyzne pola okryła siarka.

Szablę, stępioną na niewolnych karkach,
na kajdany przekuto.

Promień, wpadając zza krat, jest jak dłuto,
które rzeźbi troskę na mej twarzy.

Prochy ojców barbarzyńca znieważył,
ściął cyprysy cmentarne.

Synowie moi kręcą ciężkim żarnem,
chodząc w młynach niewoli.

Kobietom mym zwycięzca życ pozwolił,
do uczt pijackich mu służą.

Przyleć, wichrze, wiej, czarna burzo!
Zwal na głowę więzienne mury!

Gdzie mój koń, mój sokół lekkopióry?
Niechaj miecz do serca przytulę!

Allach, Allach, pozwól umrzeć,
lecz umrzeć królem!

Dla giaurów — modlitwa posępna i czarna
po klasztorach i dusznych kasztelach.

Nam Granada wśród cyprysów jak sarna,
nam Sewilla —
nadrzeczna gazela.

Kiedy księżyc wypłynie zza gór
i ogrody słowikami roztkliwi,
srebrna struną wywinie się nurt,
srebrną pieśnią zadźwięczy Gwadalkwiwir;
ciężki napój w rzezanym pucharze
myśl leniwą najśłodziej pogmatwa —
żadnych snów, żadnych trosk,
żadnych zdarzeń...

Jeno wino, słowiki i Fatma.

Dla niewiernych spalona wyżyna,
twarda zbroja i siodło bojowe.
Nam, drzemiącym w kwitnących jaśminach,
zmierch ramiona podkłada pod głowę;
jeszcze ćma uderzy o skroń,
iż blask źrenic ukochanej ją zwabił,
i zadzwoni na gitarze dłoń
tęskną pieśnią ojczystej Arabii.

Błyszczący w niebie jedwabny pas:
Azraela świetlista droga,
zapalają się ogniki gwiazd,
lazurowe, srebrne, szkarłatne...

Nie ma w świecie Boga nad Boga,
jako nie ma
dziewczyny nad Fatmę.

Dzień był chmurny jak przystało na porę żałoby.
Port jak cmentarz, okręty jak groby.

Trzepotały żagle — prześcieradła śmiertelne.
I nie było nikogo, kto by
smutku nie czuł pod siódmym żebrem...

Pożegnania — strzały niecelne,
łzy żałości — cekiny srebrne.

Ale to ja odjeżdżam,
a nie wy, co zostajecie.
Ale dla mnie ta noc bezgwiezdna,
gdy się będę tułał po świecie.

Otom odszedł — w mrok rzucony dziryty.
A poza mną cmentarne kiry...

Ale drzew, które uniosłem pod powiekami,
ale wód, które dźwięczą w mych uszach...
Nie ma mnie, a zostałem z wami,
a przede mną pustka i głusza.

Ziemio rodzinna
ziemio ojczysta!...
... Otom wyrwana z gleby roślina,
rozdeptana na drodze glista.

Andaluzjo!
Andaluzjo jedyna!

Chcę umrzeć.
Zabierzcie mnie stąd.
Odnieście i przykryjcie ziemią ukochaną,
jedynym, jakiego pragnę, kirem.
Tam chcę spać w cieniu oliw
nad Gwadianą
lub nad srebrnym
Gwadalkwi wirem.

Przed samych zmierzchem zapachniały słodziej
kwiaty, ku rosom wieczornym się spiesząc. Ale nie
było w całym ogrodzie
fiołków... fiołki... gdzież są?
Szukaliśmy długo pomiędzy kwiatami.

W niebie było błękitnie i modro,
ale tu od białych płatków jaśniej.
I trafiłem dłońmi na twe biodra
i wiedziałem już —
to srebrny jaśmin.

Lecz że oczy gołębi wszystko dostrzegą,
zaraz pytać — ptakowie ciekawi! Więc
odparłem:
— To spadł z mirtu sąsiedniego
ciemny liść
i na biodrach jej zawisł...

Dalej szukać! Wnet dotknąłem ręką
pąków dwóch, pąków ciemno-czerwonych...
To wśród róż, rozkwitłych jak jutrzienka, zabłąkały
się dwa anemony.

Gdzież fiołki są? Znowu-żem się biedził,
aż spytałem narcyzów...
— Narcyzy nie skłamią!
Lecz nie miałem żadnej odpowiedzi,
bo to były narcyzy śpiących ramion.

I milczały zębów margarytki,
przesłonięte warg goździkami.
Srebrną lilią księżyc w ogród wkroczył,
lecz i on, zapytany, zamilkł
i ze wstydu ugrzązł w mimozach
twych rozplecionych warkoczy.

A fiołków wciąż nigdzie nie było.
Szukając wśród kwiatów i liści,
hałasu narobiliśmy,
potargaliśmy krzaki róż i jaśmin,
aż zbudziłaś się i ruchem lekkim
zaspane przetarła powieki
i otwarła oczy...

— Toż fiołki właśnie!

Noc na mrozie księżycowym wychłódła,
zachrypł słowik od daremnych wzdychań.

Gajem oliw ciężarnych do źródła
szła zmorzona snami Cyganicha.

Oj, Cyganko, Cyganko,
która niesiesz swą nagość
ku srebrnym porankom!

Zdejmowała pięć jedwabnych spódnic,
rozpinając gorset z złotogłowiu.

I nie wiedział wiatr, śpiący u studni,
czy to panna, czy księżyc na nowiu.

Oj, dziewczyno, dziewczyno,
nie wiedział, czy to księżyc
schylił się nad głębiną.

Chylił się zakochany,
obiecywał wiele: —
pończoszki haftowane,
złote manele.

Roześmiała się Cyganka smagła,
zanurzała się w mroźnej wodzie do pasa.

„Nie potrzebne mi złote brzękadła,
ni na jedwab haftowany-m łasa!

Nie zdobędziesz mnie nazwiskiem,
ani cesarskim tronem.
Mój ojciec w ziemi egipskiej
był faraonem.

Moja matka tańczyła
przed angielskim konsulem.
Chciał przysięgać jej miłość,
namawiał czule.

Więc nic z tego, próżna fatyga,
sukość księżyc jest, a nie Cygan!”

Powracała, na zakłęcia głucha,
biegła gajem oliwnym do domu.
Wiatr podpatrzył wszystko i podsłuchał,

ale nie chciał powtórzyć nikomu.

Na powierzchni źródła coraz ciszej
samobójca-księżyc się kołysze.

Nogi do kolan — strzelisty gotyk,
uda przechodzą w renesans,
aby wyżej barokiem bioder zakwitnąć.
Wiatr, gdy się o nie otrze,
omdlewa od gorącej pieszczoty,
każdy jej gest wystarczy, aby ogień skrzesać,
każde spojrzenie — wyzwanie ku miłosnym bitwom.

A jeszcze wyżej wezbrane ciężkim sokiem grona,
nad nimi niebo, zamknięte w życzliwych ramionach,
gromy nad krajem i burza na morzach i lądach,
że taka wśród nich grzesznica.
Kto na nią spogląda,
w zachwycie musi skonać
i zmartwychwstaje
i znowu po śmierć kolejną się zachwyca.

A u niej na z lekka rozchylonych ustach,
stary Gulistan wciąż ogniem chlusta,
coraz więcej róż i słowików —
tańczą uszczęśliwione Muzy
i nad źródłem muzyczniejacej Aretuzy
wawrzyny mdleją w miłosnym krzyku.

I gdy niebo stoi w archanielskich chórach,
że urodziła się taka architektura,
nie z kamienia, ani z drzewa —
z jędrnych mięśni —
że na waszych oczach taki cud się zdarzył
od starogreckich afrodyjskich ołtarzy,
zachwycajcie się, ludzie cieleśni!

A teraz, śmiertelniku, odpowiedz:
— Jak główny architekt się zowie,
który projektuje takie monumenty...?
Był pijany, czy nie nazbyt trzeźwy,
gdy te kształty w natchnieniu wyrzeźbił...?
— Jeśli nie sam Bóg,
to któryś z Jego świętych!

Od skał skruszałych wołał dzwon ochrypty
i złoto dnia topniało w jego nutach.
Pątniczą laską wbity w ziemię cyprys
zwiastował przyjście nocy. Ale tutaj,
gdzie znojna rzeka w biodrach się przegina,
gdzie się bielizna obłoków na trzcinach
suszy, jak płatki róż na czułych rzęsach,
nie było trwogi. Potok srebrnopienny
huczał i biegły brodate Syleny
chwytać różowe kochanki Rubensa.

Tu białe ramię spiż dzwonu odsunie
i ciepły oddech twym wargom nie skłamię.
Trzeba mu wiarę dać. We włosów rudej łunie,
w gorących trawach, zdeptanych przez łanie,
zgłuchniesz na głos alarmu i czuła niepamięć
przesłoni oczy. Ostry zapach mięty,
szorstkość koniczyn, spocona pożoga
i wyżeł śpi przy rozrzuconych nogach
czeszącej włosy Heleny Fourment.

Gorące iskry kłują nam powieki,
czerwone koła, cichy brzęk zausznic.
Zielone dzbany przynoszą znad rzeki.
Leją do kubków. Bądźmy im posłuszni!
Wyżeł się zbudzi i pyskiem potrąci
kobietę, która włosy na karku upina.
Wtedy wstaniemy, zmierzch na horyzoncie,
zgasł brzęk zausznic. Nadchodzi godzina.

Mrok ołowiany zawisa na rzęsach,
każdy krzew nietoperzem burym się otorbił.
Biegną różowe kochanki Rubensa
i suchy żużel rozsiewają z orbit.
Rozwiązują się ścięгна, piersi w oczach butwieją.
Syleny uciekają przed wzburzoną knieją,
potok płomieniem smolistym się otruł,
łaka wybucha siarką
i krwią zlepiony warkocz
spadł na piersi... A ta — już kościotrup!

Nietoperze skrzydłami biją nas po głowie,
krtań zakrtusiła się zimnym ołowiem,
pokrzywy ognia tną po gołych nogach.
Termity roją się w spękanych ustach,
spiż rozpalony porywa i huśta.

I nie ma nas, ni ziemi. Jest tylko pożoga.

Rzednący popiół przesiewa powietrze,
na miał kruszy się ołów, rzeka ognia gaśnie.
Nim ręka świtu martwe oczy przetrze
i przez kikuty drzew łakę przejaśni,
flamandzki malarz oknem noc odpycha.
Nowe płótno rozpina na sztalugach...

Znów srebrnopienna zaszumiała struga,
pies łapą skrobie we drzwi, koń za furtką prycha,
liśćmi okrywa się brzozowy pręt,
znów dają się Sylenom porywać dziewczęta
i w dzbany ciurka ciężka czerwień wina.

Idzie do męża Helena Fourment
odgarnia popiół z powiek i — w biodrach przegięta
powolne piersi z stanika odpina.

II

Popiół przepalił ciało. Giętki kościec
struchlał w bezwładzie. Żadna noc nie pierzchnie
z wygniłych oczu. O, moje miłości!
Noce wezbrane od omdleń i westchnień!
Mech jadowity piszczcele oplata,
lepkie kołtun pajęczyn chciwe usta zatkał;
już się łukiem pod grotem cięciwy nie napnę,
nie zachwycą się mną suknie złote i szkarłatne,
perłę gorących szyja nie nasnuje...

Przywalone, przeżarte gliną i wapnem,
róże moje, narcyzy i leluje.

Żyłam, cała w przechyleniu bioder,
w geście dłoni, w czułym biciu tętnic.
On mnie kochał, jak się czerpie srebrną wodę,
jak się zrywa kwiaty rozwinięte.
Lub tratował mnie — lepka łakę — tętentem,
żeby zioła podnosiły się jeszcze bujniej.
I uległa mu byłam i powolna,
srebrne źródło, zgrzana łaka, róża polna,
powiązana z nim w jedyność i spójnię.

Winogrody ordzawił listopad
i świecącym fosforem moje oczy.
Z źródła czarna wytoczyła się ropa,
wąż się uląkł przy pieszczonych stopach,
zgniłe serce trupim jadem broczy.

W jamie brzucha, co był miłowaniem twoim,
śliskie robactwo się roi,
piersi z róży dojrzałej i srebra
zapadły się, wklęśły między żebra..
Nie dotykaj mnie, bo rozpadnę się łachmanem,
nie myśli o mnie, nie ruszaj,
nie patrz, nie patrz!
Ciemny cmentarz pod niebem ołowianym,
leci z wiatrem chmur podartych krepa.
Zamknij oczy na umarłych nędzę!

Nowy dzień na grobach się kładzie,
idzie człowiek przez pola Flamandii,
niesie w dłoniach paletę i pędzel.
I pod pędzla dotknięciem czułym
zawijają się ścięgna i mięśnie,
jabłka kolan wzbierają prężnym sokiem;
krąży krew pod skóry jędrną korą,
a jabłonie i winna latorośl
zaglądają do otwartych okien.

Wypełniły się żebra, brzuch na biodrach wsparł się,
krąglej piersi, pachną mlekiem i potem;
różowe udo spływa po atłasie,
cieszą się na mą nagość suknie szkarłatne i złote,
służebnica grzebień we włosach zanurza...

Otom jest:
— srebrne źródło, zgrzana łąka, polna róża,
czekająca, byś stratował mnie tętentem.

Płyną górą obłoki wniebowzięte,
oczekują parobcy za przełazem,
biegną panny przyjąć pierwszą zmacę,
dojrzewają ludzkie silne dzieła.
Chmiel się burzy w dębowej kadzi
i na niebie nutami wygwieżdżonej Flamandii
Mleczna Droga,
co z jej piersi się poczęła.

I. NATASZA ROSTOWA

Nie wiadomo, czyś w ogóle istniała,
czy też powstałaś w literackiej wyobraźni...
Zanim w filmie zjawiłaś się — różano-biała —
już widziałem cię coraz to wyraźniej,
jakbyś z kartek zeszła cudem
w rzeczywistość zmieniając ułudę...

I już w czułej pamięci zostałaś, nikt
i nic ciebie z niej nie wydrze!

Monotonnie spada piasek w klepsydrze,
wiatr rozrzuca się w dzikich śnieżyc nucie...
Moskwiczanka, śliczna hrabianka,
rówieśniczka francuskiej rewolucji;
cóż mogła wtedy wiedzieć? — że któregoś poranka,
powracając z kolejnego balu,
zrezygnuje z tańców i z uciech?

Kto czytał opowieść, pamięta:
jak się ubierała na codzień, jak od święta,
jak wyglądała, gdy się w niej kniaź Bołkonskij zadużył...
Ja ją widzę dokładnie: sukienka mocno wcięta,
obciśnięta na biodrach i w kibici...
Pewnie poczuła dech wczesnej, wiosennej burzy,
gdy ją w tańcu w ramiona uchwycił.

A już wojna. Mars pokazał bezlitosne lice,
wzeszło Korsykaninowi słońce pod Austerlitzem,
dwa czarne orły pokonał orzeł złoty...
Nataszo, jakże żalosne są taneczne zaloty.
Teraz sercu zawiedzionemu będzie lepiej i ciszej,
spokój zejdzie ku kędziorom trefionym.
Kiedyś to wszystko sprawne pióro opisze:
krwawe bitwy, rozbawione salony,
zgliszcza domów po moskiewskim pożarze...

Cóż zostało z minionych marzeń,
gdyś pielęgnowała konającego księcia?
Łuna wojenna w oczach przerażonego dziewczęcia,
kikuty rannych, uchodzących z pola bitwy...
A tu świeca gromniczna i modlitwy,
odszedł na zawsze zdradzony narzeczony...

Ale jeszcze twój dzień nie skończony;
gdy ucichną pożegnalne dzwony,

spotkasz człowieka i zatrzaśniesz
pamięć minionych wydarzeń na głucho.
To on ci był przeznaczony, on właśnie —
śmieszny i dobrotliwy Pierre Bezuchow.

Na tym epicka opowieść się urywa,
byłaś zadowolona i szczęśliwa,
ale ja wiem — już wkrótce na Senackim Placu,
w ogniu armat nadzieje się zatracą,
wnet wyrosnie pięć czarnych szubiennic —
i gdy tamtych pięciu publicznie tracą,
los twój także nagle się odmieni.

Tak, jak inne, stworzone do miłości i tańca,
pójdiesz śladem dzwoniącego kajdanami skazańca —
to już nie białe noce petersburskie,
nie gwiaździsta noc ukraińska,
to mroki ledwie rozjaśnione mdłą latarnią,
czy w dniu, czy w nocy jednakowo czarno
pod stropami kopalń Nerczyńska...

Niechże i ja po tylu latach przyłożę się swym słowem
ku męczeńskim stopom
Nataszy Rostowej.

II. NATALIA GONCZAROWA

Rok za rokiem powoli upływał,
zanim wichrem ją porwał za sobą;
czy mogła się domyślać — taka młoda, taka urodziwa
że jej mąż jest pierwszą w Rosji osobą?

Nie dlatego, że miał mundur i szpadę —
o to nie dbają uskrzydłone słowa.
Zamieszany w dworaków gromadę
nie mógł pysznej Natalie zaimponować.

Bo miała na ślicznych oczach bielmo,
bo nie wiedziała, że to on unosi ją w nieśmiertelne
a nie dusery przybłądy d'Antesa...
Lecz on ciągle się łudził, że to nie dworski taniec,
a ważniejsze jest dla niej a c z e j a c z a r o w a n j e,
choć już go burza na śnieżnych unosiła biesach.

Wystarczy, by ktoś ją poznał ze starych rycin,
by się tą urodą zachwycić,
oznajmijącą ramion i bioder szczodrość

i uda, podpływające radośnie ku biodrom,
by znaleźć czułe ujście w kibici.

W źrenicach było światliście i modro,
a on widział w nich nie śmierć, lecz życie.

Poeci, jakże często się mylicie!

Natalio, to nie żadne oskarżenie!
Gdybyś go pokochała, byłabyś jego cieniem,
każdy jego wiersz przyjmowałabyś z zachwytem.
Miałabyś z jego słów utkane szaty złotolite,
byłabyś niczem Erato i Kaliope...
I uznanoby twą drobną stopę
za miarę i średniówkę rosyjskich jambów...

Ale i tak jesteś godna dytyrambu
za to, żeś go według jego własnych słów
oczarowała i o g a n c z a r o w a ł a...
I byłabyś dla niego, jak srebrny, księżycowy nów,
święcący od wieczora do rana.

Więc pochylałam się znów
i rzucam kwiaty strof na twoje martwe kolana.

Wiem, żeś swoje przedwczesne wdowieństwo
gorzko przeżyła —
że wyrzuty sumienia, odczuwane jakże często,
skorpionami załęgły ci się w żyłach
i gdy już było za późno,
własnej urodzie bluźniąc,
poznałaś, czym pośmiertna miłość.

Tobie, przeżarta pleśnią, przywalona śniegiem,
zamiast pozdrowić czułą pieśnią,
składałam tę nieudolną elegię.

III. NATALIA GAŁCZYŃSKA

Głos z ciemnego, weneckiego szkła,
krew — wino kachetyńskie, pieniające się w żyłach,
w oczach górskiego barsa przyczajone blaski,
a gdy szła,
z rąk przechodniów niemal zrywały się oklaski,
bo każdym swoim ruchem dowodziła,
że zna sekret urody kaukaskiej.

A ów sekret jest taki:

gdy kobieta legnie, wsparta na biodrze,
kot ma przebiec bez trudu pod kibicią —
na ten widok radośniej nuć rajskie ptaki,
słońce przyświeca jeszcze szczodrzej,
złotem sypiąc ku Natalii licom...

Że kobieta była, chyba stało się niedobrze,
lepiej lwicą,
lub hyrkańską tygrysią.

A pamiętasz,
jak przed wojną bywało w Aninie?
Topole srebrnolistne, gwiazdy złotowłose,
wiatr od Wisły — wiekuista udręka —
a on zapowiadał, że nawet, gdy w śmierci przeminie,
powróci:

„I przez tę lubelską szosę
znów cię poniesie na rękach!”
Więc i ten wiersz, wypowiedziany zachwyconym głosem
niech przed tobą również przyklęka!
Wszystko, co Konstanty Ildefons ukochał,
chciał ocalić od zapomnienia.

Mroczna nasza epoka — zła macocha,
wszystko niszczy, wszystko odmienia.

Niebo stoi w gwiazdzistych szlochach,
jakże śpiewać, jeśli usta mam z krzemienia?!

Natalio, już znikłaś w nocy wiekuistej cieniach!

Od zapomnienia ja także chce ocalić
twoje srebrne biodra — morskiego przypływu fale,
piersi — dwa śniade księżycy w pełni...
Oczy pod kruczych włosów burza,
brwi — napięte łuki, co grotem błyskawic służą,
nim uśmiech tęczę niebo uzupełni.

Iżby ten wiersz nadaremnie nie zamarł,
powiem, żeś powinna nazywać się Thamar,
a urodę twą nowy Szota Rustaweli miał uwiecznić,
tobie należałby się nowoczesny „Wepchis Tkaosani”,
nie powinnaś była oddawać się taniej,
zaświadczam —
tych spraw bezstronny rzecznik.

Natalio,
jakże piękniejsza od Maryli i Ludwiki,

wdzięczniejsza od pani Kalergis,
Muzo, nie dość za życia wyśpiewana,
niech twój doczesny pobyt na polskiej ziemi będzie pochwalon
ciebie głoszę tym żałobnym krzykiem,
gdy dobrnęłaś do ostatniej oberży —
tobie ten wiersz...!

Natalio!

Napisałem go, stojąc na kolanach.

Na wzgórzach płonął splątany żarnowiec
i sosen pnie w mosiężną urastały łunę.
Nad nieruchomym stadem owiec
obłoki biegły, także białorune,
lecz już po brzegach złoto-fiołkowe;
letni zmierzch ukołysał współsenną dąbrowę,
kolejno gasząc świece dymiących się brzóz;
i była cisza w nadtucholskich borach,
gdy niebo,
ponad ziemią walące się w gruz,
tonęło w fali leśnego jeziora.

Leżałem w trawie, w zmierzchu coraz wyższej,
słuchając szumu krwi i świerszczy grania.
Czułem, jak się jezioro opodał kołysze,
jak każde drzewo z rozkoszy się słania,
i usłyszałem kobiece stąpania
i szmer wyraźny potrącanych szyszek,
więc przez uroczne, czarodziejskie jodły
zacząłem patrzeć w mroczniejący las.

Pod drżącym blaskiem pierwszych gwiazd
szła dziewczyna —
jej twarzy już dziś nie pamiętam,
przepadła mi w przeżytych lat i zdarzeń cieniu,
ale w najmniejszym ruchu i skinieniu
była jako melodia, zaledwie powzięta
w muzycznej myśli; szła, jak gdyby błędząc
jakby te sosny z rudego mosiądzu,
trawy, jezioro i pochodnie brzóz
były wieczornym tylko przywidzeniem,
a ona cieniem,
co za chwilę pierzchnie.

Oboje ramion uniósłszy ku włosom,
zeszła nad stawu zieloną powierzchnię i
spróbowała wody stopą bosą
i roześmiała się i bardzo wolno jęła
zdejmować suknię i bieliznę.

Księżyc się wolno wytoczył nad knieję,
na staw zacichły wpłynął siwą płetwą,
i gwiazda, zwana Venus, błękitniejąc,
krążyła w mroku czerwcowym świetlikiem.

Ciemny bór się odezwał pierwszym nocnym krzykiem
stygły drzewa po trudach zbyt słonecznych znojów,

a cienie, jak zwierzęta,
dnem srebrnej doliny
czujną gromadą szły do wodopoju.

Księżyc rósł wyżej i w oczach się zwiększał,
straszny w swej męce, bezsilny niemowa.
Naga panna wciąż stała bez ruchu:
jej głowa
wydawała się teraz prostsza i piękniejsza,
z ciemnego brązu wyrzeźbiony brzuch
wykwitał z nóg strzelistych, blask księżyca głuchł,
przesłonięty jej cieniem...
Jak bym oczy przetarł
ku prawdzie w objawieniu jej nagiego ciała —
i była mi ta panna, z ziemi wybujiała,
jak nowo narodzona, puszczańska Demeter.

O, dziewczko-niewolnico! Noc gwiazdami trzęsie,
głucha cisza zapadła w nadtucholskich borach,
a ty mi dotąd stoisz nad brzegiem jeziora,
jak najstraszliwsze i złowrogie szczęście,
i twe smukłe, ku włosom uniesione ręce,
i twe biodra, w tym zmierzchu jak ziemia bezwładna
mnie,
którym jest
twym więźniem, kochankiem i synem,
nim z gwiazdami na oczach
na wznak się przekręcę
i upadnę
i w tej nocy przeminę.

Podpływają ramiona muskularnych łąk,
upał runął
na skały i w krew je rozdeptał.
Srebrzystym ziarnem sypie rzeki strąk i
las zieloną łuną.

To ugrzęzły w szeptach
wargi jak w miodzie. To słońce maligną
spaliło oczy. Abym głowę dźwignął
od łąk, od skał, od warg i mógł nie patrzeć
i nie smakować miodu ani chleba
i nie zanurzać dłoni w rzece?
Znojna gleba
wsysa żyły i kości, każdym zgrzanym kłaczem
wrasta w krew.

Wiatr jak pies łaskawy
szorstkim jęzorem w usta liznął,
otoczył mnie i porwał prawieczną ojczyzną,
i włosów z kudłów trawy nie wypłaczę.
Nadeszły drzewa z tamtej strony wód
i sinym szumem dolinę kołyszają.
Na ich spotkanie inny z gór się wiódł
szum...

Dawna cisza już nie była ciszą!
Nad ziemią zbiegły się złowróżbne brwi,
zaczęła szorstka trawa gryźć do krwi;
a tylko skały nadal rosły w łunę,
aż czarny popiół spadł na skronie złote,
więc gniewnym wodom odkrzyknęły grzmotem,
niechaj się bronią, niech szamocą!

I opasana rzeką jak piorunem trwała
dolina pod wezbraną nocą.
A drzewa były teraz jak widziadła,
i znojných piersi gorące kowadła
pod młotem deszczu syczały i stygły.
Ktoś, owinięty w strzępy szaro-bure,
za włosy porwał nas i wbijał w skórę
aż do srebrności rozżarzone igły.

I znowu podpłynęły muskularnych łąk
ramiona. Znowu upał skały w krew rozkruszał,
Znów na kamieniach pluskał
rzeki srebrny pstrąg,
cały w chrzęszczących łuskach.

Nieobeszła głusza
kipiała znojem, potem, zielonym kłębowiskiem,
gnojem, mrowiem
podanym ku rozgrzanym kłaczom.

I trawy były łagodne i śliskie,
ciepłe listowie
w naszych włosach płacząc.

Na skałach miedzią dźwięczą echa kopyt,
wiatr ściera dłonią beczenie baranów.
Zejdźmy na płaski brzeg. Miedziane stopy,
nagie jak rzeka, w żywej rtęci zanurz!
Zanim się świerszcze przed nocą roztkliwią,
podeprzyj biodrem zgrzebno-siny żywioł;
a wychodząc, gdy pierś twa drobnym deszczem broczy
strzepnij liść, który przylgnął
jasno-rdzawą kroplą,
i zanim ziemię zwilgła
ramieniem otoczysz,
węzeł warkoczy moim wargom rozplącz.

I

Stara, w kronikach zapisana legenda anglosaska:
— Naraziła się mężowi niewinna żona...
Szalonego okrutnika nikt nie ugłaskał —
ma pokazać się ludziom na koniu
Godiwa obnażona.

Tylko jedna przyznana łaska:
złote włosy ma prawo rozpuścić
na piersi i ramiona.

To się stała w Coventry, a Coventry już nie ma —
inny szaleńcy zniszczyli kamienie,
po których koń Godiwy stąpał.

Cóż pozostało? Jeszcze jeden spóźniony poemat,
gdy w legendę uwierzył odmieniec,
a wiara w legendy nigdy nie jest skąpa.

Po tysiącu i więcej lat,
jak wtedy, równie chętnie i chciwie,
spoglądałem nad stawem rad
ku innej chłopskiej Godiwie.

Że ożyła legenda, rychło-m zgadł,
a ożyła, by życie było sprawiedliwiej.

II

Jak gdybym mnichem średniowiecznym był,
opiszę, co się wtedy naprawdę zdarzyło.
Zasłuchany w lat minionych martwą ciszę,
wskrzeszam tamtą urodę i miłość.

Znów się niebo nade mną zakołysze — wiatr i
słońce ku młodym żyłom.

Poeto, możesz zmyślać, ale nie łżyj!
Za to flachę zacnej starki ci postawię.
To się stało w pobliżu podlubelskich Bełżyc,
przy sitowiem zarośniętym stawie.

Minął wiek, wszystkie cuda przewyciężył,
ale echa ich nadal błogosławię.

Znalazłem się w tym zagajniku mimochodem,

nie, żeby, Boże broń, ja podpatrywać.
Złota opalenizna piersi i bioder
i do pasa rudych włosów grzywa.

Zsiadłe mleko zaprawione sytnym miodem —
chłopska lady Godiwa.

III

Wiatr na wodzie srebrne palce odciskał,
niebo było prześwietlone i bławe,
bukłak słońca żywym żarem broczył.

Widać, konia prowadziła z pastwiska
i zatrzymała się nad samotnym stawem,
ani wiedząc że ją śledzą czyjeś oczy —

jakbym ujrzał mitologiczną zjawę,
co z przedwiecznych wyszła uroczysk.

Gdy rozbierała się, wiatr zawiewał ciszej
i słodziej,
lustro nieba na kawałki się stłukło,
wykrwawione zamarło południe...

Zgięcie biodra, kiedy w udo przechodzi,
spływ ramienia i piersi wypukłość,
uwolnione od stanika i spódnic.

Przyczałem się wśród drzew, jak złodziej,
jak konający z pragnienia
u życiodajnej studni.

Czy to był kaprys że podeszła do konia?
Lewą ręką uchwyciła za kantar
— teraz wiatr omdlał i zamilkł —
poderwała się — zsiadłe mleko, miód i jantar —
uderzyła po bokach piętami.

Oczu moich bluźniercza odwago!
Sosny chciały, choć nie mogły przyklęknąć...
Więc to kara pokazać się nago?
Za co kara? Za piękność?

Okrzyżowała powoli staw,
parskającego konia wparła w wodę
— już do łydek, do kolan, do bioder —
legenda, która ze snu wyszła na jaw,

mitologiczne Coventry w lubelskich Bełżycach...

Od koszmarów nocnych nas zbaw,
legendami we snach zachwycaj!

IV

Na jawie wszystko ciemniej, a w legendzie jaśniej,
więc nieważne, co i gdzie się zdarzyło.
Mędracy kłamią, prawdę mówią baśnie,
w nich odżywa piękno i miłość.

Przyjdź Godiwo, wieko snu zatrzaśnij,
wiatr i słońce pchnij ku moim żyłom.

Któryś wykrztusił ten poemat,
nie wypieraj się go, nigdy nie łżyj!
Coventry nie było i nie ma, nie ma
i nie było tamtych Bełżyc.

Ale ty trwasz, zapatrzona w swą urodę,
w dalszym ciągu pławisz konia w stawie.
Zsiadłe mleko, zaprawione sytnym miodem,
sprzed lat tylu mnie ku sobie przyzywasz...

Pani Wenus na pół legła, na pół usiadła,
by malarzowi zwanemu Velazquezem
pozować naprzeciw zwierciadła.

Amorka pulchne rączęta
podtrzymywały lustro,
w którym ledwie odbiło się ramię
i niewiele więcej.

Pani Wenus była uśmiechnięta,
wiedziała, że wszyscy pragnęli,
żeby się odwróciła
i pokazała jaką jest:
piersi z różu i bieli
i dłoni wstydlivej
osłaniający gest.

Nie chciała.

Ale plecy jej pozostały
i tak trwają od stuleci,
od ramion przechodzą ku biodrom,
biodra ku udom
zapóźnionym kochankom naprzeciw,
pod tym światłem co złociście i modro...
Ktoś kto chce w cudzy uwierzyć
rzekłby że cud, że cudo!

A ja wiem, a ja znam
inne plecy które również swą urodę
przedłużają ku wypukłym stropom bioder,
a z nich uda wyrastają smukłe.
Przypatrzyłem się i tą samą dłonią,
której biodra przed dotknięciem się bronią
lustro pani Wenus potłukłem.
W ciężką ramę plecy wmalowane
a tu żywe, ciepłe
i w urodzie takie same.

Oto ciało od barków aż do ud,
wszystko świadczy życiu,
że jest piękne.

W zachwyceniu przed obrazem uklękne,
abym bliżej wzrokiem się wiódł
ku oddanym w zupełność tajemnicom...

Oto z łodyg dwóch wyrasta ciemna róża,
słońce w złotym cieple się zanurza,
nim go dłonie smagłej nocy pochwycą.

Plecy, nie uciekajcie ode mnie,
które spływacie ku biodrom i udom
naj rytmiczniej i naj uczenniej —

Przy was jasno, a gdy będzie ciemniej,
znów świetlistą objawicie się złudą:
w zachwyceniu ginie cierpienie.

Zatrzymałem się przed lustrem, jak przed dziwem,
cuda w płótno i farby zakrzepłe.

Ale plecy twe są równie urodziwe,
a ponadto żywe i ciepłe.

Pani Wenus, pozostań przed lustrem,
nie odwracaj się ku nam —
i tak już wiemy wszystko.

Twe ramiona i uda są puste, a ja chcę
się zająć od pioruna,
wejść w spełnienia złociste ognisko.

I od śmiertelnych pleców
bije łuna
i nieśmiertelny Olimp
znów jest blisko.

Nie pasaż swych stad na górach Galaadu,
nie biegałaś pod namioty Kedaru.
Nie widziano twoich drobnych śladów
Wśród winnic znojnego Engaddi.
Nie witali cię pasterze śniadzi,
kiedyś szła przez Heseboński parów,
Aleś była jako szafran i cynamon
i jak trzcina w rytmie biodr i ramion,
I cieszyła się wołyńska cisza wiejska,
ku słowiańskim unosząc cię pannom,
czarnowłosa przyjaciółko hebrajska,
och, Szulammit, Szulammit,
och Zuzanno!

A przechodziłaś światem, od miłości chora,
snopek mirry pod piersiami niosąc.

I miłości zjednywałaś, smagła mandragora —
brzuch twój z nardu, a uda twe — mosiądz.

Jako sarnie bliźnięta, pasące się pod miastem,
spoglądało młodych piersi dwoje;

wargi twe w pocałunkach — ciężki miodu plaster,
miód i mleko pod językiem twoim.

I palmą izraelską wyrostaś swobodnie,
w owocowe rozdwoiłaś się grona,

I jak palma się gięłaś, gdy krzepki ogrodnik
na pniu smukłym zaplatał ramiona.

A łono twoje było jak wezbrany księżyc,
podcieniony wonnymi fiołkami.

Lecz nie masz cię w Libanie i wróg cię zwyciężył,
och, Szulammit, Szulammit, och, Szulammit!

Płaczcie córki jerozolimskie,
rwijcie szaty nad Sulamitą.
Urąganiem i pośmiewiskiem
jej urodę martwą okryto.
Wyszedł z czeluści piekielnych wojownik zelżywy,
stratował róże Saronu, wyciął oliwy,
nurt Hebronu zmącił krwią,

dym pożaru wzniecił nad miastem,
rzucił ciało panny zabitej, szydząc i drwiąc,
między druty,
między druty kolczaste.

Zaszedł za chmurę księżyc fiołkowego łona,
wyschło źródło miodu i mleka.

Ziemia ogniem przepala bezwładne ramiona,
proch i pleśń na przymkniętych powiekach.

Usta oślepty, ogłuchł wzrok, a to jest
jakby wieża się zwała Dawidowa.

Krew na wargach — nie mirra, popiół — nie aloes,
gniją w piachu najpieściwsze słowa.

I gruzem zasypano sadzawki w Hesebonie,
ukamienowano lilię padolną.

Przebito ostrą włócznią twe usta i dłonie
i obudzić cię młodzieńcom już nie wolno.

Płaczcie córki jerozolimskie,
rzućcie wiatrom krzyk żałobnych ramion.
W ciężkiej glinie, pod czarnym urwiskiem
mirra, szafran, nard i cynamon.
W dzień pogański, w złe, przeklęte rano
rozrzucono bróg zboża, winnicę zdeptano,
porąbano siekierami
cedr, heban i sandał.

Lecz uroda zamordowanej
z przerażonej ziemi wystrzela:
to w wołyńskich dzikich trojandach
ciemna krew,
ciemna krew Izraela.

Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatrzaski,
więc to samo dziać się musiało w Lublinie.
Podobno młodzi wciąż całują się w Ogrodzie Saskim
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakami do Zemborzyc,
w tamtych lasach było dosyć mchów i czernic.
Po to właśnie wyrok bóstw nas wszystkich stworzył,
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,
bo każda noc była znojna i gwiezdna...
I co? — Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?

Bez nas?!

Uśmiecha się. Tak grymas ust przechodzi w uśmiech,
nieśmiały, czy śmiałością nasycony nazbyt?
Spojrzenie źrenic — nie myśl, że przyjaznych;
jak mroczna w nocy gałąź, co zaledwie muśnię
przechodnia, ale tylko samej sobie kwitnie.
Dłonie spoczęły po miłosnej bitwie,
oczy zawsze jakby nie widzące,
że komuś czynią niezwykłą łaskę.

I wszystko w niej, jak konające słońce,
co zaszło,
ale jeszcze chce sycić swym blaskiem.

Więc nikt nie dowie się, czy pan małżonek
potrząsnął kieską, bo pragnął utrwalić
ten uśmiech, czy też jejmości znudzonej
zachcianka przyszła na słynnego mistrza...

Ci wszyscy, co się do niej zalecali,
którym jej ręk leniwy gest
oczy roziskrzał
i żwawiej pędził krew do tętnic,
już nieuchwytni są i obojętni —
nic jej po hołdach przebrzmiałych i zmysłach.

Pajaczek biega nad klepsydrą skrzętnie,
w grobach robactwo się pleni i żmije,
gdy ona już się przebiegle domyśla,
że ich przetrzyma
i w śmierci przeżyje.

Rudą łuną pożaru groźny wichur wyrósł,
ludzi i sprawy w krwawy nurt zagarnął.
Drżą kampanile i galijski Cyrus
zziajane konie wparł w zmaczone Arno;
żałobny spíž na egzekucję dzwoni,
na szafot wstąpił straszny mnich Hieronim,
rzymski wikary grzeszną wyklina Firenze.
Ale w niej serce nie zabije tkliwiej
i uśmiecha się pobłaźliwie,
na krzyż składając nieobecne ręce.

Nie dla niej straszne znaki w nawistych obłokach, nie
lęka się złowróźbnych gwiazd, na szczęście łasych.
Adamaszki adziamskie, wyszywany brokat,
aksaminty pieściwe, gładkie altembasy,

bisiory i purpury, szkarłatne jedwabie...

Czy wiatr zawiewa potężniej, czy słabiej,
czy korsarz grozi nawom wenecjańskim,
czy wsie i winnice płoną,
nie zabraknie białym ramionom
złotych monist i pereł uriańskich.

Pewna siebie.

- Niełaska grozi golfonierom
Stolicy Świętej — sztylet, jad w ciętym pucharze.
Jej mąż nie zna ambicji takich, szczerłość
wołąc kupiecką.
Nim zachód się zażegł
krwawą purpurą, mierzy i oblicza.
Tak lepiej. Milszy jest jej spokojniejszy zwyczaj,
więc uśmiecha się, własną jasnością obdarza.

Nie, nie obdarza — pożycza.

Sąd Ostateczny ktoś w trosce obwieszczał,
ziemia pociła się krwią, jej dyszące trzewia
przebijał oścień ognia. Piękna mieszcza
układa fałdy sukni.

W gorących powiewach
jęto się kruszyć niebo, dumnym Babilonom
podcinano kolana i pożogą czerwoną
oznajmiały się ludy nadchodzącym dziejom.

Poznawszy śmiertelny wyrok,
pękały struny lirom
i szły zwierzęta dzikie mroczną knieją.

Siedzącej nikt nie ruszy. Na struchlałych łądach
ognista różga. Z sykiem stygnie popiół.
Wszystko widzi przez wieki, a obok spogląda.
Przyjdzie burza i miasta na żar się roztopią, zagrzmia trąby szatańskie na ostatni
atak,
skruszą się góry i spiętrzą na gruzach świata,
jak w pompeańskim teatrze;
Arkę Noego połknie nienasycony Lewiatan —
ona będzie siedzieć i patrzeć.

Dawno zmarło się diukom, papieskim bastardom,
lecz słychać lekki krok na bruku —
jakże hardo
i po czterystu latach odzywa się echem...

A ona: Co? Ten stary? Ach, tak, Leonardo!
Unieśmiertelniłam go
swoim uśmiechem.

Cudzoziemko, dziewczyno dziewiętnastoletnia,
o głosie, brzmiącym dźwięczniej, niż pasterska fletnia,
z biodr okrągłych podobna do rzeźby etruskiej
i dwojgiem mocnych piersi poprzez jedwab bluzki
oznajmająca oczom kobiecą dojrzałość!
Czyja ręka przechyli w miłość smukłe ciało?
Kto cię, na razie tylko przeczuciem ciężarną,
weźmie tak, jak się w ziemię rzuca młode ziarno,
i życiu pozostawi, bezradną i tkliwą?

Dzisiaj cię, zakochaną w ziemi i szczęśliwą,
każdy smutek omija, w młodości i śpiewie
kwitnąca bez ratunku, żadnej troski nie wiesz;
śpieszysz się, stromą piersią powietrze roztrącasz,
światu jakże przychylna i tryumfująca,
sama smukłość od wstążki z włosów aż do pończoch;
płyniesz i wszystkie drogi w twych krokach się kończą,
aż przystaniesz, z zachwyty zbudzona nareszcie:
— Oтом jest, urodziwa, więc pójdźcie i bierzcie!

Jak ptak, co siadł na chwilę na kwietnej łodydze,
tak ten wiersz jest przy tobie. Spoglądam i widzę,
jak cię dnie, coraz inne, w mroczny świat powiodą,
jak na nędznych uciechach przepali się młodość
i wzrok zgaśnie, co serca bijące odurzał;
pod rękami złośliwca, przestępcy i tchórza
zwiędną piersi, owoce szczęścia i rozkoszy;
melodia twego głosu na zawsze się spłoszy,
strach przed życiem uderzy, któregoś nie znała...
W pracy, w nocach bezsennych, w smutku postarzała,
obejrzyś się, za tobą popiół i ruiny.

Jeszcze się w mrok odwrócisz, tam twój skarb jedyny,
dziecko kwili w kołysce od piskląt bezradnie.
Losy zawsze te same serce twe odgadnie:
nietwórczy trud, brzydotę, zbrodnie nazbyt małe —,
wiec na wychudłe ręce skronie osiwiące
pochylisz, z łez oślepla i już nie czująca.

Tak cię widzę, gdy kwiaty wiosenne potrącasz
młodą piersią i w życie nieznane się śmiejesz.
W trwodze i trudzie grzęzną nasze ludzkie dzieje,
śmierć oczekuje w mroku, klęska i daremność.
A ty idziesz przez pustkę ziejącą i ciemną,
jasny ptak, co skrzydłami o słońce się otarł,
matka szczęścia i bólu, śmierci i żywota,
naczynie żądz cielesnych, jak zatrute wino,

śmiertelniczko, na mękę skazana dziewczyno?

Która, szmery krwi własnej w zawstydzeniu śledząc
jeszcze uciekasz przed straszliwą wiedzą
życia i sploty ciemno-fioletowe
włosów, pachnących oliwą i nardem,
zwijas, męczeńską wokół okręcając głowę,
jakbyś własną urodę w nicość i pogardę
chciała podać i jesteś jako chmielny płyn,
co się za chwile dostanie pijakom,
jakież są twoje nakazy i zakon,
panno bez skazy cielesnej i win?

Gołębie błędą w kamiennych zaułkach,
rezeda kwitnie i dotąd nic więcej.
Co ci szepnęła mała przyjaciółka,
żeś zawstydziła się i obie ręce
na piersiach zacisnęła, a potem do rana
sny ci się śniły, więc snem zadumana
chodzisz w łunie i ptaków przyjaznych nie wołasz
jakby ci już na biedne panieńskie kolana
upadł mroczny cień archanioła.

Panno śmiertelna! W swej męce odwieczna!
Gdzie jest rodzina twoja i ojczyzna?
Do jakich nocnych podszeptów się przyznasz,
gdy już znamiona doczesnego miecza
nad tobą wstają, kiedy każdy gest twój
jest jako sygnał lęku i protestu
przeciwko zgubie, nim ścichnie i straci
w uległym smutku siły swoje młode...

Otoś skazana. I starcy bogaci
już się pytali o twoją urodę.

Suchą martwicą rozsypie się zachwyt,
co dziś przepala tve panieńskie dzieje.
Krzew twego ciała na wicherze zgoreje
i płomień, wędrując od serca do pachwin,
uschnie w nieszczęściu jak drzewo na spiecu.
Spoglądam z bliska w tve sprawy kobiece,
jak gdybym własnej matki groźne życie
czytał, litery smakując jak piołun.

O, zwiastowana, o, która w zachwycie
urodzisz grudkę prochu i popiołu!

Nie trwóż się. Syn twój w pustyni zamieszka
i będzie głowę pod gromami chował.

Nogi pobije na kamiennych ścieżkach,
na twardych sercach pokaleczy słowa
i, jak ja dziś, gdy z krzyża swego się wychyli,
jeszcze w śmierci pytając:

— Dlaczego-śmy żyli? —
krwawe mu stopy włosami obetrzesz
i, umęczona od zwycięskich pogan,
staniesz przed twarzą okrutnego Boga,
jak czarny płomień, co skrzepnął na wietrze.

Lecz dziś niech żadna surowa nauka
nie wtrąca twego ciała w klasztorne ubóstwo.
W noc wybiegnij bez trwogi i kochanka ustom
pozwól swe biodra i piersi oszukać.
Nie broń się, gdy ci drżące kolana rozsunie
i jak dziecko przyjmuje najpierwszą komunię,
tak go przyjmij w ufne wnętrzności.
Otoś w dniu tych zaślubin
bliższa śmierci cielesnej i zgubie,
więc — Hosanna na wysokości!

Pozdrowiona bądź panno i niewinne ręce,
gdy je na szyi kochanka oplatasz.
Twe usta wędną w oczach, twe ciało dziewczęce
przetrawia spieka straszliwego świata;
lecz nie umrzesz, останiesz się, panno zwycięska,
odrodzona po stokroć, gdy na twoich klęskach
dawno popiół jałowy wyrośnie,
a pod wstającą zorzą
inne oczy ku męce otworzą,
jak ty dziś, w twoje czułe przedwiośnie.

Łbem szalonym w ściany domu wali wiatr,
światła okien w czarną przeszłość zmiata.
Jakże samym, zapomnianym pośród świata,
wyjść, wywikłać się z zetlałych życia szmat?

Jakże rozgrzać sztywny, trupi mróz
krwi zropiałej, siły, co wychódła,
i nachylić się w tę noc nad żarem źródła
srebrnych bioder i wilgotnych ust?

Nie podsycaj sobą ognia, który zgaśł.
Chciwie szczęścia w pustych oczach nie wypatruj.
We mnie nie ma nic, prócz świstu wiatru
i popiołem sypiących się gwiazd.

Ja cię mogę tylko porwać wpół,
unieść w mrok, ku nocnym biesom i strachom.
Zaplątany w gorzkiej wiedzy znachor,
uczyć smaku skrytych trucizn i ziół.

I, gdy wchłoniesz już zły czar, ciemny czad
w ufne serce, co kochało serce martwe,
wyjść przed próg i twego prochu garstkę
hojną dłonią rozrzucić na wiatr.

I

Niechże ta czuła pieśń podobna stanie się łodzi,
którą ruch twoich bioder, jak fala,
w muzyczny rytm ukołysała.
Która lekką stopą przez czar i zachwyt przechodzisz
i na jawie w sen się oddalasza,
bądź pozdrowiona, Marisa!

Oto istnienia jest kształt doskonały i sens,
niechże się przezeń
jak przez okno w wieczność wychylę.
Jedwabny motyl spojrzenia zlatuje z rzęs,
i kierunkowi już wierzę
i muszę iść za motylem.

Choćby twe drobne dłonie odrzuciły
pogardliwie i srodze
i pieśń ofiarowywaną podarły w strzępy okrutnie,
dopóki w żyłach krwi, dopóki w piersiach siły,
będę kładł na stóp twoich drodze
moje życie i serce i lutnię.

Ustrześliś mnie, wiedząc o tym,
łuczniczko, jakże celna,
że będzie jak lew oswojony szło za tobą muzyczne granie,
więc przez zachwyt, przez czar, przez tęsknotę
już wprowadzam cię w nieśmiertelność
i choćbyś zepchnęła mnie z drogi,
jesteś ze mną i tak już zostaniesz.
I póki w nieznanej ci mowie
młodzi będą miłość swą wystawiać,
póki gwarzyć będzie czuła pieśń
w polskich topolach i cisach,
nie umrzesz, ale w wiecznej odnowie
tam się znajdziesz, gdzie poety sława
poprowadzi cię,
czarnowłosa Marisa!

II

Jako melodia, z rytmicznych wykwiła fałd,
co ciężkim, dźwiękliwym srebrem wypełnia płuca;
jako wiosenne drzewo, gdy się kwiatami obrzuca,
zanim obrodzi owocem
i zastygnie w swój własny kształt;
złota na słońcu, śniadym metalem świecąca w cieniu,
ciężka na jawie, muzyczniejąca w wspomnieniu;

o torsie jak jabłoń, wyrosła z dzbana biodr,
o ustach, co usta wędrowca
jak wezbrana studnia przyzywa,
jesteś jak czarna morwa i jak dojrzała oliwa,
w której pniu i gałęziach
przelewa się mleko i miód.

Podnosisz oczy, i niebo staje w migocie gwiazd,
opuszczasz rzęsy, i ziemia zapada w półcień.
Na białym czole brwi, rozpostarte skrzydła jaskółcze
zwiastują burzę włosów, mrocznych jak las;
i nieruchoma stoisz, a rytm tańca stopy twe zwodzi,
i milczysz, a jesteś cała
we władzy dalekiej melodii;
jej skinieniu poddajesz każdy uśmiech, każdy gest;
spokój nóg twych jest wstępem do tańca,
twe milczenie jest siostrą śpiewu
i odpływasz, niesiona przez nurt muzycznego zalewu
ty, która byłaś i będziesz,
ty, któraś jest.

III

Niechże grają skrzypce, oboje i klarnety,
niech trafiają w ton zachwyty nieodmienny.
Pobłogosław mi, awinioński poeto,
i ty,
smagły tułacz z Rawenny.

Rozradujcie się, starsze siostry,
Beatrycze, Laura, Fiammetta, Ludwika i Maryla!
Przybyła wam siostrzyczka najwdzięczniejsza!
Sad poezji przed nią drzwi na oścież rozchyła,
każdy krok jej jego grzędy upiększa,
kiedy stąpa po różach i irysach
Maria Luisa
Maria Luisa
Marisa.

Na obcej ziemi boje się umierać.

Bez lęku spotkam śmierć ojczystą,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i łubin...
Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki
zanosiły się co noc miłosnym krzykiem;
żebym wiedział, w ciepłą wtulony borowinę,
żem jest dla niej nie przybłędą, nie gościem,
lecz synem;
żeby mnie obcy kamień nie ziębił,
żebym każdym ścięgnem pilnie czuł,
że jak czarna próchnica, jak korzenie,
wrastam w ziemię,
aż do serca, aż do głębi,
w dno odwieczne,
w pradziadowski muł.

Żeby mnie głosy dochodziły z bliska
od wrosłego w płowy pagór majdanu.
Żeby małe dziecko litery nazwiska
zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej;
żeby na nadbystrzyckich rozlewiskach
kumkały żaby do białego rana;
żeby opary, wznoszące się z rozgrzanej gleby,
snuły się nad murawą mogilną
i żeby
dwoje młodych, wzięwszy się pod ręce,
rozmawiało najczulej wśród grobowych płyt,
żeby na chwilę,
na jedną nie więcej,
znów usłyszał polskiej mowy rytm.

Żeby mnie deszcz przepoił i wicher wydeptał,
żebym się stracił, zagubił w letniej nocy szeptach,
oszołomił listowia zwiędłym aromatem;
żeby, gdy się korzenie w mym sercu rozrosną,
młody krzew ponad głową zaszumiał
i ludziom opowiedział z nadchodzącą wiosną
wszystko to,
czegom ja już nie umiał.

A na obcej ziemi boję się umierać...

A wyroku, który zapadł, nie przebłagać,
a ciężkiego kiru nocy nie potargać.

Gdy zawiodło męstwo i rozwaga,
kiedy śpiew na czarnych usechł wargach,
mroczne Smętki, wilkołacy opadli,
zakręcili w korowodzie diablím,
nożem serce naznaczyli na krzyż.

Teraz siedzisz przy ognisku zagasłym i patrzysz,
przesypujesz popiół w dłoni, przesiewasz,
zastanawiasz się, czemu nie jest inaczej.
I nad głową szumią ci drzewa
pogrzebowych głosami płaczek.

Bo za dużo pijanej rebelii,
bo za dużo urodziwych pokus.
Próżno ręce pomocne znad obłoków
wyciągali przyjaźnie anieli;
kiedy martwa glina czepiała się obuwia,
nie umiałeś ich dosięgnąć w podskoku.

Tylko łeb do góry zadzieraszaś...

A już huczy, już kończy, zanim pacierz zmówisz,
ciosająca cztery deski siekiera.

Nie wybijesz tępym słowem złego klina,
tylko ci się przypomina,
przypomina.
I przysięgi niedotrzymane,
i zaklęcia, które na nic się nie zdały
i rozpacz na samym skraju klęski.
A sędziowie już badają każdą ranę
i spychają mnie z Piotrowej Skały,
zanim zepchną ze Skały Tarpejskiej.

Groźne brwi z błyskawicami się płaczą,
niebo stoi w złowróżbnej łunie
i chmurzą się święci zagniewani,
zatrząskują na siedem grzechów
swą parafię.

I nie przejdę zakazanych granic,
nie dołączę,
nie umiem,
nie potrafię.

To jest pieśń, to pieśń niedoskonała
na pochwałę ziemi i ciała.

Przed Tym, który nas gnębi,
upokorzmy się.
Z Tym, który nas spycha do nocnej głębi,
ułożmy się.
Modlitwą nakryjmy się,
jak trumiennym okrętem!
Rozpaczą uprzykrzmy się
wszystkim Świętym!
Hymnem, jak sztyletem, przebijmy się!
Pieśnią, jak kulą, zastrzelmy się!
W nas samych, prawdziwych,
wcielmy się!

Chodziłem uporczywie pod górę,
ale wejść na szczyt nie umiałem.
Chciałem być opoka i murem,
a w proch się rozsypałem.
Teraz oślepyłymi palcami bezradnie grzebię,
chcę pozbierać, posklejać sam siebie,
alem się poroztracał, pogubił ze szczętem,
każde ścięgno moje w popłochu umyka
i pierzcha ze skowytem,
jako szczenię kopnięte,
żałobnego serca muzyka.

Nie ma mnie.

Jestem w wietrze, co na liściach gra
i do ust przechyla winne jagody;
w litościwym spojrzeniu psa,
lizącego mi zropiałe wrzody.
W czarnej roli, która zbiega do piersi przytula,
we wspomnieniu nocnych słowików,
w pocie, którym przesiąkła koszula,
i w własnym krzyku.

Nie ma mnie nigdzie więcej.

Uwiedziony zarówno brzydotą, jak pięknem,
jakimż hymnem pychę ust
mych oniemie?

Ale nie uklęknę,
nie mogę przed Tobą uklęknąć,

bom już wróś
po kolana w ziemię.

Górami spiętrzyłeś się, rzekami przebiłeś się,
w nocy chodzisz, sine gwiazdy krzeszesz.

Tyś jest prom na wiosennej powodzi,
tyś jest chleba glon,
dzielony między rzesze.

Gdy piorunem ciskasz, nie chybisz,
i odwalasz chmur tłuste skiby
błyskawicy lemieszem.

II

Morzami rozlałeś się, burzami rozgniewałeś się,
kiedy lęk nas opada, milczysz.

W uroczyskach puchaczem się śmiejesz,
nocnym płaczem nawiedzasz knieje
krzykiem ptaka, skowytem wilczym.

Sny chybcą się w kamiennych brzegach,
który z nich wyżej wybiega,
już na księżyc porwany.

Tonę w snach — nieprzytomny pływak —
bucha krew, bandaże rozrywa,
z śmiertelnej rany.

I zaledwie się zerwiemy z ciężkiej drzemy
spojrzeć w dzień obiecany,
już kładziemy się, już gnijemy,
martwą gliną przeżarte łachmany.

Aniołowie zwijają skrzydła,
słońce topi się w obłokach kadzidła,
grzmią spiżowe tympany.

III

Jeśli zechcesz, złam mnie i pognij
złotym ogniem Twojej Teologii,
jak blachę w kuźni.

Póki trwam w moich grzechach i skazach,
póki jestem z rdzawego żelaza —
bym się nie spóźnił.

Nie spełniłem, com obiecywał,
nazbyt żywa krew huczała w żyłach,
nazbyt wiele pod językiem krzemienia.

Tyle było urody i pokus,
tyle wdzięcznych widm na każdym kroku,
żem swój dług na drobne powymieniał.

Twoje oblicze mi objawia się,
Twoje mroczne proroctwo stawalo się.
Nie nadążyłem,
nie potrafiłem...

Naszeptywałeś mi: trzeba wzbić się
nad zgniłą nędzę, nad robaczywe życie...
Nie było skrzydeł.

IV

Aniołowie Twoi nad ziemią przelatują,
czarni kowale nowe zbroje kują,
zbroje gniewu, zbroje nienawiści.

Z czymże wyjdę przeciw czarnym kowalom,
którzy grożą spżem i stalą,
jeśli z grzechów mnie nie oczyścisz?

I modlimy się i nie wierzymy:
„Odpuść nasze winy, jako i my...”,
a nie chcemy odpuścić.

I walimy się pokotem na progu
tam, gdzie czeka nas i naszych wrogów
mroczny Książę piekielnej czeluści.

V

Panie Jezu, któryś za nas cierpiał rany,
daj do rąk
Twój miecz obiecywany!

I

Powtarzajmy słowa psalmisty.

„Czemu knujecie próżne zamysły?
Czemu zmawiacie się przeciw Bogu i Jego Mesjaszowi?
Potkniecie się na waszych wierzganiach i dąsach!
Zanim Jahwe swym gniewem wam odpowie,
śmieje się z was i natrzęsa.
Powiada Pan do Syna: — Gdyby Szatan im rozum zadymił
i zagnieżdżył się w każdej robaczywej duszy,
laską żelazną rządzić będziesz nimi
i jak naczynie gliniane je skruszysz!

Klęczymy u domostw naszych progu,
wołamy w rozpaczliwym krzyku:
— Panie, uderz w szczękę naszych wrogów,
powyłamuj zęby grzeszników!
Przypal nasze ciała aż do wątpi,
pojmaj nas w wiekuiste jeństwo —
ocalenie w Twej mocy, więc niech na lud Twój zstąpi
wszechmocne błogosławieństwo!”

II

„Boga Rodzica, Dziewica. Bogiem sławiona Maryja!
Twego Syna, Gospodzina. Maci zwolena Maryja!
Zyszczy nam, spuści nam! Kirie Elejson!”

Księżyc srebrne ćwieki gwiazd w niebiosą wbija i
drzewa srebrzyście się trzęsą — zlatują gwiazdy ulewą
ku pomnikom i rzekom i drzewom,
ku Panny Najświętszej powiekom i rzęsom.

Która na Jasnej Górze i w Ostrej świecisz Bramie,
podtrzymaj polskiego Papieża krzepkie ramię,
gdy na rękę Księcia Ciemności wyzywa!
Od dalekich nadwiślańskich stron.
Zygmuntowski odzywa się dzwon,
by nastała nam doba sprawiedliwa!

Boga Rodzica, Dziewica,
która od wieków polski lud miłością nasycasz
i świecisz mu — Stella Matutina —
zwróć swe źrenice łaskawe

ku temu, co cię kornie woła: Ave! —
Orędowniczką mu bądź u Twego Syna!

III

Tyle lat miał blisko siebie głowę Węża
jadowitego i codziennie musiał zwyciężać
jego pokusy zatrute...

Oto nadszedł w odwiecznym Znak
od nieustannie odnawianych katakumb,
aby podjąć pierwszych chrześcijan nutę.

Mów tym, którzy sprawili iześ opuścił swój Kraków,
niech odprawia zbiorową pokutę!

Bo nie wszyscy mówili światu
prawdę, uwikłani w sieci doczesnych dyplomatów,
nie zauważyli, że paktują z Antychrystem;
nie upominali się o braci prześladowanych
i siadały przy ich stołach pogańskie Hetmany
podstępnie podważając sprawy wiekuiste.

Czas wypędzić przekupniów ze świątyni
tak jako Chrystus czynił,
jenże przyszedł na świat
wojować krzyżowym mieczem...
Tyś umiał w obliczu wroga Maryję Świętą sławić,
więc panuj, bądź sobą i nie zawieź,
Wikariuszu, Bogumiły Człowiecze!

IV

Matki Boskie: Jasnogórska i z Ostrej Bramy,
módlcie się za niego!

Archaniołowie — w czuwaniu nieustannym —
niechaj go strzegą!

Niechaj Święty biskup Stanisław
wręczy mu swój niezłomny pastorał!

Znów złączyła się z Tybrem nieprzekupna Wisła
iż na wojnę z niewiernymi już pora!

V

Nadszedł od nieznanego światu, podgórskich Wadowic
Rybołówca —

będzie siecią Piotrową ludy łowić.

Pochylał się niegdyś, młody,
nad pismami Świętego Jana od Krzyża —
tak teologia ku Mistyce się zbliża.

Oto gwiaździsty pościg
na skrzydłach archanielskich wyrusza —
jakiż szczęście z tych błogich spotkań!

„Och, płomieniu miłości,
którego żar mą duszę
najczulej rani do samego środka!”

I rozwidnia się wieczór uroczny,
rozjaśniają się zmysłów wertepy,
już z nimi dusza w zachwyceniu zgodna:

„Zawdy zmysł bywał mroczny,
niezbadany i ślepy,
a teraz światłość bije zeń pogodna”.

To o kapłańskiej wczesnej wiośnie,
pierwszy raz w boju z szatanem kopię krusząc,
natchnione słowa Jana zapisuje:

„Jak czule i miłośnie
w mym łonie się poruszasz,
dokąd jedynie w sekrecie zstępujesz —
i tchem Swym, w którym rośnie
ku chwale moja dusza,
jakoż łagodnie mnie rozmiłowujesz!”

VI

Dmijcie w trąby i puzony,
w słodkie flety i dźwięczne szałamaje,
uderzajcie w spiżowe talerze!

Rozszalały się rozradowane dzwony
nad udręczonym krajem,
utwierdziły się w nienaruszonej wierze.

W biedzie, w mroku, nikczemnie przez świat zdradzonym
dzisiaj serca otworzyły się szerzej.

Od Krakowa, od Wadowic
kobza i śpiew lipkowych skrzypiec
rzewną nutą na rzymskie wieżycy się nawija...

Nadlatują od wichrów zachwyceni orłowie,
pył gwiaździsty na dachy się sypie...
Nasza mowa, nasza, nie niczyjaś!
Przeto Wieczne Miasto modli się w polskiej mowie:
„Boga Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!”

„Oj, maluśki, maluśki,
kieby rękawicka...”

W żłobie, miękkim sianem wyścielonym, uśnij,
gdy juhasi śpiewają
i aniołowie grają,
gdy każda siklawica spada w rytmie smyczka.

Na obrazie, na szkłe malowanym,
pochylają się nad Tobą
polskich dzieci rozmodlone liczka.

Narodzonego gdy chwałą
ludzie różnego stanu,
Wisła łagodną falą
łączy się z nurtem Jordanu —
każda gwiazda przystaje, by się Dzieciątkiem zachwycać.
Tak samo w Betlejem,
jak w podgórskich Wadowicach
Bóg się rodzi, moc truchleje
i — by odnowiły się nam szczęśliwe dzieje —
już na dotknięcie dłoni Piotrowa Stolica.

Z gwiazdozbiorami w zmowie
odbiegają swych stad pastuszkowie,
zorza wstaje nad Wiecznym Miastem;
ptactwo, myśląc że już świt, budzi się w gniazdach
i w tej zorzy świetlistym brzasku
upada na kolana główny Pasterz,
a po polsku, po góralsku —
Najstarszy Gazda.

Będzie chadzał, jak dawniej, na urwiste turnie,
by mu tam było i chmurniej i górniej,
wędrowiec, a nie kłusowniczy strzelec —
i będzie zstępować, jak z ognistego Synaju,
ku jeszcze uśpionym krajom,
popędzając pastorałem posłuszne kierdele.

I powinien pamiętać, że choć nad żłobkiem cisza
i tej nocy Betlejem coraz bardziej się wywyższa,
i radują się żywioły wszystkie —
światłość się rozlewa po górach i wodach
lecz, urągając jego lasce, na granicy egipskiej
wciąż czyhają siepacze Heroda.

W Wadowicach, jak w Betlejemie,

gwiazdozbiory spadają na ziemię,
byśmy byli uczciwsi i weselsi
i zrastali się codziennie z nadzieją —

*Więc Gloria in Excelsis,
Gloria in Excelsis
Deo!*

I. ŚWIĘTY ANDRZEJ U SCYTÓW

Więc znów powierzasz się spienionym grzbietom
ciepłych egejskich fal, biała pławaczko!
Chryzmą pierwszeństwa naznaczony, Protokletos
wydeptał swym sandałem Kolchidę i Argos,
Epir i Trację... Wiatr płonącym wargom
porywał słowa i rosły na wiatrach.

A on już słyszał jak powolny hebel
wygładza belki, jak się sznur wyplata,
na którym go powloką...
Aż w achajskim Patras
wysoko wstanie pod milczącym niebem
ów dziwny krzyż na skos
Crux decussata.
Jeszcze nie jutro, jeszcze ma czas.

To południowe wiatry wieją,
łódź zakręca jak powolna tanecznica,
Mleczna Droga prowadzi ku Hiperborejdom,
słony oddech płuca nasycza,
morze wzbiera falą dziewiątą.
Chór daleki po imieniu woła,
ptak nad głową pierwszy znak mu przyniósł.
I podkłada się pod sandał Apostoła
rozhuśtany Pontus
Euxinus.

Nie zdążył wylądować, a już ramionami zagarnia
nowe ziemie, co w mroku ciężko dymią.
I przesuwa w palcach jak różańca ziarna
dźwięki dotąd nieznanych mu imion.
Zanim wspinać się zacznie rzekami
ku stepom i borom,
najpierw stopę postawi w przystani —
słyszał o niej:
Portus Symbolorum.

Pantykapea mu się pokłoni,
od Kimmerionu
przy cwałuj ą stada dzikich koni,
dym ofiarnych ognisk w stepie się przyczai,
kiedy z garścią zboża w zanadrzu
wolno idzie sługa Boży, Andrzej,
nad Borysten i cichy Tanais.

Między w blachy spiżowe przyodzianym ludem,
coraz głębiej w mrok Kimmerii, do źródeł
rzek, co w puszczech i bagnach się lęgną,
gdzie nie tylko step w koczowniczych kopytach,
lecz i kłos na monetach zakwita,
szedł ku coraz dalszym widnokręgom.

Księgę zaklęć otwórz i czytaj,
chroń nas swoją potęgą.

Księżyc krwią napęczniał i wiatr dziś niedobry,
znów panoszą się Pieczyngowie i Obry,
znowu chański zatknięto buńczuk.
Zanim trąba archanielska na Sąd was wywoła,
biegnijcie do stóp Apostoła,
pod prawicę jego opiekuńczą.

W najpiękniejszej ze wszystkich legend,
ze wzruszeniem i nadzieją odczytanej,
idą święci żeglarze brzegiem
krzyż zatykać nad scytyjskim kurhanem;
zlatują skrzydła ku stepowym koni grzbietom,
odmładzają się usta poetom,
a on wraca
by obalać wystawione przez pogan
bałwany...

Protokletos!
Który pierwszy od Boga
wezwany!

II. METROPOLITA SZEPTYCKI

Wiek XIX zwolna się przesila.
W kinkietach jeszcze płonie gaz, lecz już Edison
rozżarzył w drutach elektryczność
i światło spływa ku lśniącym kirysom,
na wosk parkietów, na majestatyczną
próchnicę tronów i trupich dynastii.

Dzwonią ostrogi. Stary Schónbrunn zastygł
w habsburskiej chwale, co nie wie, że jutra
nie przetrwa. Bale, parady, w teatrów
złożonych łóżach brylanty i futra;
piękna epoka, choć trądem przeżarta,
niejednych jeszcze swym uśmiechem zwabi.
A przez salony idzie młody hrabicz —
cóż zechce wybrać? Czy szamerowany

mundur, czy może z cesarsko-królewskiej
łaski najwyższy urząd? Ciężkie
szale nim zadrzą, świat ledwie poznany
woła go, pokus przyzywa tysiącem...

Jak to jest, gdy o młode serce nagle trąca
laska proroka i wygodnie ścieląca się ścieżka
staje się Drogą Krzyżową? Gdy Słowo,
niegdyś na ugór rzucone, na zawsze zamieszka
pod językiem bolesnym...

Tak się spodobało Panu,
że hrabicz leży krzyżem w celi Bazyliańców,
a potem pod kłobukiem, łzami matki szytym,
zacznie pukać do bramy zatrzaśniętej
dziejów...
Szykuj na nowo skrzydlate okręty imiennikowi z pomocą,
Apostole, święty Andrzeju!

By powiązać rozłączone ręce,
przylatujcie duchy, gdziekolwiek jesteście!
Biały gołąb szybuje nad Florencję,
mocne spiże zanoszą się nad Brześciem.
Oto żywot swój w legendę przekuł:
— Jak odrobić przekleństwo tylu wieków,
jak naprzeciw walkom bratobójczym
wyjść i uzdrawiać, i uczyć
i Anioła obudzić w człowieku?!

Niebo od Wschodu gore,
krwawe gwiazdy układają się w wieniec.
Zbrodniarz skrada się polem,
kłusownik — borem,
wicher chmury skłębione żenię.

On wciąż bije w bramy dziejów z uporem;
opętany nienasyceniec!

Próżno w ziemię zatknięty twój posoch.
Nie rozkwitnie laską Aarona!
Znow twój lud ku cierniowym losom,
znowu krew apostołska na ramionach
pohańbionego krzyża.
Już się horda pogańska przybliży
i żywota pod jej mieczem dokonasz.

Pierzchają trwożne owce, gdy odchodzi pasterz,
kościół spalony i lud zniewolony.
Nadaremnie nad twoim miastem,

już przykrytym skrzydłem żałoby,
na alarm wzywają dzwony...

Kto po tobie weźmie ten kłobuk,
jak uniknąć mu
męczeńskiej korony?!

III. HALICKIEMU WŁADYCE

Te pieśni już wtopione w anielską orkiestrę,
te wzgórza, które niebu ścielą się pod stopy...
Gdzież to było? Nad świętym Jordanem, nad Dniestrem,
w śnie, za naszą pamięcią, za najdalszym światem?
Dawno, zanim synowie gwałconej Europy
jęli się czołgać do złożonych strzemion.
Zanim konie tatarskie pod buńczukiem kosmatym
nie stratowały cię, ziemio!

Zapomniano o tobie,
nie masz miejsca w żadnym z rachunków,
dzwony nad Tybrem nie pędza ku alarmom.
Nie postawiono krzyża na twym grobie.
Pod pieczęcią judaszowego pocałunku
zwiędły wargi
i w źrenicach czarno.

Byłaś córką najmłodszą,
mówili, że najbardziej umiłowaną.
A wydano cię katowskim ostrzom,
herodowym wydano hetmanom.

Święty Andrzej, twój apostoł najpierwszy
znów ramiona rozłożył
krzyżującym go po raz drugi poganom.

Święty Andrzej, który był pierwszym wezwanym
który przybył zza morza,
by nawracać
mlekiem kobylic żywiących się Scytów,
tylko on rozerwie kajdany,
tylko on rozpali złoty pożar,
aby stał się zarzewiem świtu.

Uhonorowano, władko, twój kłobuk,
uhonorowano twój posoch,
wygładzono ci blizny rzymskim balsamem.
Ale twój lud — oddany grobom,
ale nasz gniew — ogniem ku włosom,

ale te usta kłamliwe,
które codziennie powtarzają — Amen, Amen
splugawione w nieczystych szeptach,
te usta,
te usta świętokradcze!

Moją ziemię, jak i twoją szatan podeptał,
więc tym bardziej twojej sprawię świadczę.

Władko pomordowanych,
władko zgnojonych w łagrach,
władko kościoła wpędzonego do katakumb,
jakaż cena na twoje kajdany,
jaką kartę dyplomata zagra
z szalbierzami spod diabelskich znaków?

Zrywa się wicher.
Wyrywa z wnętrzości ziemi stare trumny..
Pergaminów nie pieczętuję, bo żywioł.
Torturowano ich, mordowano ich...
Wstań, jeśliś wolny, jeśliś dumny,
krzyknij:
— Wasze drogi i usta się krzywią!

Władko, podnieś swój posoch,
trzaśnij klątwą po purpurach i fioletach.
Niech zasłona w świątyni się rozedrze!
Umęczeni w powietrzu się niosą,
rozstrzelani grają na swych kości fletach,
na nich stanąć odnowionej katedrze!

Ku Wschodowi
leci ten wiersz schrypniętym krzykiem,
każde słowo rozdartą raną.
Żeby wskrzesić,
wojującego Chrystusa żeby wskrzesić!
Przeciw szatanom i ich poplecznikom,
przeciw nazbyt układnym kapłanom:
— *Otcze nasz*
iże jesi na
nebesi!

I

Te wiersze dedykuję — młodszy krewniak —
moim starszym braciom i siostram.

W tych uczuciach, rodzinnych mocniej się upewniam,
gdy się zbliża ku mnie Mare Nostrum.

Które ugięło się pod białoskrzydłą pławaczką,
niosącą pasterza Pryjamczyka;
które wtórzyło kartagińskim płaczkom,
gdy dym ze stosu Dydony w sinym niebie znikął...

Syreno sycylijska, okrutna śpiewaczko,
zaczarowałaś na zawsze wędrownika!
Już wiozą do Ira Flavia
zwłoki Jakuba, syna Zebedeusza;
już pod Lepanto nas wszystkich zbawia
flota śródziemnomorska,
napięta w połowie jak kusza...

Wsparty na własnych grzechach i troskach,
tą samą drogą codziennie wyruszam.

II

Gdy przed wiekami ktoś, w skromnej komnacie
siedząc, tak wezwał:

Panny, które na wielkim Parnasie mieszkacie,
a i ippokreńską rosą włosy swe maczacie...—
po czym powoli sięgnął do pełnego dzbana,
już była konstytucja Polsce wypisana;
zatrzęsły się w zachwycie lipowe przyciesie
i wiatr po całym powiat Czarnolesie
od Helikonu i łacińskich rzek
kwitnących cząbrów aromatem ostrym...

Tej samej nocy Wisła zmieniła swój bieg
i połączyła się na wieki
z Mare Nostrum.

Zakazano jej pod karą śmierci
ogłądać się za siebie,
na miasto, które było dla niej wszystkim, miasto,
skazane na zagładę.

Za winy, przez nią nie popełnione,
za drzewo grzechu,
z którego nie uszczknęła ani listka.

Szła powoli za gromadką zbiegów,
coraz bardziej zostając w tyle;
stopy miała ciężkie,
jakby z kamiennej soli.

Myślała: — Jakże mam żyć
bez kołowrotka, na którym przędłam,
bez grządek przed oknem,
starannie okopanych motyką,
bez gołębi, które czule gruchając
siadały mi na ramionach?

Miała odejść, by ich nigdy nie ujrzeć...

Ulic, których każdy zakręt znała na pamięć,
rzeki, której nurtu
tyle razy dotykała bosą stopą,
drzew, pod które wybiegała na schadzki...

Już nigdy ich nie zobaczy.

Obejrzała się, ogarnęła wzrokiem
skazane miasto,
zamknęła w pamięci,
jak skąpiec swój skarb w ciężkiej skrzyni,
zatrzęsnęła ją powiekami
i skamieniała.

Zastygła
w najpiękniejszy pomnik miłości.

Wzięła na własność i uniosła
ulice, znane każdym dotknięciem palców,
mętny nurt rodzinnej rzeki,
gołębie, gnieźdzące się w dymnikach —
nigdy się nie dowie
o ich zgubie.

Nie dowierzajcie potępiającym wyrokom!

Zaprawdę,
ta kobieta jest godna zazdrości,
ocaliła swe miasto dla siebie,
zanim spadł na nie
wicher żelaza i siarki.

Módlcie się o śmierć równie piękną
śmierć
za cenę ostatniego spojrzenia.

Gdy w hucznej karczmie, wśród dymu i wrzasku,
wśród wina, resztek jadła na plugawych tacach,
pośród ciżby pijanej i głośnych oklasków
przybierasz postać pajaca;

gdy, nie tamując krwi, co hojnie broczy,
krzykiem zagłuszyć nocny wiatr się silisz
i grymas błazna zeszpeci cię w oczach,
ludzi, co ciągle żyją, choć nigdy nie żyli;

gdy nikt z gorzkiego czadu twoich wyznań
nie pozna, że już dawno pożar gasić pora,
i żadna rana, ni rozdarta blizna
nie spotka ręki życzliwej znachora;

gdy obrzydliwość i wstręt i pogarda
wyjawia się już tylko czkawką i bełkotem,
a czarne zjawy sięgają do gardła,
do dna drążąc gniew i zgryzotę;

gdy poznajesz, że dłoni z sieci nie wypłatać
i nie odnowić dróg nieodwracalnym dziejom,
gdy słuchasz cieni, co po mrocznych kątach
z twego wysiłku się śmieją;

wówczas, już świadom, że groźnego kresu
nie umkniesz, ni ramienia, które ciśnie,
na oczach tłumu — beztroski i wesół —
ochrypłą pieśnią noc w noc się zachłyśniesz.

A tak skazaniec nieraz zachować się zwykł,
ufny, że udawaniem zły wyrok ugłaska,
gdy śmiech zanadto głośny i pijacki krzyk
karnawałowa tylko maska.

Pieśń w ziemię ostrym pługiem się zaparła,
musi tak zostać, a nie chce zerdzewieć.
Na kościotrupach drzew zachodu szkarłat
i wąż przy każdym wylęga się drzewie.

Ślepotą gromów i błyskawic chłosta,
w pień złotej sosny kuje snycerz-dzieciół.
Skrada się gęstwą drapieżny gronostaj,
skoczy i gardło przegryzie pisklęciu.

Zwiędnie twój bunt i pycha niepokorna,
któryś chciał dłoni zaufać, jak kielni.
W popiół zapada złotolity ornat
i mgła z podziemnych wybucha kadzielnic.

Wołało dziecko, że księżyc to kołacz,
co głodne usta nakarmi, aż zmilczą.
Na skrzyżowaniu dróg wyje wilkołak
i sam do wtóru dołączysz, jak wilczur.

Aż pleśń przetrawi twe nikczemne dzieje,
iżeś postawić chciał siebie nade mną!
Płomień wystygnie i wiatr skamienieje,
słońce szernieje i zmieni się w ciemność.

Sięgniesz do źródła — a znajdziesz cykutę,
spytasz o drogę — nikt kierunku nie wie.
Głuchota każdą ci oniemi nutę
i wzrok oślepnie w siarczanej ulewie.

I syczą węże i jabłko zatrute
samo zlatuje ku Ewie.

Przemytnicy, odwieczny wasz los:
mimo wiatrów i mroźnych ros,
trzeba iść z conocnym przemytem.
Nie oderwać się od zakazanych granic,
na zawsze żeśmy na nie skazani,
późnym zmierzchem i wczesnym świtem.

Powiedziano, że trzeba, że mus,
byś ni chwili nie przystanął i niósł,
niczym garb, z którym — jakże się rozstać?
Nie, nie garb, jeśli taki ciężar
każdy trud i znużenie zwycięża
i schyloną prostuje postać.

Kto wam kazał, ludzie dźwigający,
byście szli, chcący, czy nie chcący,
a nie mogli się od noszy oderwać?
Od przekleństwa już się nie odżegnać,
we krwi tętni, tkwi w mięśniach i ścięgnach,
zagnieżdżyło się w tkankach i nerwach.

Jest na jawie, nawiedza w snach,
w rany stóp się wgryza — drobny piach —
zamieniło się w nawyk i obyczaj.
Chociaż dawno wycięto tamten las,
nęci nadal, nawet w tłoku wielkich miast,
wciąż ta sama ścieżka przemytnicza.

Niejedni chcieli ciemny spiszek knuć,
mruczeli, szeptali: — Ciężar ten rzuć!
Ileż łatwiej będzie biec na przełaj.
Ale to nie taka prosta rzecz,
aby tej ścieżce powiedzieć: — Idź precz! —
jeśli ona nas w biegu poczęła.

Zdjąć chcesz ciężar, to już lepiej głowę zdejm!
Nie skusi nas żaden wiec, ani sejm,
co zwyczaj przemytniczy odmienia.
Który zawsze byłem niepokorny wędrowiec,
że mnie zwodzić chcesz mądrze, to powiedz:
— Jak się odciąć od własnego cienia?

Któż tu obcy zakon nam wgada,
przemytnikom z dziada, pradziada;
nasze prawa są leśne, kłusownicze!
Ułożyliśmy je na jawie, śnili we śnie,
ale przyszedł nietutejszy leśnik,

— Wasze prawa — powiada — są niczym!

To był zakon i chłopski i pański,
ale zawsze z swojskich dróg, z puszczańskich
z nim mi trwać, innych łask nie zaskarbię.
Przemytniczy, odwieczny mus,
ciężką noszą ten garb w grzbiety wrósł,
więc pochwalam cię, przeklęty garbie!

Pytasz mnie, czy się bardzo boję śmierci.

O piętnaście lat jesteś starszy,
więc zapewne swoją własną trwogę
chcesz przymierzyć do mojej.
A ja cóż... ja ci na to odpowiedzieć mogę
że nie strach,
ale jeśli ta myśl czoło marszczy,
myśl o śmierci, to chyba nie lęk, lecz odraza
przed ciałem, które trupim rozplynie się jadem,
że robactwo zaroi się w strutych wnętrznościach
i w zwojach mózgu...

Myślę o tym z gniewem i ze złością —
po co, dlaczego?

Kto nas na los taki skazał,
żeby usta, związane pocałunkiem czułym,
uda wezbrane żądzą i gładkie muskuły
miały dać życie tej samej zgniliźnie...

I uciekam od wstrętu i śmierci się boję,
bo mnie odbierze doczesnej ojczyźnie,
łąkom sprężystym, przychylnym dąbrowom
i zawiąże mi usta, aż ostatnie słowo
uschnie i zleci jak liść bezpotomnie.

Gdybym był pewny, że zostanie po mnie
choćby załączek tego, czegom nie osiągnął,
to wszystko,
na co już dziś jest za późno...

Patrzę na wschód, a stamtąd dzikie kaczki ciągną,
czerwony księżyc ku cygańskim kuźniom
idzie i żrebce rzą na mokrych trawach.

Więc nie, to nie jest strach, to jest obawa
że nadaremne była nazbyt długa męka
i kiedy szale drgną w Sędziego rękach,
ten trup zaważy mniej niż uschły liść.

Tak stara szkapa, której każą iść
do rzeźni,
głucho stęka.

Słowa zeszyły z perskich miniatur
w rytmie siwych arabskich źrebiąt.

I najrzewniej zwierzała się światu,
wiatrom, co ogrody kolebia,
falom — biodrom rzuconym w taniec —
słowikom i różom Gulistanu.

Gdyby się urodziła w
Szyrazie albo Ispahanie,
nazywano by ją
Miriam Chanum.

Któż by oprócz niej tak potrafił,
chyba tylko ów przyjaciel Hafiz,
który w łunach i pieśniach zgorzał —
zaplątana bezbronną w koronkach metafor,
a pragnąca, jak jej siostra Sapho
skonać cicho na łożu morza.

Powinna umierać na listkach róż
i żeby grały najczulsze instrumenty,
ogród blisko podchodził z rezedy i mięty,
żeby arabskie źrebięta płakały,
a światło z irańskich zórz
podkładało się pod tęczę jej chwały.

Żeby śmierć była, jak spoczynek po zabawie
na poduszkach z tysiącokich piór pawich
w mozaikowym Chorasanie —
żeby zlatywali się poeci księżycowi
i kryształowo-srebrny słowik
z drzew wykwitał odwiecznym pytaniem.

Przy jej łożu klęczący Omar Khayam
i Hafiz i Dżelaleddin Rumi
i słowiczo-języczny Saadi...

Tyle wieków czekali na nią w raju,
a więc teraz w archanielskich skrzydeł szumie
jakże przyjąć ją byliby radzi.

Niebo spięte jest srebrną księżycą agrałą,
noc tak samo w gwiazdach ciemnooka,
jak jej siostra, najwierniejsza Sapho,
w fiołkowych rozrzucona lokach.

A ty konać samotnie się nie wstydzisz,
choć już kuszą cię bajeczni Sassanidzi
lazurową mozaiką, kutą miedzią...

I podźwignąć się z łoża chciała jeszcze,
w obcej ziemi, pod siąpiącym deszczem,
ale Bóg się zbyt pośpieszył z odpowiedzią.

Siadły przy niej ciemnej nocy motyle,
potem róże, źrebięta i słowik,
perskie wiatry gorącą zawieją...

Miriam Chanum
z Lechistanu
co samotnym swym profilem
w polskiej mowie
świecisz jak kameą.

Nie urodziłem się dla żadnej z ziemskich bitw,
lecz ani jednej z nich mi los nie odjął
i próżno wolnych słów melodią
chciał się uskrzydlić dźwięczny rytm.

Gdym nieprzytomny po mieście się snuł,
a bzy zroszone kwitły po podwórzach,
tyś nadchodziła, jak wiosenna burza,
i porywała stopy w mętny nurt.

A gdy mi usta, wezbrane jak pąk,
pękały gwizdem psotnego gawrosza,
szłaś czarnym tłumem pod wartownię koszar,
frygijską czapkę wtykając do rąk.

I pokochałem ten zatruty chmiel,
którym poiłaś mnie, dziewko złowieszcza,
bym ślepe okna sennych mieszczan
budził co noc i brał na cel.

W cmentarnej ciszy przeludnionych miast
w krzyk urastałem na trybunach
i oglądałem się — czy nad domami łuna,
lecz to wschodziły konstelacje gwiazd.

Kołował w głowie gorzki płyn
i skrzypce nawiedzały serce srebrnym płaczem.
A za oknami skrzydlaci spawacze
bili młotami w żywy płomień szyn.

I karczma, jak na ciemnej nocy prom,
gdy w nurt muzyczny ukołysał chmiel ją...
Czym wtedy byłaś — poezją, rebelią?
Coś przekazała przyszłym dniom?

Niepewnej stopy nikły ślad,
sny, przepalone walką niedorzeczną,
i pieśń, co chciała zaćmić wieczność
całopaleniem młodych lat.

Więc teraz głoś non omnis moriar
tym gorzkim strofom, co już nic nie znaczą,
gdy całe życie, jak mroczna historia,
opowiadania na postrach słuchaczom.

Nuciła półgłosem — i nagle z tych zwrotek
śpiew wywiódł się w górę i z niebem zaręczył, jest
światłem, jest ptakiem, opada w tęsknotę
i znów się podrywa i dźwięczy.

Ten głos cyganichy, rozkwitły w ukryciu
— zdawało się, chwila, a przed nim uklękę —
zanosi się, dzwoni o szczęściu, o życiu...
— Dlaczego o życiu? — bo piękne.

Jak gałąź jaśminu melodia się trzęsie
radością, wzruszeniem — i spala się smutkiem.
To rzewne wspomnienie, żałosne, jak szczęście...
dlaczego żałosne? — bo krótkie.

I cichnie Cyganka, nad piosnką umarłą
jak matka nad dzieckiem najczulej się chyli.
Nie żyje! I łzami przepływa przez gardło
tragiczna jedyność tej chwili.

Jest cisza żałobna i smutek i pustka,
jest mała garsteczka biednego popiołu,
gdyś dłonią wzniesioną natrafił na usta, ściśnięte i
gorzkie, jak piołun.

Z czarną nocą się objął i szedł,
zasłuchany w burz prorocze tętenty,
naświstywał na flet
każdy sen, z gniewnej pychy poczęty.

W burych łunach odgadnąć chciał świt,
by mu oczy poraził i rozciął,
i wywyższył nad gwar ziemskich bitw
nietutejszą miłością.

Nie mógł wyrwać się z ramion złych lat
i, o ziemi nazbyt wiele pomnąc,
próżno serce wystawiał na wiatr
pod tą nocą ogromną.

Nad rozlewem spokojnych wód
oczekiwał go sześćcioskrzydły Archanioł,
lecz szalony dalej się wiódł,
szukał burzy i w nocy szedł za nią.

W krwawych broni spiżowy chrzest
wciąż wsłuchiwał się z trwogą i żalem,
powierzając dzieje swych klęsk
czyhającym na pustyni szakalom.

Aż na brzegu obejrzał się wstecz,
jakby zboczyć nareszcie był gotów.
Krwawa zorza, jak miecz,
zagroziła mu drogę powrotu.

I spojrzały nań groźnie
oczy, gęstwą i mułem zarosłe,
i milczący przewoźnik
z burty łodzi potracił go wiosłem.

Znowu siano zapachnie w młodych snach,
Lublin ocknie się lipcowym srebrnym świtem.
Kiedy białe gołębie wylecą nad dach,
jakbyś wstrząsnął gałęzią jaśminu...
A tam pola dojrzałe, zboża złotolite,
senna cisza kładzie się na naszych krokach.

Ale ty nas, ziemio, nie winuj,
że żałobny niesiemy ci brokat,
że cmentarne przywidziały nam się smutki
pod tą pieśnią, którą głucho
jęczą, huczą gliniane dzwony...

— życie nasze snem krótkim —
mówi głos,
mroczny głos z tamtej strony.

Było kiedyś weselej i gwarniej,
gasił wiatr mgliste świece dymiącym kasztanom,
ciepłem wiało z przedmiejskich piekarni,
zlatywali aniołowie nad ranem,
kładli skrzydła srebrzyste na lubelskich malwach,
wonią bylic i ziół ochraniali od miecza —
tylko tyle — cichy polski Monsalwat,
śpiwna nuta człowiecza.

Płyną panny wieczorne z ciężkim żniwem w koszach,
światło we włosach im zapala smukła ręka czyjaś;
jeszcze uśmiech młodego dobosza,
gdy idącym żołnierzom takt do rytmu wybija,
jeszcze dzieci w ogrodzie toczą żwawe kółka,
i z kościoła starego dźwięk zleci, jak jaskółka,
Zdrowaś, zdrowaś, Maryja...

I już się konie, całe w śnieżnej pianie,
pomiędzy sobą gryzą...
Ach, to nie huczy głośny taniec,
to nie słońce oczerwienia horyzont,
zakołowało czarne ptactwo — i południe, jak północ
chwieje się każdy dom, na złej fali wywrotne czółno,
ład na połowy rozpęka,
na kamienie ognisty spada chrzest,
teraz w bezwładnie rozrzuconych rękach
w brwiach ściągniętych milczenia patos...

O, jakżeś piękna jest,
gdy swój sandał przysuwasz,

przyjaciółko nasza,
Thanatos!

Ciemny cmentarz wkołysał w szum liści,
wycia syren nie słyszysz, takeś ciężko się pospał,
ściany domów pokrył trąd i ospa,
twardy zakon ludzkiej nienawiści
w miastach naszych wstał Apokalipsą.

Ale w domu, rodzinnym domu
drzwi tak samo oprawione w skrzyp są.
Spoglądają ciemne twarze glinianych świątków,
ach, ta sama Polska, która była od początku,
ojczyzna poetów, uwodzająca i gorzka, jak piołun,
z czołem w błyskawicach,
ze stopami w żużlach popiołu,
zadumała się, zasmuciła się,
zbladły lica,
gdy jej synów do wspólnego kładą dołu.

Zmierzch ku drzewom, jak archanioł ku Maryjom,
pochylił się wieść zwiastować w ogrodzie —
zaraz dłonie nocy powieki nakryją,
jabłonie zapachną słodziej,
gwiazda spadnie — kwiat uwiędły z listu.

To tylko twój czas odchodzi,
to na ciemne łono cię przyjął
Porfirogeneta Chrystus.

Gipsem w palcach rozkruszyło się złote serce
i z szuflady zginął stary testament.
Wydawało się, że słowa są te same,
coś poświęcał je córce swej, Kirze-tancerce,
kiedy noc ci zniżała srebrnych gwiazd kandelabr,
kiedy delfiny mroku o błękitnych skrzelałach
podpływały, nadstawiając grzbietu,
abyś zdążył na dzień pierwszy książęcego wesela
godne miejsce brać wśród poetów.

Lecz nie były słowa te same. Bertrana de Borna
chudą kiesę nieraz władcy wypełniali.
I cesarską hojność często chwalił ubogi
minnesaenger.

Ale niepokorna
była ich pieśń. Na kołpaku dzwoneczków nie niosła,
Uczciwością zwyczajnego rzemiosła
szła dumna; nie chyliła się, gdy dźwięczny dukat
upadł w błoto.

I dlatego sześcioskrzydli Anieli
przewracali im palcami karty Ewangelii,
gdy wiatr mroźny do izby zastukał.

Tyś na dłoni olbrzyma śpiewającym świerszczem
chciał podskakiwać. I ta dłoń się zwarła.
Przyłożono ci sztylet do gardła,
do pręgierza przybito czułe wiersze
i tańczyć rozkazano dokoła, bić w bęben.
Ten, co na ziemi niebieskim dziewosłębem
miał być, nadwornym stał się błaznem.

Więc łkał ku rzewnym nutom,
że on jest mistrz Benwenuto,
aż zdusiły go szpony żelazne.

Przyszła noc, lecz bez gwiazd. Na widmach i strachach
rozwleczona.
Nie odpędzisz zaklęciem.

Wiatr pozdzierał ci sekretne pieczęcie,
porozmiatał partytury Bacha.
Patrz, jak drzewo ołtarza, któreś pilnie złocił,
kroplami czarnej krwi się poci,
wilcze kły rosną z ust Apostołom,
diabeł goni wszetecznicę gołą

i rozhukane kozły
już cię cwałem powiozły
w mrok Walpurgii, w potępieńcze koło.

A nie wychodzić ci było z pracowni mistrza Cellini!
A nie przekraczać magicznej linii,
naznaczonej święconą kredą.
Cóżeś zmajstrował, cożeś uczynił,
jak rozporządził słowno-śpiewną schedą?!

Dali zabawkę do rąk oprawcy, katowi.
Misternie wyrobiony był słowik,
rozrzucał się w trelach, kantatach i szeptach.
Ale kat chciał wydobyć pieśni inne,
wstrząsnął, kręcił, aż przekręcił sprężynę,
rzucił martwą zabawkę i rozdeptał.

On to powiedział tak jak gdyby nikt nie był winien,
że żona i córka pochylały głowy ku kwefom.
To po prostu Inge Bartsch, śliczna samobójczyni,
zawołała go po imieniu przez telefon.

I już. I biały płomień mózg mu rozorał
i sztuczne kwiaty kłamstw na trumnę zwożą.
Ze skrzypiec, fletów niechaj mu wybuchnie chorał,
niech mu wybląga łaskę Bożą.

A my, co milcząc, przyglądaliśmy się poniewierce,
uniesmy w dłoniach w pył skruszone serce,
co uwiedło na grzechach i pokusach,
i módlmy się za oplutych, skopanych,
codziennie ku hańbie podanych
przez kozła o diabelskich rogach,
wroga nas wszystkich i wroga
Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Amen.

Nad Rzymem rudy zachód. Plebs się burzył.
Piekarnie wydawały chleb, lecz był zatruty.

Z wschodnich pro wiej i przychodziły
coraz gorsze wieści.
Partowie znów wycięli w pień dwie legie.
Piraci wychylali się zza illiryjskich skał.
W świątyni Westy dym się kładł po ziemi
i nie chciał piąć się w górę.

Na rynkach po raz pierwszy wzrosły ceny
na niewolników z Syrii i Numidii.
Spiżowe tarcze grzmiały, choć ich nikt nie dotknął,
i wróżę bali się w dymiące patrzeć trzewia.

W koszarach barbarzyńcy kuli konie
i skry leciały z kuźni, jak ogniste osy.
Widziano:
Imperator kazał się nieść na Forum,
senatorowie za nim, lecz zasłony
ich lektyk były szczelnie zaciągnięte.

A o północy wilczyca wybiegła ponad wzgórza
i głucho wyła.

Wiedziała dobrze: sutki ma wyschnięte,
więc Romulus i Remus
muszą
zginąć z głodu.

Oto konie Apokalipsy w pobliżu już tętnią,
wychylają się ze strutej mgły szydercze pyski szatanów,
zguba nadchodzi — wszystko według planu —
a niebo patrzy na nas gwiazdą beznamiętą.

Jak drżącą ręką trafić na bijące tętno
epoki, jak z huczących nurtów Oceanu,
łódź naszą wyprowadzić? Ze spalonych łańców
nie trwoga wstaje; gorzej — rośnie obojętność.

Co dnia wołamy z nadzieją: — Pod Twoją Obronę,
Matko Najświętsza,
do naszych domostw powrócić nam zwól!

Lecz możni świata nadal mają dłonie ubłocone,
nie obchodzi ich rozpacz bezbronnych, ni serdeczny ból.
Więc niech wybucha gniewny, nieubłagany sonet —
czternaście wierszy, jak czternaście kul!

Dolinami, zielonymi orawami kraina się rozpostarła,
rozlewami torfowisk i łąk podeszła
ku stromym wąwozom...
Złota woń macierzanki napływa do gardła,
ani wiesz,
skąd i dokąd cię wiozą.

Czy tęsknota daleka,
czy rozpacz i strach,
skurcz pod sercem, gdy słów już zabrakło do wyznań,
na pastwiskach, na rzekach,
po majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.

Kiedyś wrócę do ścieżek wydeptanych i szos,
gdziem się z wiatrem spotykał i ziemi bił czołem,
dość słyszała tych pieśni,
więc pozna mój głos,
kiedy na nią po imieniu zawołam.

Przyjdą zmierzchy fiołkowe, zatoczy się wóz,
furman cmoknie na roście mierzyny — i ruszę...
Ach... i droga, wiodąca szpalerami brzoź
między polne jabłonie i grusze.

Niby dym, co wieczorem nad jedliną się snuł,
mgła mi oczy
przesłoni, lecz do łez się nie przyznam,
i wśród leśnych uroczysk,
śród majdanów i siół
cicho uśnie moja Lubelszczyzna.

Do kraju polnych grusz
i złotych sosen,
gdzie misę z zsiadłym mlekiem nakrywa bochen chleba,
gdzie płatki bzu poranną piją rosę,
od dawna już
powracać mi potrzeba.

Niech tylko Tanwią spłynie pierwsza kra,
niech w zwierzynieckich lasach zakwitną
krzaki leszczyn,
usłyszę, jak o zmierzchu flet pastuszy gra,
jak mi pod stopą
sucha gałąź trzeszczy.

Lubelski cmentarz zarósł gęstwą drzew,

jak dobrze spocząć przy boku swego dziada!
i niech mi tam jaśminu krzew
o moim kraju opowiada.

W dolinę rzeki cień od winnic padł,
w górze napięta, cienka struna płacze,
to głośno skarżą się w jesienny, mglisty świat
wędrowne stada dzikich kaczek.

Wysoka trawa płacze się u nóg,
dalekie światło gdzieś w topolach błyska,
jakbym się znowu wolno włókł
przez nadbużańskie torfowiska.

Lecz tutaj zmierzch, jak fiołków pełny dzban,
a mrok na skronie ciężki kir zarzuca —
wiem, słyszę: w ciszy czterech ścian
męczą się chore twoje płuca.

W dolinę głębszy cień od winnic padł,
o, jakaż noc węgierską gwiezdna, jaka sina!
I mocniej, ostrzej czuję w nozdrzach gorzki czad
dopalających się ruin Lublina.

A tam, gdzie gęstwy szept, kasztanów mrok,
gdzieśmy chodzili słuchać świstu ptaka,
jesienne, polskie liście depce obcy krok,
znenawidzony chód żołdaka.

Ta noc... ten wiew... nieogarniony świat...
idę — a w płucach wiatru coraz więcej —
i wiem, że zatrzymuje mnie nie wiatr,
lecz twe bezbronne, słabe ręce.

Wędrowne ptactwo leci znów na żer,
ale tęsknoty klangor ich nie odjął,
gdy szelest twoich kroków, włosów twoich szmer
staje się pieśnią i melodią.

W dolinach cień, znów wiatr na usta spadł,
świecą mi gwiazdy drżące i tułacze,
i głośno skarżą się i płaczą w mglisty świat
odlatujące stada kaczek.

O, topole lubelskie, nurzające wierzchołki w mgłach,
jakże się waszym szumem miasto niosło na warszawską szosę!
Wydawało się: jeszcze krok,
a sam się uniosę, poniosę,
zamienię w gęstwę,
w szumiący zielony popłoch i strach.

O, miła, jeszcze powrócę,
umarły, lub żywy, do tych drzew,
minę ogród, przejdę ulicę,
na lewo skrećę —
a tam już dwa skoki po schodach
i poczuję na oczach twe ręce,
wargi pobledną i do serca spłynie wszystka krew.

Każde słowo grozi eksplozją, każą myśl wybucha, jak mina,
nienawiść truje i pali,
przywiduje się zgon coraz częściej,
lecz spotkamy się, choćby w śmierci,
i znów ulicami Lublina
odejdziemy w miłość i szczęście.

Żebra głazów oparte o trawę i gruzy,
gorącą falą napływa zapach rozkwitłych migdałów.
Przytul do szarej płyty żar spieczonych ust
i życia żałuj.

Tutaj śpi. Jeszcze wczoraj przechodziła tędy,
dotąd w różach dojrziałych jej uśmiech się krwawi,
jakby znowu spojrzała przez okno legendy
w groźne oczy nawisłych ponad głową lawin.

Wśród nocy, co opada jak śmiertelne płótna
i próchnem gwiazd się sypie na biedny grobowiec,
cóż zostało?

Czy tylko ta miłość okrutna,

miłość wspomnień daremnych? Odpowiedz.

Czy ciało pięknej dziewczki, przywalone drzemą,
słyszysz naszą udrękę i bierze w niej udział,
gdy niebo jak na wieki zakochany Demon
pochyla się nad ciszą górskiego bezludzia.
I dźwięk surmy trzystronnej, gdy serce pogłaskał
i załamał się w szlochu i bezsilnie zamarł,
i rzewny trel słowika, i ta noc kaukaska
nie podniosą cię z trumny, o, Thamar?!

Smutny szatan upadły i śpiewak z Rustawii
szliśmy tutaj z daleka, zbłąkani podróżni,
miłość nas opuściła, żaden Bóg nie zbawił,
więc serce w nas jest trwożne i bluźni.

Czemuż spod gruzu białej ręki nie wypłaczesz
i skroni nie podźwigniesz z twej kamiennej skrzyni?
Czy nazbyt ciężą głogów rozrośnięte pnące
i naręcza więdnących glicynii?

Że w tę noc, co się kładzie na zacichłych łądach,
pod wiatrem,
co nas płaszczem szumiącym owinął,
nie chcesz ze snu się zbudzić i jak niegdyś spoglądać
w groźne oczy nawisłym lawinom.

Cichną już za oknami spiże zgiełkliwym centuriom,
milkną doczesne dźwięki, właściwa powraca miara;
wówczas niebo się chyli nad mglistą Swanetią i Gurią,
szumiąc wieczornym liściem w nadśluchujących czynarach.

O takich zmierzchach cień, zadumą wieków pochmurny,
na rękopisach moich codzień się kładł i — jeżelim
dosłyszał ciche kroki w dźwiękach dalekiej zurny —
wiedziałem, żeś ty nade mną przystanął, o, Rustaweli!

Czy kwiatom twoich słów na grzędach moich żyźniej,
że długo nie odchodzisz i z drogi ciągle zawracasz,
słuchając własnych tęsknot w rozkołysanej polszczyźnie,
jakby ci wdzięczna się zdała niepróżna moja praca.

A przychodzili goście, i jak uprzejmy gospodarz
przez sine ścieżki ogrodu szedłeś im naprzeciw;
krzyżowały się błyski na niebie, jak dźwięczne rymy w odach
tak na odległość lat rozmawiają ze sobą poeci.

Słowiki cichły, gdy cień twój ująwszy za ręce
ktoś mroczny spływał, jak stary wiew Ghibellinów,
i była wielka radość w gwiezdno-mistycznej Firenze,
że oddech archanielski w późnym odradza się synu.

Jak malarz na rusztowaniu w ruinach starej budowy
spod tynku wydobywa szacowne malowidła,
tak ja odgadywałem przez gęstą mgłę obcej mowy
twe zniekształcone i zmięte,
a przecie potężne skrzydła.

Jeszcze rysów nie dojrzał, ledwie je wyczuł w dłoni,
jak ślepiec, co tyle widzi, ile dotykiem wyżebrze,
i w palcach mi prześwitywał urok twojej harmonii
w czarnym wykutej granicie i w miękkim wyrytej srebrze.

Teraz kresu dobiegłem, przebytą drogę oglądam,
jakbym żałował pośpiechu, żem nie wędrował dłużej,
a słońce razem ze mną ku cichym zstępuje łądom
innym otwierać uroczne i wzruszające podróże.

Gdy noc już zejdzie na góry, majestatyczna jak Thamar,
sypiąc różami gwiazd ku twym nieśmiertelnym prochom,
nim dźwięk ostatniej strofy w sercu mi zamarł,
w pieśń się owinę, jak w płaszczy,
i znowu w niej się rozkocham.

Wtedy, cieniu niknący, powolnym rytmem wiosła
odpłyn dokąd cię wzywa ojczyzna twoja kaukaska,
i sponad Gruzji uśpionej daleką dłonią błogostaw
kraj, który w dźwiękach twej pieśni
stanął jak w łunach i w blaskach.

I.

Anim wiedział, co było ukryte w tych księgach,
nie pamiętam, kto karty zatrute podsunął,
gdy mnie w nocy opadła skrzydlata potęga
zawieruchą żywiołów stostrunną.

Nie wykręcić się pieśnią, nie wykupić się snami!
Prosto w serce uderzył śpiew natrętny i czuły!
taką moc ma zetlały i zblakły pergamin
w ciemnym wnętrzu odwiecznej szkatuły.

A przecież nic nie było, jeden dźwięk, jedno słowo,
jakieś nocne zaklęcie, rzucone zbyt niebacznie...
Stara księga wydawała się martwą niemową,
aleś dotknął — i zaraz się zacznie.

Jakie nuty sprawiły, jakie blaski i czary,
że smukłość róż gruzińskich w bzu polskiego łodygach
i odzywa się imię kaukaskiej Tamary
w skandynawsko-słowiańskim Jadwiga?

I przed siedmiuset laty głos inaczej nie brzmiał,
jak dziś, gdy wicher się zerwie i dłonie rozdzieli...
Ty to znasz, moja tęskna, rzewna Nestan-Deredżan
w smutnej Polsce, jak w złotej Kartwelii.

II.

Ach, to pięknie, jeśli pieśń mrocznej śmierci zaprzecza,
z każdą wiosną pyszniejszym odradzając się wianem,
jeśli znów zakwitają i sprzed siedmiowiecza
deszczem sypią się listki różane.

A ty stoisz w tych listkach — i samaś, jak róża —
a ty kwitniesz w tych nutach — i samaś, jak zwrotka,
która w rytmie tanecznym swe stopy zanurza,
kiedy słowa zbyt rzewne napotka.

Jutrznie szklane i łunne, pola dzwonne i winne,
bursztynowe zachody, mgła fiołkowa w nich wisi;
takież gwiazdy nam wzeszły nad starym Lublinem,
jak Wschodziły nad białym Tbilisi.

Wracających z poślubnej podróży kaukaskiej
może baśń nieśmiertelna przed wieczorem rozmarzy,
ciche góry błękitnym oświecą się blaskiem,

niewidzialne skrzydła na twarzy.

Więc każemy polotnym zatrzymać się Muzom
nad strumieniem, gdzie koła obracają się młyńskie,
przy ich szumie, przykryci sinym zmierzchem i Gruzją,
będziem pili wino kachetyńskie.

Gdy usłyszysz, że szklanka ze szklanką się trąca,
nie ruszona, a przecież posunięta naprzeciw,
łatwo zgadniesz, radośnie zdumiona i drżąca,
że przy stole usiadł ktoś trzeci.

I wtedy, na pół spici od melodii słodkich,
uśniemy wśród słowików i srebra i bieli,
nieświadomi, czy to nam się przywidziały te zwrotki,
czy dopisał je sam Rustaweli.

III.

Ogłuszeni wichrami, grzmiącym spiżem i miedzią,
zagubieni, jak w puszczy, w okrutnym stuleciu,
na spotkanie kamiennym i ślepym tragediom
wychodzimy w tych pieśniach, jak w kwieciu.

Zanim krew niespokojna uciszy się w żyłach,
jeszcze raz z żywiołami zmierzymy naszą dzielność,
a w miłości, jak w pieśni odwiecznej,
o, miła,
odzyskuje się znów nieśmiertelność.

I.

Tam gdzie jasny miecz i ciężki pług,
gdzie się lemiesz z czarną ziemią porał,
gdzie wśród borów i rozlanych strug
dłoń chwyciła za stylisko topora;

gdzie zadumą pociemniałym brwiom
leśny wichur gorycz stepu przybliży
gdzie gorące kaliny bujną krwią
obmywają czarne stopy krzyża;

gdzie puszczonego stępa siwy żrebiec
węszyć czad i na wieczorne cienie parski,
a skłębione chmury na niebie
podpełzają jak horda tatarska;

gdzie co nocy swawola złym snom,
a sny groźne z burzami są w zgodzie,
gdzie spalony ręką wroga dom
i wycięte jabłonie w ogrodzie...

Tam zaciosaj na zawsze graniczny swój znak,
mogilami gęsto kopce wyznacz,
by ci z pól, rozłogów i młak
nie spłynęła wykrwawiona ojczyzna.

I gdy pieśń, szalona pieśń od Wschodu
truje serce jak łyk okowity,
waruj, pilnuj ojcowskich rodowodów,
cmentarzami dziedzictwo swe wytycz.

II.

Jeszcze pochylę się czule
nad dalekim kaukaskim cmentarzem
wezmę w ręce ciężką grudę ziemi,
akacjowym gąszczem zarosłą;
jeszcze w pamięć synowską cię wrażę,
proch najświętszy do ust przytulę,
jeszcze imię twe ujmę krzepko w dłonie,
by mi w życiu było jak wiosło.

A od ojca zdeptanej mogiły
podam hasło wołyńskim pagórom,
by chroniły, by nie wydały

ubożuchnej panieńskiej truchty.
Niech spoczywa pod słońcem i chmurą,
niech zetlałe kosteczki i żyły
w nadhoryński wrosną czarnoziem
i by ziarna ich nie zagłuchły.

I pokłonię się jeszcze po raz trzeci
mogile, najgłębiej rozdartej,
w podsmoleńskim, naddnieprowym lesie,
gdzie mu czaszkę kulą wroga przebito
niech sprawuje naszą wieczną wartość
na skrzyżowaniu stuleci,
niech na rękach związanych uniesie
nieśmiertelną Rzeczpospolitą!

III.

Więc dopóki wiatr ogień rozżarza
w prochach zmarłych, nim dołączysz i twoje,
będziesz trwał na odwiecznych cmentarzach,
jako szabla wbita po rękojeść.

I po wieki wieków jasny lemiesz
będzie trącał o zbutwiałe polskie kości,
które wrosły w niewolniczą ziemię
gorzkim ziarnem zacieklej wolności.

I.

Tam nocne krzaki czeremch pachną jeszcze słodziej,
tam złote jabłka gwiazd się toczą
po mchach zielonych gontów
i Czarna Hańcza o zachodzie
przerażonym oczom
wzbiera płomienną falą Acherontu.

Tam wiatr pontyjski jak narkotyk
osmala łąbinowe policzki Białorusi,
aż brwi sokole w rzewny smutek stygną.
I sierp księżycy na rzeki sinym brusie
i pieśń tęsknoty
opadająca strachem i maligną.

Lecz pochylony ku czarodziejskim snom,
które się sypią spod gwiaździstego stropu,
urasta w baśń ojczysty dom
pod gęstym cieniem starych topól.

A wśród koniczyn złote roje much
i owsa brzęk u strzemion
i serca proszą się ku najwierniejszym uniom,
gdy białą gołębicą ulatuje Duch
nad domem, ziemią,
nad Perkunią.

II

Więc ów smagły czarnomorski wiatr,
co przewiewa przez serce borów,
i puszczańska, rozstajna
tęsknota jęła czary nad domem snuć,
i prosiły się w niańki łąbinowa rzewna Białoruś,
czarnoziemna Ukraina
i zacięta bałtycka Żmudź.

A już szumom zielonym leśnego popłochu
inny wichur swój śpiew dopowiada,
na ramiona mnie porwał i w mroki mnie zmiotł —
to nie sielskie, anielskie,
to jest alarm, to wojenny pochód,
to jest krwawa zagłada
i-krzywda i głód.

Jakież leki szykujesz ku zapiekłym bliznom
jeśli uczył się miłości człowieka
na wezbranych czarnym tłumem placach?
Jak powitasz, ojczyzno,
gdy się w jawę ze snu przyoblekasz,
młodziutkiego, gorzkiego,
co tak ufnie do ciebie powraca?

Tyle z wiosny
ile kwiecia zostało w ściśniętych pięściach.
Spazm do gardła
i wiatr, zawsze wiatr zaplątany we włosach.
Nie uwiedziesz go, świecie ojczysty, do szczęścia,
gdy już w strofy się wdarła
dzika śpiewka lubelskiego bandosa.

Teraz słowom zdyszany gniewne usta odszpuntuj,
rośnij w łunę
i serca płomieniem ogarniaj!
Byłeś nocnym sumieniem,
byłeś krzykiem natchnienia i buntu,
nim ci skronie całunem
nakryła daremna męczarnia.

Idziesz, burzo! On ciebie zwiastował i przeczuł!
Ty mu usta oczyścisz,
nowe pieśni, młode słowa podasz.
Dzisiaj jeszcze jest wieczór,
wicher zraty i noc nienawiści,
ale w chmurach skłębionych
prześwituje już przyszła pogoda.

III

Już żelazna wilczyca mu drogę przebiegła,
już się serce szykuje ku świętym komuniom.
Byłaś z ziemi, a teraz nam bądź niepodległa,
nieśmiertelna, ojczysta Perkunio!

I płomienne języki szybują nad krajem
i martwa glina rwie się w Bożych słotach.
Miałeś Słowo.
Więc jutro niech ciałem się staje
w nowej księdze groźnego żywota.

Późny wieczór się kładzie nad starym Lublinem,
w szelest i w cień uciekają zamglone klony.
Granatowieje niebo, dotąd błękitne i sine,
na Tatarami opar się wznosi zielony
i zmierzch fiołkowy otwarte bramy nasycza...

Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłyszę!
Głowę moją szaloną niech tamten wiatr ukołysze,
w gęstwie jaśminów zaszumi,
wzburzone włosy potarga,
niech wszystkie dawne zaklęcia zbudzi na wargach
i starą furtkę zaskrzypi,
gdy klucz w niej z wolna przekręcę,
by oprzeć drżące skronie o spracowane two ręce.

Coraz ciężiej zasypiać, budzić się coraz trudniej,
bezzadna dłoń opada na głowę małego wnuka.
Ognistymi kołami w znużonych oczach południe,
po nocach budzisz się, gdy gałąź w okno zastuka,
nasłuchujesz długo — odwieczna matczyna praca —
gdy się kroki wstrzymają przy bramie:

— To może syn mój powraca...

A on nie powraca, zły, niedobry syn,
a on nie pisze nawet, jak zawsze... przedtem...

„Na próżno go przywołuję codziennych modlitw szeptem,
daremnie go rozgrzeszam ze wszystkich win...
Nie przychodzi,
zabłąkał się wśród obcych, dalekich ziem,
nie poradzą, nie dopomogą
bezsilne ręce matczyne...”

O, srebrna moja, najbielsza,
teraz dopiero wiem,
naprawdę złym byłem synem.

Noce rzucone na pastwę szalonym snom,
młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą.
Wszystko rozwiało się w burzy,
wszystko przepalił grom,
że się jak liście umarłe po ziemi ścielą...

A tylko gorzki twój płacz zbłąkaną jaskółczychą
wciąż krąży nad pogorzelą.

W tej drodze, którą idę skroś zbójeckich borów
przez świat, co mnie otacza jak bezludna pustka,
zwierzęta głodu, trwogi i pomoru,
świecąc płomieniem ślepiów, chciwie węszą w ślad,
na skrzydła rudych łun porwany wiatr
na twarz opada zakrwawioną chustką,
znużone stopy potykają się na grobach
i próżno w list do ciebie
chcą się związać słowa,
słowa
stłumione jak płacz...

I.

Przyszło nieszczęście. Podstępnie, po cichu.
Jak widmo, które wchodząc ani drzwiami nie zaskrzypi.
Ile jeszcze piołunu zostało w kielichu?
Do dna go wypij!

To nie dlatego, że śmierć. Ta rzadko się spóźnia.
O wyznaczonej godzinie zatrzaskuje trumienne wieka.
Wyroczne młoty biły w podziemnych kuźniach,
nie chciały zwlekać.

II.

Działo się bardzo dawno. Litewska szlachcianka
stała nad jeziorem. Piasek, sosny, rybitwy.
Białe dwory. Dzikie wino na gankach.
I jest wszystko, jak było, prócz Litwy.

Koń ognisty z mroków się wynurzył,
bezwładne czoło jeźdźca na płonącej grzywie.
Błyskawice. Syn urodził się w tej burzy
i na zawsze już miało być burzliwie.

Bo za dużo, jak na jedno życie, czterech wojen,
bo za wiele, jak na jedno serce, tylu ostrych mieczy.
Jaskółczychy krążą nisko, zdjęte niepokojem
i na krzyżu krwawi Syn Człowieczy.

A miało być inaczej. Miał być dom,
w którym spokojna starość w późny zmierzch się chyli.
Zanim nadeszła, znów uderzył grom
i nocom nie przespanym, groźnym dniom
wszyscy niedowiarkowie uwierzyli.

Miało być w słońcu, które siwe włosy złoci,
i w ciszy, która nie wadzi nikomu.
Ogród, gdzie tłumnie od malw i stokroci.
Świegot ptaków o świcie.
Lecz nie było domu.

Miała być, kiedy grzmoty wojenne odhuczą,
pełnia szczęścia na dniach i godzinach,
drobna ręka, gładząca głowy małych wnucząt,
i syn, u stóp klęczący.
Lecz nie było syna.

III.

To jest wiek, który wilkiem skacze do gardła,
jak napisał zamęczony poeta,
wiek, co życie na dwoje nam rozciął...
Ale pieśń niepodległa nie umarła —
gdy kat stąpa po zgiętych grzbietach,
ona świadczy się gorzką wolnością!

Wiek, który matkom dogorywającym
odmawia ostatniego pożegnania,
a synom pacierza u trumny...
Jeszcze padnie, pokonany i drżący,
i otworzy się droga powrotna z wygnania
dla nas, gniewnych, zaciekłych i dumnych.

Kiedy już będzie po nas, kiedy tylko po nas
pozostaną nasze dzieła i nazwiska,
kiedy nowe burze objawią się ognistą twarzą,
a wędrówka jeszcze nie skończona,
pójdziemy pokłonić się z bliska
w polską ziemię wrośniętym cmentarzom.

IV.

Szlaban zamknięty. Gryzące sumienie,
tylko w pieśni została czuła miłość.
Kiedyś wrócę, choćby mrocznym cieniem,
pochylić się nad matki mogiłą.

Nie mogło być za życia. Może płodnym ziarnem
kiedyś te wiersze dla wnuków wybuchną...
Więc tylko kilka słów — jakże niezdarnych! —
by pozdrowić Jej najświętsze próchno.

Zanim twe usta,
nawykłe do spiżowej mowy Kastylji,
oswoją się z polszczyzną,
twardą, jak stalowy brzeszczot,
niech się ten wiersz ku tobie
z gęstwy metafor wychyli,
niech się słowa te pękiem kwiatów
w białych paluszkach umieszczą.

Spojrzenie złocisto-modre również ma toń wiślana,
a włosy twoje, jak żyto: ani odróżnisz.
To dlatego, gdy mkniesz w kujawiaku
— dana-ż, oj, dana! —
żrenicą rzewnością spowitą
patrzą dalecy podróżni.

Widzę i ucho natężam i w czułej ciszy
od mokrych pastwisk dobiega znajoma nuta
i w kraju, gdzie krzew pomarańczowy, winna łoża
i tamaryszek,
już kwitną malwy i ruta.

Pozwól więc, miła panno, abym przy twoim wieńcu
wstążkami upiął te słowa, dla ciebie obce,
bo w tańcu,
kiedyś zechciała wybrać młodzieńca,
toś za krakowskim szła chłopcem.

Więc nim twe usta oswoją się z polszczyzną,
ostrą jak brzeszczot,
nim oczy się położą
na naszych jabłoniach i gruszach,
niechaj me dłonie w twoich paluszkach umieszczą
werset wielkiego Juliusza,
każdą głoskę smakując z osobna:

„Amelio, o, Amelio,
róży białej podobna...!

I. CZĘŚĆ GWAŁTOWNA

Czy to w dniu powszednim, czy od święta,
ciągle włazi mi w drogę jakiś pętaś,
więc natychmiast za pióro się łapię —
i już każdy mnie na zawsze zapamięta:
ot, polityk na dziurawej kanapie,
co papiery podrobione trzyma w łapie
i popiera znanego konfidenta;

ot, w pisarka przemieniony śmieciarz,
albo cham, co udaje Waszecia;
tuż obrońcy narodowych świętości;
jakiś stary lis, co winien tkwić we wnykach,
ale urwał się i radośnie sika
do stóp Mojej Poetyckiej Mości.

Jakiś Filip, co wyskoczył z konopi —
chętnie by mnie raz na zawsze utopił
w dziegciem dobrze wypełnionej łyżce...
Strzyknij ślina jadowitą, żeby
znanym hersztom się przypochlebić —
może spełni się twój sen o podwyżce...

Jakże cieszą się na wieść, żem zachorował!
Zaraz wszystkie krasę woły w oborach
porykują ku dawno zdechłym jałówkom...
Śnią pobożne: — Wkrótce szlag go trafi —
dobierając do przyszłych epitafii
ze złodziejskich ksiąg za słówkiem słówko.

No, więc dobrze — Uczynię wam radość:
już kopyta wyciągnąłem, więc zadość.
Już żadnego artykułu nie napiszę...
W serce ugryzł mnie śmiertelny szerszeń,
zamierzone nie objawią się wiersze —
wszystko wpadło w ostateczną ciszę.

A ja z góry to widzę i słyszę...

Komuniści, pederaci i E N D E
pozbierali się, jak na komendę,

aby napluć na moją trumnę.

Zaczekajcie nieco, masturbanci!
Rozmyślałem się —
zrobię jeszcze jeden drobny kancik
i na złość wam na razie nie umrę!

II. CZĘŚĆ ŻARTOBLIWA

Na Charona zawsze chętne usługi
odpływają jeden po drugim —
ale dlaczego właśnie najlepsi przyjaciele?

Rozejrzyj się, poeto, rozejrzyj,
jak bardzo ci się ten świat zmniejszył —
widać szczęścia było zbyt wiele.

Gdzie to szczęście i jak wygląda?
Wędrowka po wymyślonych morzach i lądach,
taniec na łąkach niespełnionych marzeń...!

Liść pożółkły znów na włosy spadł —
nie śpiewajcie mi więcej „sto lat”,
bo się obrażę.

Choruję, ale może Kostusze raz jeszcze się wydrę,
jednak, jeżeli przeczytacie klepsydrę,
pełnymi szklankami się trąćcie!

Skoro łódź przewoźnika już bliska,
witaj, zatoko Stygijska,
unieś mnie, gorejący Acheroncie!

Zapyta mnie Minos i Radamantes:
— Coś czynił, żyłeś w honorze, czy kantem,
mamy posłać cię do Elizeum, czy do Tartaru?

Czy naprawdę tak źle żem czynił,
zajmą się mną straszliwe Erynie...?
Czyżby zbrodnią poetycki był narów?!

Wydajcie wyrok, przyjaciele,
zgromadzeni na stypie...

Nie chcę harf archanielskich, ani słodkich skrzypiec,
w szkło dźwięcznych kielichów uderzcie!

Byłem z wami i piłem, to sprawy wielce miłe,

trochę niezłych wierszy popełniłem,
teraz siadłem na wieki w areszcie.

Przepraszam P.T. Czytelników et zaetera...
Tam nie ma Sądu Apelacyjnego;
trzy łby piekielnego Cerbera,
by facet (to ja) nie uciekł, bramy strzegą.

W tym wszystkim piękna rada się zawiera:
— Nie umieraj w ogóle, kolego!

III. CZĘŚĆ SENTYMENTALNA

Wychowanym w kastylijskiej mowie,
którzy słońce iberyjskie macie w żyłach,
wiem — ten wiersz
do was nie dojdzie,
chyba, że wam ojciec przetłumaczy —
cóż mam, stary, przekazać, jaką opowieść,
opowieść żeby was wzruszyła...?
Piłujący bezskutecznie tę samą melodię
poetycki świerszcz,
jeden z bezsilnych i śmiesznych tułaczy...

Nie wiecie — moją relacją was nie przechytrzę —
jak się złocą pod wiatrem kazimierzowskie spichrze,
jak zegar na Krakowskiej Bramie w moim Lublinie
kolejne godziny ogłasza...
Nie znacie urody polskiej ziemi, a ja nie skłamię,
jeśli powiem
że to strata wasza.

Bo w tej najpiękniejszej Hiszpanii
nie ma takich, jak u nas, kwitnących koniczyn,
ani zroszonej wyki, ani
w borach orzeszyn i dziczyzn;
wy nie widzieliście, jak ja, kiedy na łące
nagle spod stóp wyskakują
zbudzone przez wędrowca zajęce,
jak można podejść ostrożnie ku jelenim rujom,
gdy tęczą przez zasłonę dżdżu wygląda słońce.

Gdybyście pobiegli Słowiczą Doliną

— stąd nazwa, że tam nie brak słodkich chórów...
Gdyby któryś z was wraz ze mną Wisłę przepłynął,
a rytm rzeki ramionom był do wtóru,
może byście przyznali, że warto było
mieć za ojca Polaka z Krakowa
i podzielibyście polską czułość i miłość,
które każdy w swym sercu winien chować.

Więc tylko tyle: jam się Hiszpanią zachwycił
i przemierzył jej ziemie nieznużoną stopą...
Teraz, gdy Parki przędą ludzkich żywotów nici,
nim nożyce uniesie panna Antropos,
zapamiętajcie, że was kiedyś pokochałem
i wasze twarze unoszę w pamięci, gdy odchodzę.

A jeżeli zdobył tu doczesną chwałę,
przejmijcie ją na już skończonej drodze.